

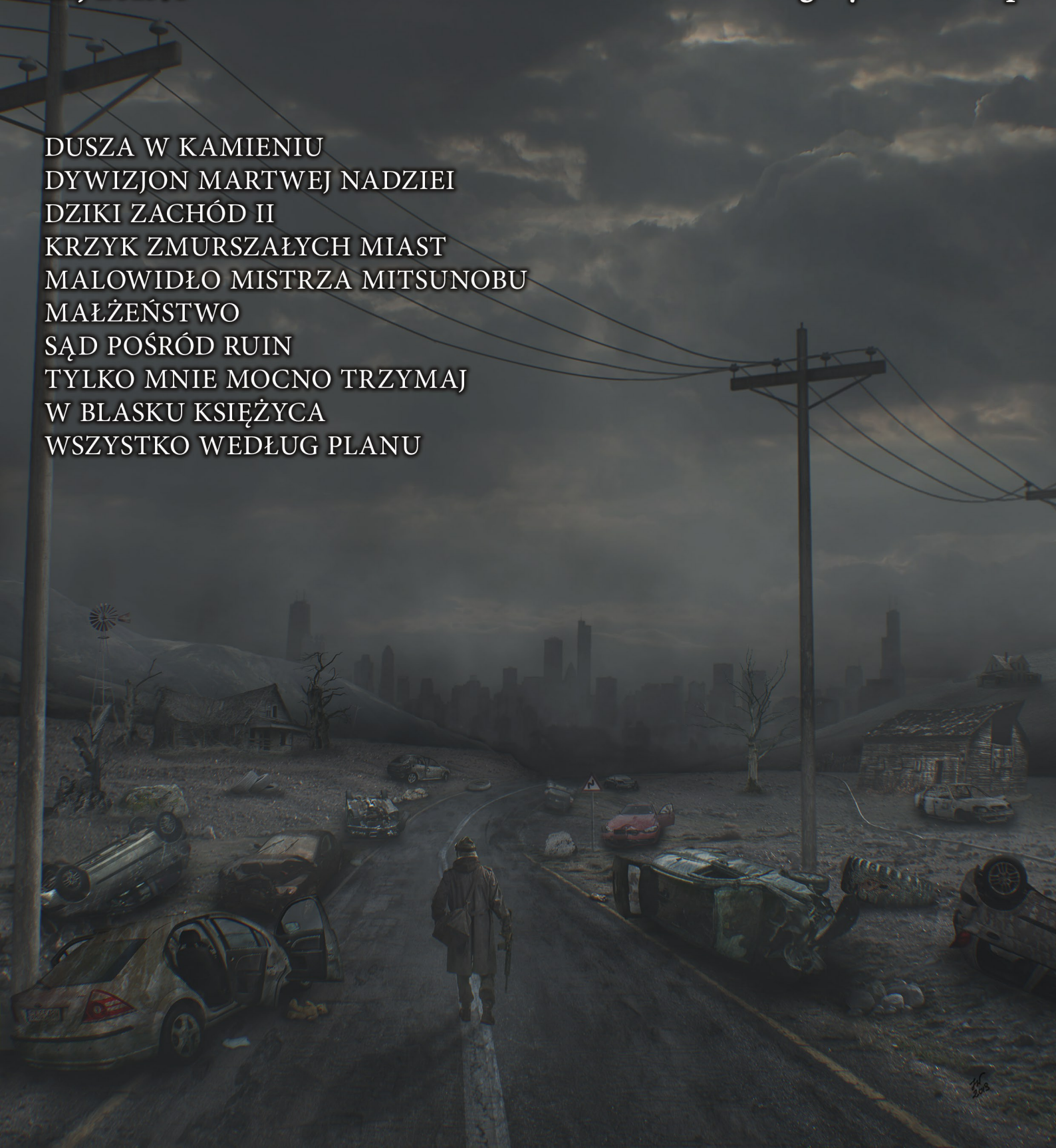
# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2019/3

magazynhisteria.pl

DUSZA W KAMIENIU  
DYWIZJON MARTWEJ NADZIEI  
DZIKI ZACHÓD II  
KRZYK ZMURZAŁYCH MIAST  
MALOWIDŁO MISTRZA MITSUNOBU  
MAŁŻEŃSTWO  
SĄD POŚRÓD RUIN  
TYLKO MNIE MOCNO TRZYMAJ  
W BLASKU KSIEŻYCA  
WSZYSTKO WEDŁUG PLANU



# SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
DUSZA W KAMIENIU	Damian Drabik	4
DYWIZJON MARTWEJ NADZIEI	Natalia "Nana" Kędra	13
DZIKI ZACHÓD II	Dariusz Bednarczyk	19
KRZYK ZMURZAŁYCH MIAST	Piotr Watros	36
MAŁOWIDŁO MISTRZA MITSUNOBU	Paweł Lach	54
MAŁŻEŃSTWO	Ludwik Cyfer	72
SĄD POŚRÓD RUIN	Paweł Wójcik	78
TYLKO MNIE MOCNO TRZYMAJ	Barbara Kijowska	95
W BLASKU KSIĘŻYCA	Łukasz Marek Fiema	103
WSZYSTKO WEDŁUG PLANU	Bogumił Van den Broeck	114

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka :** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Barbara Komaniecka, Roman Panasiuk. Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

**Korekta:** Alicja Podkalicka, Joanna Korytko

**email:** [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami majowa Histeria. To już trzydzieste drugie wydanie! Czytacie jeszcze słowo od redakcji? Zdajemy sobie sprawę, że zazwyczaj brzmi podobnie, ale tym razem będzie nieco dłuższe.

Jak zapewne zauważyliście, od jakiegoś czasu nie wybieramy Histeryka Miesiąca. Zrezygnowaliśmy z tego plebiscytu ze względu na niską frekwencję.

Na naszych łamach przestały się również pojawiać artykuły nawiązujące do tematu danego numeru. Postanowiliśmy wrócić do pierwotnej formy naszego magazynu, pozbawionej publicystyki.

Zatem wśród dziesięciu tekstów grozy znajdziecie m.in. trzy opowiadania z POSTAPOkaliptycznego konkursu literackiego.

Często pytacie nas o to, czy Histeria znów zacznie się pojawiać w formatach wygodnych do czytania na urządzeniach mobilnych. Niestety nie ;) Za to my na pewno wrócimy w lipcu z kolejnym numerem.

Tymczasem, życzymy Wam strasznej lektury.



B. Jaworski i M. Zawadzki





# DUSZA W KAMIENIU

Damian Drabik

*Klarze*

Pan Wadlewski odwiedzał nas w każdą sobotę, a czasem, wyjątkowo, także na tygodniu. Jeszcze w progu narzekał na naszego sąsiada spod szóstki, pana Edelmana, który miał w zwyczaju świdrować wzrokiem obcych kręcących się po klatce schodowej. Wadlewski przychodził do nas zbyt często, by można było te wizyty określić mianem zwykłych towarzyskich spotkań, a w takiej sytuacji – zważywszy na czasy i fakt, że znosił do nas różnego rodzaju sprzęty – zapewne interesowali się tym nie tylko sąsiedzi.

A jednak, na ile sięgam pamięcią, nikt nie robił ojcu z tego powodu żadnego problemu. I wcale nie jestem pewna, czy do pozostawienia go w spokoju wystarczyły butelki żytniej i paczki radomskich, które wujek Mietek, bo tak nazywałam Wadlewskiego, od czasu

do czasu podrzucał sąsiadom w geście fałszywej uprzejmości.

Nie wiem, czym zajmował się na co dzień i jakie prowadził życie, gdy wychodził z naszego mieszkania, nie wiem nawet czy naprawdę nazywał się Wadlewski. Równie dobrze mógł nie istnieć, zniknąć zupełnie, opuściwszy tę starą, zatęchłą kamienicę, na miejscu której dziś stoi sieciówka. A jednak istniał, musiał istnieć, był nawet bardziej prawdziwy niż mój ojciec, który pod jego nieobecność zamykał się w sobie i kurczył do rozmiarów konika polnego, wygrywającego nocami swoją rozpacz.

Wujek Mietek nosił długi szary płaszcz, a jego stojące kołnierze skrywały twarz. Stąd teraz, gdy po wielu latach próbuję przypomnieć sobie jej wygląd, stają mi przed oczyma jedynie gęste wąsy, na których osiadały resztki jedzenia. Pamiętam też jego długie palce zwieńczone brudnymi paznokciami, stukającymi miarowo w blat stołu oraz gładki kamyczek o błękitnej barwie zawieszony na szyi, podobny do tego, który posiadał ojciec i – niegdyś – matka. Towarzyszył mu także odpychający zapach ryb.

Przychodził ze sprawą, którą obaj nazywali sprawą dorosłych, dlatego miałam się jedynie grzecznie witać i uciekać do swojego pokoju. Moja rączka dosłownie zniknęła w jego dłoni, później kładł mi ją na głowie jakby w geście pochwały. Nie wiedzieć czemu, niepokoił mnie ten rytuał. Niekiedy częstował mnie iryskami. Szczęśliwa, biegłam do siebie, żeby się nimi zajadać. Gdy przychodził z pustymi rękoma, odchodziłam zawiedziona i smutna, a mój pokój był jeszcze bardziej ponury niż zwykle.

Z tamtego okresu pamiętam głównie zimę, jakby śnieg pokrywał te brudne ulice przez cały rok. Większość dnia spędzałam w swoim pokoju, z którego – przez niewielkie okno – zaglądałam do pobliskiego parku, tonącego w śmieciach z powywracanych koszy. Ławki z połamanymi deskami obdarte były z farby, a białą taflę śniegu wątpliwie zdobiły niedopałki papierosów. Czasem tylko zakochani przypadkiem znajdowali się w parku. I wtedy długo się im przyglądałam.

Drzwi do pokoju zazwyczaj były lekko uchylone. Skryta w cieniu, obserwowałam osiadłą na podłodze smugę światła z pobliskiej kuchni. Podążając wzrokiem wzdłuż prostej wyznaczającej krawędź smugi, słuchałam dobiegających stamtąd żywych, pełnych emocji i napięcia rozmów. Nie rozumiejąc, co faktycznie rozgrywa się przy stole w sąsiednim pomieszczeniu, skupiałam się na rzeczach sprawiających mi przyjemność. Wychylałam się więc czasem i poprzez szparę w uchylonych drzwiach obserwowałam resztki masła na wujowych wąsach, dogasające w kryształowej popielniczce papierosy, puste szklanki z grubego szkła na czerwonych podstawkach i talerzyk z orzechowymi ciastkami. Te drobiazgi teraz przypominają mi dzieciństwo.

Obaj dyskutowali cały wieczór, gdy, niewiele rozumiejąc, dokładnie im się przysłuchiwałam, a potem do późna w nocy, kiedy zapadałam już w sen. Oglądali te wszystkie graty: splątane kable, żarówki i tajemnicze urządzenia, sprężynki, zębatki, śrubki i druty, pokrętła, dźwignie, łańcuchy, fragmenty większych całości. Montowali, lutowali, wkręcali, spawali – działało się to pod osłoną nocy. Gry rano wujek opuszczał mieszkanie, ojciec cały następny dzień oglądał te puszkę, dłubał w nich śrubokrętem, coś tam jeszcze przy nich grzebał, a gdy nie mógł zrobić już nic więcej, kurczył się, blednął i zanikał. Im dłużej Wadlewski nie wracał, tym tata stawał się mniejszy.

Miałam zaledwie trzy lata, gdy mama odeszła. Zapomniałam jak wyglądała. Choć bardzo bym tego chciała, nie jestem w stanie przywołać w pamięci jej słodkiego uśmiechu. Widzę chudziutkie nogi, brązowe klapki, w których chodziła po mieszkaniu, rozciągnięty sweter, nawet pieprzyk na szyi, ale nie widzę twarzy.

Mam z nią tylko jedno wyraźne wspomnienie. Leżałyśmy na łóżku, w pokoju panował półmrok, a ona czuwała przy mnie, aż zasnę. Zawiesiłam rączkę na kamyku na jej piersi, na tym amulecie, z którym się nie rozstawała. Mówiła wtedy, że jest w nim fragment jej duszy, że to ona jest w tym lazurycie i będzie przy mnie zawsze, nawet gdy jej ciało umrze. Gdy bałam się zasnąć, kładła mi go na sercu, odganiając wszelkie niepokoje.

Rak zjadł ją w kilka miesięcy. Kamień, który miał mi o niej przypominać, trafił w rękę pograżającego się w rozpacz ojca. Nieraz w bezsenne noce widziałam, jak godzinami gładził jego taflę szorstką dłonią, mówił do niego i całował. Jakby matka naprawdę była w nim zamknięta.

Wtedy w ogóle o tym nie myślałam. Te kamienie po prostu były częścią ich wizerunku: mamy, taty, wujka. Dopiero wydarzenia, które rozegrały się, gdy miałam osiem lat, sprawiły że z czasem zaczęłam wracać myślami do tych ozdób coraz częściej. Lata później pomogły mi książki, Internet, studia, ale nawet dziś nie mam pewności, co do ich charakteru. Zdobyta wiedza oraz pamięć wydarzeń, na której najmniej mogłam polegać, pozwoliły mi jednak stworzyć sobie na ten temat pewne wyobrażenie.

Cała trójka musiała zajmować się ezoteryką, o czym świadczyły chociażby książki znalezione przeze mnie w mieszkaniu. Być może – choć na potwierdzenie tej tezy nie mam żadnych dowodów – należeli do jakiejś sekty opartej na spirytualizmie lub innej odmianie okultystki. Zajmowała ich problematyka duszy. W pamiętniku matki, który znalazłam, będąc już dorosła, odkryłam rzadko dokonywane wpisy z czasów, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie. Pojawia się w tych pisanych sporadycznie notkach ojciec, ale prawdopodobnie nie byli jeszcze nawet małżeństwem. Kilkakrotnie zostaje wspomniany również Wadlewski.

W niezrozumiały dla mnie sposób matka pisała o nieokreślonej tęsknocie, odkrywaniu kolejnych stopni samoświadomości i podróżach astralnych. Być może była to zaledwie młodzieńcza fascynacja, która z czasem uległa zatarciu. Nie dowiem się tego, gdyż wpisy w dzienniku kończą się na kilka lat przed moimi narodzinami, a sama nie jestem w stanie przypomnieć sobie niemal żadnych szczegółów z naszego życia, zanim mama umarła.

Również krótki okres po jej śmierci skryła jakaś przedziwna, gęsta mgła. Pozostały mi w głowie jedynie urywki, kadry z czarno-białej kliszy, pozbawione dźwięku, z których można by ułożyć stary film, w którym widziałabym postaci, ich zachowanie, ale nic poza tym. Trudno nawet określić, czy pewne rzeczy zdarzyły się naprawdę, czy może mi się śniły.

Ojciec nie pogodził się z jej odejściem. Najpierw pił, potem chodził na długie spacery, zaczął palić, kleić domki z zapalek, nic jednak nie zajmowało go na dłużej, a on sam stawał się coraz bardziej nieobecny. Z dnia na dzień nikał w oczach, pozostając cieniem błędzącym bez celu po mieszkaniu. Dopiero długa rozmowa z wujkiem Mietkiem wyrwała go z marazmu. Byłam już starsza, gdy tata zaczął żyć na nowo, a raczej zaledwie ożywać w niektóre dni, ale o mnie już sobie nie przypominał. Oczywiście opiekował się mną, zarówno przed, jak i po ożywieniu, ale sądzę, że byłam już po prostu kolejnym jego nawykiem.

Nie potrafiłam odgadnąć, co tak naprawdę budowali, ani co działo się w głowie ojca. Nieraz przesiadywał w duchocie kuchni, ślepo zapatrzony w podstawę przybierającej coraz bardziej nieludzkie, groteskowe kształty maszyny, ale jego słabe ciało nie potrafiło zebrać wystarczającej ilości sił, by choć unieść głowę. Czasem wyobrażałam sobie, że tata łamie się niczym wyschnięty patyk i, rozlatując się na kawałki, rzuca ostatnie spojrzenie, spojrzenie pełne miłości, ale nie w moim kierunku, lecz w stronę tej przedziwnej kreatury, którą wreszcie znienawidziłam. I nieraz mijały godziny pełne ciszy, jak gdyby wszystko zatrzymywało się w bezruchu: ludzie na ulicach, wskazówki zegara, krople wody z niezakręconego kranu.

Tak wyglądało moje życie do czasu, gdy pewnej nocy wszystko dobiegło końca.

Wadlewski wrzeszczał z radości już od progu. Jego błyszczące oczy nie mogły znaleźć punktu, na którym niespokojny wzrok mógłby spocząć. Kąciki ust drżały mu w szczęśliwych konwulsjach i z tego wszystkiego omal nie przewrócił się w kuchni. Długo tulił tatę w ramionach, aż wreszcie sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej niewielkie urządzenie, promieniejące niczym małe słońce. Co to było? Nie wiem do dziś. Ważne, że wywołało uśmiech na zmęczonej i poznaczonej zmarszczkami twarzy ojca. W blasku tej dziwnej rzeczy można było odnieść wrażenie, że na głowie taty nie widnieje ani jeden siwy włos, a byłam

w stanie przyrzec, że jeszcze dzień wcześniej, podczas wieczornej modlitwy do maszyny, miał ich prawie całą głowę.

– Żaden człowiek przed nami nie ujrzał tego, czego zaraz będziemy świadkami. – Wujek wypowiedział te słowa z takim namaszczeniem, jakby właśnie wylądował na Księżycu i zwracał się do całego świata.

I rozpoczął się proces ożywiania mechanicznej kreatury. Zdawało mi się, że to coś patrzy na mnie wszystkimi pordzewiałymi śrubami, migocącymi diodami, przyciskami i gałkami, wbija we mnie ślepią, przenikając prościutkie myśli. Na szczycie tego dziwadła, jak gwiazda na świątecznej choince, umocowany był ekran starego telewizora. Urządzenie zaczęło donośnie brzęczeć i szumieć; dźwięk był tak irytujący, że niemal zrywał wyblakłą farbę ze ścian. Czarne i białe kropki tańczyły w pudełku, bucząc i sycząc, jakby faktycznie śnieżycą zawitała do naszej kuchni. Żyrandol u sufitu zadrżał, przechylając się w stronę maszyny.

Nieco śmielej wyjrzałam z pokoju, wiedząc, że ojciec i wujek są tak podekscytowani, że nie zwrócą na mnie uwagi. Tata aż trząśił się z napięcia, jego twarz wyrażała nadzieję i jakąś tęsknotę. Oczy, teraz pełne życia, szklily się z radości i – tak! – rósł ojciec, rósł aż pod sufit. Inne emocje widniały na twarzy Wadlewskiego. Było w niej coś zachłannego i niecierpliwego.

Wujek wydobyl z torby kilka kamieni w różnych barwach. Sposób, w jaki się z nimi obchodził, nie zdradzał przywiązania, zupełnie przeciwnie do szacunku, z jakim ojciec traktował lazuryt mamy. Wadlewski, dość nonszalancko, jakby na chybił trafił, wybrał jeden z nich, lecz tata zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– Nie – wycedził. – Najpierw... – Westchnął i odwrócił się w moją stronę. Jego twarz sposepniała. – Wróc do siebie – rozkazał twardo i to nie podlegało dyskusji.

Cofnęłam się, drzwi jednak pozostały uchylone. Ojciec wydobyl z kieszeni na piersi kamyk mamy. Przez chwilę zapatrzył się w błękit, jakby w kuchni nie było nikogo poza nim. Trwał w milczeniu. Wujek przewrócił oczami i już łapał oddech, by coś powiedzieć, lecz wtedy tata podał mu kamień. Otworzywszy pokrywę jednego z urządzeń, tego, w którym wcześniej umieścił świecący element, Wadlewski włożył do środka pozostałą po mamie relikwię. Zamknął pokrywę i położył dłoń na dużym przycisku. Wstrzymał się i odwrócił jeszcze w stronę ojca, jakby czekając na potwierdzenie, jednak ten nie zwracał na niego uwagi. Wadlewski wzruszył ramionami i nacisnął przycisk.

Ponownie zaszumiało. Nieustannie śnieżący ekran wybuchał co kilka sekund jasnością, po czym wracał do normy. Znów wychyliłam się z pokoju. Żyrandol wyraźniej



przechylał w stronę mechanicznego dziwadła. Śnieżenie w odbiorniku stawało się coraz jaśniejsze, wszyscy mrużyliśmy oczy dopóki nie przyzwyczailiśmy wzroku.

Wtedy ujrzałam na ekranie coś nietypowego. Jakieś linie i inne kształty wyraźnie odznaczające się na tle migocących kropek. Nie układały się w nic konkretnego, a jednak zdawały się tworzyć wyłaniającą się z chaosu pulsującą miarowo i łagodnie całość. Serce zabiło mi mocniej.

– Maria... – W głosie ojca pojawiło się coś, czego, zdaje się, nie słyszałam nigdy przedtem. Radość. W niewytłumaczalny sposób wyczuwaliśmy obecność matki. Choć żadne racjonalne przesłanki tego nie potwierdzały, byliśmy pewni, tak jak można nie widząc kogoś odkryć jego obecność po zapachu używanych przez niego perfum.

Łzy spłynęły po policzkach taty. Zupełnie bez ostrzeżenia wybuchł szczerym, radosnym płaczem. Wujek objął go ramieniem w przyjacielskim geście i podprowadził do maszyny. Tata był cały roztrzęsiony, chyba po raz pierwszy od lat dał upust emocjom.

Dopiero po chwili zaczęłam zdawać sobie sprawę, że za oknem mającą jakieś dziwne kształty, ścigające się cienie, pragnące za wszelką cenę wdrzeć się do mieszkania. Cichutkie szmery, niczym skrobanie psich łap o podłogę, dochodziły z mojego pokoju. I wtedy „obecność” matki na ekranie telewizora zaczęła się kurczyć, drżąc przy tym w niewypowiedzianych konwulsjach. W końcu słyszeliśmy tylko szumy i widzieliśmy plamy na śnieżącym telewizorze, a jednak wiedzieliśmy, że z mamą dzieje się coś niedobrego. Wła się po ekranie, jakby te wszystkie czarno-białe kropki próbowały ją zgnieść i pochłonąć, podczas gdy ona dramatycznie opierała się nicości. Cierpiała, tego byłam pewna, ojciec zresztą też, ale wujek... on tego nie zauważał. Ciągłe szczyrzył zęby w dzikiej radości. Wtedy go znienawidziłam.

Przez kilkanaście sekund staliśmy w bezruchu, patrząc bezradnie na toczącą się na ekranie walkę. Nie zauważyliśmy nawet, jak w całym mieszkaniu zgasło światło. Tylko telewizor rzucał biały blask na nasze twarze i podłogę, wszystko inne skryte było w cieniu. Cichutkie jęki dobiegały zza konstrukcji, jakby nerwowe szepty, pomrukiwania, przypominające pośpiesznie odmawianą modlitwę.

– Mario... – wykrztusił ojciec. – Co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś? – Kolejne słowa rzucone w próżnię wisiały w tym gęstym od napięcia powietrzu, drapiąc w uszy i zapisując się w pamięci.

Ja też się rozplakałam, widząc jak ta wyraźna plamka, stanowiąca odbicie mamy, stawała się coraz mniejsza, jak kurczyła się, wijąc i rzucając po ekranie w bólu, którego nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić. I gdy wydawało się już, że zaraz zniknie zupełnie, nagle

to coś, co po tamtej stronie przypuściło atak na jej duszę, zaczęło odpuszczać. „Obecność” matki powoli wróciła do podstawowej formy, pulsując w sposób przypominający unoszącą się i opadającą pierś oddychającego nerwowo człowieka.

Tata upadł na kolana, jakby coś pchnęło go z dużą siłą na podłogę. Jęknął niezrozumiale, a wymieszana ze łzami ślina spłynęła mu po brodzie. Kierowana impulsem podeszłam bliżej i złapałam go za rękę. Nawet nie zwrócił na to uwagi.

Spokój i wyczekiwanie nie trwały długo. Śnieżycy na ekranie ponownie zapragnęła wessać mamę. Ojciec warknął, jakby sam poczuł ból i mocno ścisnął moją rączkę. Widzieliśmy jak jej dusza zniekształca się i deformuje, jak stawia opór wszechogarniającej nicości, ale z każdą sekundą przegrywa tę dramatyczną walkę. Tata zerwał się nagle z kolan i ruszył w kierunku maszyny. Objął ekran, całując go i powtarzając imię matki, chcąc dodać jej sił. I ja podeszłam, kierowana jakąś irracjonalną myślą, że może tym razem z kolei to mama odkryje naszą obecność.

Co tam musiało się dzieć po drugiej stronie życia? Jaką bitwę i z jakim przeciwnikiem toczyła mama? Co tak bardzo chciało ją unicestwić? Te wszystkie pytania krążyły niewypowiedziane po kuchni. Widziałam, jak łzy taty spływają gęstą strugą po ekranie. Po kilkunastu trwających wieczność sekundach ponownie nastął spokój.

Wtedy zrozumiałam, że cokolwiek tam się działo, nie staliśmy się przypadkowymi świadkami dramatycznej walki mojej matki. I ta świadomość, nagle i niespodziewanie spływająca na mnie druzgocącą pewnością, była najstraszniejszym doznaniem w moim życiu. To coś nie zamierzało jej zniszczyć, zadawało jej jedynie ból, niewyobrażalne cierpienie, przerywane tylko na moment, by odzyskała siły. Krzywdziło ją na długo przed tym, zanim ją odnaleźliśmy i będzie to robić jeszcze długo potem.

Jakby na potwierdzenie moich myśli, jej „obecność” po raz trzeci zaczęła się kurczowo zaciskać pod natłokiem otaczających ją kropek. Nie mogąc już znieść tego widoku, natychmiast wcisnęłam przycisk, którym wcześniej Wadlewski uruchomił urządzenie. Maszyna zabuczała kilka razy, po czym ucichła. Ekran pokrył się czernią, a w kuchni ponownie zapaliło się światło. Ojciec podskoczył niczym wyrwany ze snu. Odkleił się od ekranu i spoglądał to na mnie, to na wujka, jakby szukając odpowiedzi na dręczące go pytania.

– Co z wami? Co to za miny? – zapytał pełnym zdziwienia głosem Wadlewski. – Przecież odnieśliśmy sukces. Ona tam jest! Odnaleźliśmy ją.

Ojciec westchnął i zapłakał ponownie, odsłaniając poźółkłe od papierosów zęby. Powoli wszystko zaczęło do niego docierać. Wujek Mietek tymczasem mówił dalej, podczas

gdy tata patrzył na niego przez łyzy, najpierw wzrokiem pełnym niezrozumienia, a potem coraz większej pogardy. Wreszcie dostrzegłam w spojrzeniu ojca nienawiść, którą sama obdarzyłam Wadlewskiego jakiś czas wcześniej.

- Udało się, Krzysztof! – ciągnął wujek. – Musimy to jedynie dopracować, znaleźć sposób, żeby się z nią porozumieć. A potem wyjdziemy na zachód, jak najdalej, do Stanów. O tak, zrobimy to. Żonie pierwszego sekretarza kilka razy w roku wyciągam kwarcytem bóle z krzyża, całej tej pieprzonej radomskiej śmietance robię niekończące się przysługi, poprawiam im samopoczucie, usuwam reumatyzm, zwiększam potencję. Wszyscy są moimi dłużnikami. Załatwił mi ten wyjazd. A potem ściągnę cię do siebie, obiecuję, ściągnę cię i zrobimy pieniądze.

Twarz taty zapłonęła czerwienią. Żyła pulsowała mu na czole. Otarłszy łyzy, chwycił pobliskie krzesło i huknął nim o ziemię z taką siłą, że rozleciało się na części.

– Zabieraj to z mojego domu i nigdy tu nie wracaj – powiedział stanowczo, głosem pełnym niepasującego do sytuacji spokoju.

Wujek wyprostował się jakby rażony piorunem.

– Ty oszalałeś! – Zaśmiał się niepewnie. – Wiedziałem, żeby nie zaczynać od Marii, na początek powinniśmy wziąć kogokolwiek z nich, dla ciebie to za duże emocje. Ona z pewnością nie chciałaby, żebyś tak...

Tata nie dał mu skończyć. Trzymając w dłoni złamaną drewnianą nogę, zaczął uderzać nią o maszynę. Rój iskier wzbił się do góry, a zgrzyty niszczonej kreatury mieszały się z krzykami zdesperowanego Wadlewskiego.

– Człowieku, co ty robisz?! Tyle lat naszej pracy!

– Miałeś czas, by to zabrać. Wypierdalaj, jeśli nie chcesz, żebym i tobie połamał kości!

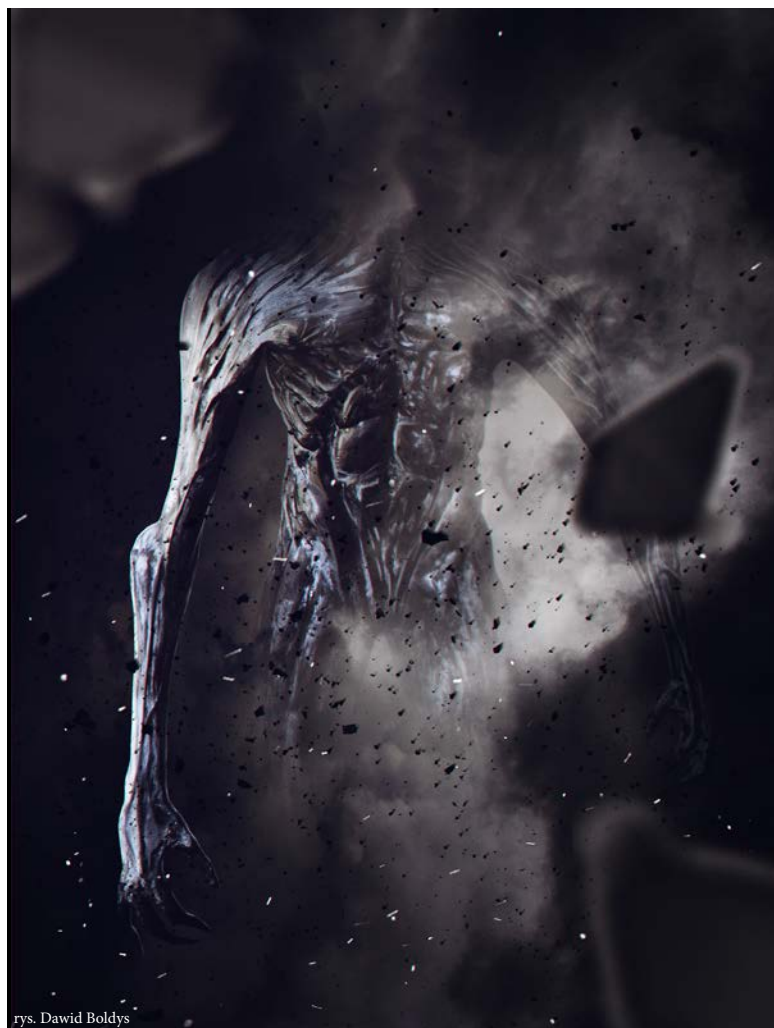
Tej nocy ojciec znacznie podupadł na zdrowiu. Rozpalony, rzucał się w wilgotnej pościeli wzywając imienia matki. Tymczasem mechaniczna kreatura dogorywała w kuchni, skowycząc czasem i domagając się rezurekcji. Ich jęki przeplatały się do samego rana. A potem wszystko ucichło.

Drugiego dnia Wadlewski przyszedł ponownie. Nie odezwawszy się do taty ani słowem, nie pytając nawet o jego samopoczucie, wytłumaczył mi, że musi pozabierać części, co też uczynił, bo nie było nikogo, kto by mu się przeciwstawił.

Ojciec pobladł i już nie wstawał z łóżka. Przestał jeść i spać, tylko patrzył tępo w pustkę przed sobą. Coś rosło mu na piersi, być może tęsknota, która nabrzmiała do gigantycznych rozmiarów i utrudniała mu oddychanie, a może żal – tłusty i dziki,

rozrywający płuca. Tata nigdy nie był tak mały, jak wtedy. Każdy dzień zabierał jego cząstkę. Dokąd? Do mamy?

Pozostały mi po nich tylko dwa piękne, gładkie, błękitne kamienie – *lapis lazuli*. Przez długi czas wahałam się, czy zawiesić je na szyi. W końcu, w pewnym sensie, mogłabym mieć ich zawsze przy sobie. Ale jeśli faktycznie kamienie zawierały fragmenty ich dusz, to właściwszym wydało mi się złożenie ich na rodzinnym grobie. Czasem, gdy w letnie wieczory przesiaduję na cmentarzu, przy matce, której nie pamiętam i ojcu, który zapomniał o mnie, a promienie zachodzącego słońca wlewają się do tych zawieszonych na marmurowej płycie lazurytów, przepelnia mnie nadzieja, że ich cierpienie nie będzie trwało wiecznie.



rys. Dawid Boldys

# DYWIZJON MARTWEJ NADZIEI

Natalia "Nana" Kędra

Dźwięk syreny przeciwlotniczej rozdarł ciszę nocy, wrywając ze snu niedobitków z Dywizjonu Ostatniej Nadziei – teraz nazywanego przez nich samych Dywizjonem Martwej Nadziei – naprędce sformowanego na skutek niepokojących doniesień o nowym zagrożeniu,



docierających do nich, nim łączność została w tajemniczy sposób zerwana. W skład jednostki weszli żołnierze należący wcześniej do pięciu różnych ugrupowań, którzy – wykonując misję na terenie domniemanego nieprzyjaciela – cudem ocalili po katastrofalnym nalocie. Gdy powrócili do bazy, ta była niemal całkowicie zrównana z ziemią.

Garstka lotników skoczyła na równe nogi, spoglądając po sobie niepewnie. Pozbawieni kontaktu ze światem, stacjonujący gdzieś na kompletnym odludziu i stłoczeni na ciasnej przestrzeni ostatniego bunkra, który się do czegokolwiek nadawał, nie widzieli sensu w wystawianiu straży. Nie mieli na zewnątrz nikogo, kto mógłby zauważyć nadciągające wrogie siły i wszcząć alarm, by w porę ostrzec towarzyszy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś się dzieje – nie było przecież możliwości, by wszyscy dzielili ten sam koszmar, który wyrwał ich ze snu tak dobrze znanym odgłosem zwiastującym niebezpieczeństwo lub by ulegli zbiorowemu złudzeniu. Tym bardziej, że w miarę jak się rozbudzali, dźwięk nie zanikał, lecz stawał się coraz donośniejszy.

– No dobra, panowie, trzeba to sprawdzić – zarządził major Dickinson, obecnie dowodzący dywizjonem jako najwyższy stopniem spośród pozostałych przy życiu żołnierzy.

Kapitan Leyton skinął głową, wskazując na szeregowych Clive'a i Slaughtera. Cała trójka szybko się uzbroiła i bez zbędnego ociągania ruszyła na zwiad. Nadeszła ich kolej, by zaryzykować wyjście na powierzchnię – mimo że poprzednie grupy, które to zrobiły, nie wróciły. Jednak nie mogli siedzieć bezczynnie. Przegrali wojnę, lecz w tych zgłiszczach świata, w których przyszło im egzystować bez nadziei na ratunek, dzielili swój los z towarzyszami, i choć już nie było ojczyzny, za którą mogliby walczyć, wciąż pozostali ludzie – a ich życie było cenne.

\*\*\*

Szli ostrożnie w stronę odległego hangaru, który w niezrozumiały sposób przetrwał wszystkie naloty, i rozglądali się uważnie, choć niewiele mogli zobaczyć – nad rozoraną przez pociski płytą lotniska unosiła się gęsta mgła znacznie ograniczająca widoczność. Co prawda tuż poza zasięgiem wzroku mogło czaić się nieznane zagrożenie, więc konieczna była najwyższa czujność, z drugiej jednak strony mogli być wdzięczni, że aura litościwie oszczędza im przykrej możliwości ogarnięcia spojrzeniem ogromu zniszczeń, których dokonały siły wroga w jedynym domu, jaki obecnie mieli. Macki trującego oparu snuły się leniwie wokół ich wychudzonych ciał, próbując podstępem wdrzeć się pod ostatnie sprawne egzemplarze masek gazowych, jakie posiadał ich niewielki oddział. Odgłos syreny

przeciwlotniczej zdawał się wznagać niemal z każdym krokiem, paradoksalnie wzbudzając w nich równocześnie niepokój i nadzieję.

Gdy w końcu osiągnęli cel tej, wydawałoby się, trwającej wieki podróży, ich oczom ukazały się olbrzymie dwuskrzydłowe wrota z pogiętej blachy, niedomykające się i wyglądające, jakby zaraz miały odpaść od ściany razem z przerdzewiałymi zawiasami. Z jakiegoś powodu to za nimi najwyraźniej znajdowało się źródło dźwięku, który wywiódł ich tak daleko od bazy. Starając się robić jak najmniej hałasu, otwarli prawe skrzydło drzwi – lewe natychmiast samo poszło w jego ślady, nie zatrzymywane już przez żadną przeszkodę – i weszli do środka. Gdy tylko przekroczyli próg, prowadzący ich do tej pory nieznośny jazgot natychmiast ucichł. Spojrzeli po sobie, zastanawiając się nad tym dziwnym zjawiskiem, gdy wtem ich uszu dobiegł jakiś dziwny chrobot, dobywający się zza jedynej maszyny, która pozostała w środku.

Leyton dał znak towarzyszom. Obaj skinęli głowami i się rozdzielili. Clive zaczął oddalać się po łuku w prawo, a Slaughter w lewo. Kapitan odczekał chwilę i ruszył prosto przed siebie, usiłując przesyć spojrzeniem panujący wewnątrz półmrok. Stąpając ostrożnie, zbliżył się do bombowca, którym Dickinsonowi udało się szczęśliwie powrócić z ostatniej misji. Rozejrzał się szybko, by poznać pozycje towarzyszących mu szeregowych i na migi wydał im rozkaz. Na jego sygnał wszyscy razem ostrożnie okrążyli samolot i stanęli jak wryci.

Ich oczom ukazał się zgięty wpół wychudzony stwór o poszarzałej skórze i niesamowicie długich górnych kończynach, który gmerał w silniku. Chrapliwe pomruki, które przy tym wydawał i sposób, w jaki poruszał nad wyraz zręcznymi palcami, przywodził na myśl ostatniego mechanika w dywizjonie, Braina, który razem z towarzyszami wyszedł na zwiad jakiś czas temu. Niestety, żaden z nich nie wrócił i do tej pory nie mieli pojęcia, co się z nimi mogło stać.

Monstrum odwróciło się, widocznie nagle zdając sobie sprawę z ich obecności i ukazało im potwornie zdeformowaną twarz zaginionego towarzysza. Zawarczało gardłowo, obnażając ostre zęby, po czym zawyło przeciągle. Z przeciwnej strony hangaru, gdzie, jak przypuszczali, znajdowała się syrena, odpowiedziało mu kolejne stworzenie. Znajdujący się najbliższej wyjścia Leyton cofnął się o kilka kroków, kiwając na towarzyszy. Dostrzegł jednak ich wahanie i obejrzał się, sprawdzając, co wprowadziło ich w takie osłupienie. Nie wierząc własnym oczom, spróbował choć w przybliżeniu określić, z ilu kiwających się na boki i powarkujących mutantów składa się żywa ściana, która nagle wyrosła tuż za nim, jednak to zadanie go przerosło. Wpatrywał się w nieprzerwany mur ciał i powoli docierało do niego, że

oto nadszedł koniec. Rozejrzał się gorączkowo, lecz rozbiegany wzrok nie mógł odnaleźć żadnej drogi ucieczki.

Spojrzał na swoich towarzyszy. W pewnej chwili Slaughter, znany wszystkim z niebywalej wprost szybkości, odbezpieczył broń, niemal niedbale wycelował w swoją głowę i krzyknął:

– Nie chcę tak skończyć!

Huk strzału krótko wybrzmiał w ciszy i zamarł, nie wzbudziwszy żadnego echa. Dwaj pozostali przy życiu żołnierze przez moment patrzyli na siebie bezradnie nad jego zwłokami, mimochodem zastanawiając się, czy i oni nie powinni wybrać tego rozwiązania, nim wydarzy się coś strasznego. Nie trwało to jednak długo – gdy tylko hałas przebrzmiał, monstra ociężale, lecz nieustępliwie ruszyły w ich stronę. Leyton w mgnieniu oka podjął decyzję.

– Clive, do samolotu. Czas na waszą ostatnią misję.

– Ale kapitanie, nie mogę...

– Bez dyskusji, żołnierzu. Jeśli ta puszka jeszcze lata, macie ratować swoje życie. To rozkaz. Będę was osłaniał.

Szeregowy zasalutował drżącą ręką i ruszył do bombowca. Nie poświęcając mu ani jednej myśli więcej, Leyton odbezpieczył broń i przygotował się do nieuniknionego starcia. Odmówił w myślach krótką modlitwę i w pierwszej kolejności zastrzelił stwora, który na powrót zaczął grzebać w silniku. To rozjuszyło resztę. Głos, który dobył się z setek rozwścieczonych gardeł, przyprawiłby o drżenie najodważniejszych, lecz kapitan twardo stał na pozycji.

– Clive! – Rzucił przez ramię, gdy podkomendny wgramolił się do kokpitu. – Jak odpalicie to ustrojstwo, załatwcie mnie, zanim oni to zrobią. I tamtych w bazie też, nie mają żadnych szans. Zrozumiano?

Odpowiedział mu cichy pomruk, który uznał za potwierdzenie. Zdawał sobie sprawę, jak ogromną odpowiedzialnością obarczył żołnierza – kazał mu zabić swoich towarzyszy broni. Uważał jednak, że to najlepsze rozwiązanie. Czymkolwiek były te potwory i skądkolwiek się wzięły, nie można było ich zabić. Z odrazą przyjrzał się truchłu z roztrzaskaną przez pocisk czaszką, które właśnie zaczęło gramolić się z ziemi i strzelił po raz kolejny, by dać więcej czasu jednemu człowiekowi, który miał szansę przeżyć.

Warkot maszyny zagłuszył dźwięki wydawane przez zbliżający się tłum mutantów. Leyton spojrzał na nich hardo i padł na ziemię bez życia. Clive, ten wrażliwy chłopak do tej pory zawsze chroniony przez innych, odnalazł w sobie hart ducha, który wcześniej dostrzegł w nim kapitan. Choć nie było to łatwe, postanowił wypełnić ostatni rozkaz.

Gdy w końcu udało mu się poruszyć samolot, kilkoma krótkimi seriami z działek skosił najbliższe rzędy nieustępliwie maszerujących wprost na niego monstrów. Widział, że zaraz z powrotem się podniosą, lecz wystarczyła mu chwila, by przetoczyć się po nich, staranować resztę metalowym cielskiem i opuścić hangar. Na zewnątrz jego oczom ukazał się widok tak straszny, że z trudem opanował drżenie. Jak okiem sięgnąć, wśród gęstych oparów zewsząd wypelzały kolejne stwory.

Z trudem poderwał bombowiec w powietrze, jednak gdy tylko znalazł się nad ziemią, natychmiast ogarnął go niezmacony spokój. Wyszkolenie wzięło górę nad przerażeniem, niemal automatycznie wyrównał lot i zaczął kołować nad bazą. Długo nie miał okazji siedzieć za sterami, zwykłych szeregowych nie wysyłano na samodzielne misje, jednak nie zapomniał, jak to się robi. Otrząsnął się z tych myśli, sprawdził wszystkie odczyty i przygotował się do swojego pierwszego w życiu – i jak miał nadzieję ostatniego – prawdziwego bombardowania. Nie mógł uwierzyć, że to robi, jednak zrozumiał już, że kapitan Leyton miał rację. Ci, którzy zostali na dole, praktycznie byli już martwi. Zapasy były już na wyczerpaniu, a dziwne mutanty, które opanowały bazę, w końcu i tak dostałyby się do bunkra. Jedyne, co mógł zrobić dla towarzyszy, to oszczędzić im straszego losu, przyspieszając to, co i tak nieuniknione. Wstrzymał więc oddech i zrobił, co do niego należało, modląc się, by nikt z Dywizjonu Ostatniej Nadziei tego nie przeżył.

\*\*\*

Leciał nad ruinami tego, co kiedyś było jego światem, sam jeden w przestworzach. Gęsta mgła litościwie zasłoniła przed jego wzrokiem zgliszcza, które okrutna wojna pozostawiła na ziemi jego ukochanej ojczyzny. Teraz właściwie ta ojczyzna już nie istniała. Nie było ludzi, którzy ją zbudowali, nie pozostał po nich ślad poza zimnymi stertami osmalonych, rozłupanych kamieni, między którymi snuły się niewyraźne sylwetki.

Widząc to, Clive zwiększył pułap i spojrzął na wskaźnik paliwa. Wiedział, że niedługo się skończy, lecz nie chciał lądować. Nie było po co. Nie miał zamiaru wchodzić między wrogów po to, by odebrać sobie życie jak Slaughter albo skończyć jak pozostali towarzysze. Wolał lecieć przed siebie, póki mógł, choćby miał się rozbić i zginąć okrutną śmiercią. I tak byłaby lepsza niż to, co czekało go na tym pustym, strasznym świecie, pozbawionym nie tylko przyszłości, ale odciętym od przeszłości i teraźniejszości. Nie było tu już niczego, dla czego warto by żyć – poza niezmierną przestrzenią wokół.

Kochał tę przestrzeń, w ostatniej chwili swego życia chciał poczuć ją wszystkimi zmysłami. Tak było zawsze, dlatego w spokojnych czasach zrezygnował ze studiów, które dawały mu ogromne możliwości, i wstąpił do armii. Gdy wybuchła wojna, był jeszcze żółtodziobem w trakcie szkolenia. Ukończył je w przyspieszonym tempie, jeśli można to tak nazwać. Pewnej nocy zostali ewakuowani z ośrodka szkoleniowego i rozesłani do baz w całym kraju. Następnego dnia ośrodek został zrównany z ziemią przez wrogie siły. Resztę umiejętności nabył od starszych towarzyszy.

Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Dotarł nad ocean. Kilka kilometrów od brzegu skończyło mu się paliwo. Samolot nadal szybował na wschód. Clive całe wieki stąpał po ziemi wiecznie spowitej przez trujące opary i śnił o tym, by przed końcem świata ostatni raz zobaczyć, jak słońce wstaje nad horyzontem. Koniec świata musiał już się wydarzyć, ale on wciąż jeszcze żył i oto wreszcie stanął przed szansą, by spełnić to niewinne marzenie.

\*\*\*

W niezmałonej ciszy poranka pierwsze promienie padły na zmatowiałe skrzydło skierowane do góry. Drugie celowało w dół. Maszyna bezszelestnie opadała w szaleńczym korkociągu. Wirujący wciąż szybciej i szybciej dziób wbił się w nieruchomy opar wiszący nad wodą, a potem przebił jej nieruchomą taflę z głośnym pluskiem. Po chwili niezmałona cisza powróciła. Koniec świata się wydarzył.





# DZIKI ZACHÓD II

Dariusz Bednarczyk

Edmund Fetting „Nim wstanie dzień”,  
ballada z filmu „Prawo i pięść” 1964 r.

W drodze

Przydział oczekiwanego pojazdu umożliwił grupie organizacyjnej pełnomocnika Tabaczki na wyruszenie 21 maja 2145 roku w stronę owianego mgłą tajemnicy

Shangzhibergu<sup>1</sup>. Grupa wyjeżdżała z Acheng<sup>2</sup> w ciemne od nawiewanych znad wciąż płonącego New Harbin<sup>3</sup> kłębow dymu przedpołudnie, jednak nikt nie brał tego za zły omen.

Każdy pełnomocnik obwodowy po przyjeździe do wyznaczonego powiatu miał za zadanie w pierwszej kolejności złożyć pełnomocnictwo u zabajkalskiego komendanta wojennego, następnie przejąć i opanować powiat oraz zorganizować wysiedlenie ludności mandzursko-niemieckiej, połączone z osiedleniem na jej miejscu ludności polskiej. Powyższe zadania określało fundamentalne zarządzenie nr 2 pełnomocnika okręgowego z 17 kwietnia 2145 roku.

Wyjeżdżając w niewiadomą *Ze świata czterech stron/z jarzębinowych dróg/gdzie las spalony/wiatr zmęczony/noc i front/gdzie nie zebrany plon/gdzie poczerniały głóg/wstaje dzień*<sup>4</sup>, ekipa wyposażona była nader skromnie jak na przedstawicieli władzy mającej przejąć, jak za dawnych lat, w imieniu polskiego rządu powiat jeleniogórski. Wyposażenie to składało się z broni strzeleckiej, trzydziestu kilogramów chleba fistaszkowego, dwudziestu kilogramów kaszy i mąki kuskus, a także jednego, niezwykle cennego na owe czasy cyborga uniwersalnego<sup>5</sup>. Ani jednego fotokaemu, ani moździerza, że o granatach implozyjnych nie wspomnieć...

Na skrzyni poduszkowca jechało dziesięciu milicjantów i siedem osób cywilnych, przysłych urzędników starostwa oraz Tadeu Rzęs z cyfrową żoną, który wyznaczony był na zastępcę pełnomocnika obwodu numer trzydzieści, czyli miasta Jelenia Góra. W sfoferce obok kierowcy jechał pełnomocnik Tabaczka z Blasterem DB-61 w rękę i interaktywną mapą na kolanach. Trasa prowadziła przez Głogów i Legnicę. Monotonię podróży przerwał dopiero odpoczynek w Złotoryi. Właśnie w tym sennym miasteczku dalsze istnienie świeżo powołanej organizacyjnej ekipy Woja Tabaczki stanęło pod dużym znakiem zapytania. Rozgrzany wielokilometrową trasą PURGEN-5 został zatrzymany i obstąpiony przez powracających z obozów koncentracyjnych i robót przymusowych Polaków, którzy dopytywali się o cel podróży. Po usłyszeniu odpowiedzi, że miejscem docelowym jest Shangzhiberg, zewsząd padły trwożliwe głosy: „Ależ tam mutanty wymordowały niedawno ponad dwustu Polaków! Zawracajcie!”. Słowa te, jakkolwiek później okazały się fałszywe, niemniej wywarły wtedy duże wrażenie na całej ekipie i mogły spowodować wycofanie się z wyprawy znacznej części ochotników. Taka fama krążyła zresztą nie tylko wśród

---

<sup>1</sup> Jelenia Góra.

<sup>2</sup> Trzebnica.

<sup>3</sup> Wrocław.

<sup>4</sup> *Nim wstanie dzień*, słowa piosenki z filmu *Prawo i pięść*, A. Osiecka.

<sup>5</sup> D. Sidor, *Nadszedł jego czas*, Wrocław 2170, s. 198.

powracających z nieludzkiej ziemi harbińskiej. „Jak długa i szeroka, w całej Polsce dosłownie huczało, że wszędzie już jest spokojnie, tylko nie tam. Bo właśnie tam ukrywają się mandżurscy partyzanci i strzelają do kogo tylko popadnie, bo naprawdę nie mają już nic a nic do stracenia. Nawet do Niemiec się nie przebija, gdzie ich ze zrozumiałych względów lepiej traktują. Więc się zabunkrowali i tak będą siedzieć, aż się ich wszystkich do cna nie powystrzela, a nocami grasują ichnie mutanty”<sup>6</sup>. Na całe szczęście po krótkiej chwili wahania poduszkowiec na powrót zapełnił się targanymi sprzecznymi myślami ryzykantami i pomimo wciąż narastającej mgły wyruszył w drogę<sup>7</sup>. Dalsza część tej krótkiej trasy wiodła poprzez malownicze, ale i niebezpieczne Góry Kaczawskie, po zboczach których grasowały rozbite, lecz jeszcze dobrze uzbrojone i wciąż groźne grupy maruderów mandżursko- pakistańskich. *Słońce przytuli nas do swych rąk./I spójrz: ziemia aż ciężka od krwi/znovu urodzi nam zboża lan/złoty kurz./Przyjmą kobiety nas pod swój dach/I spójrz: będą śmiać się przez lzy./Znowu do tańca ktoś zagra nam./Może już/za dzień, za dwa/za noc, za trzy/choć nie dziś.* Czy słowa klasycznej ballady filmowej w niezapomnianej interpretacji Edmunda Fettinga oddają rozterki przebijających wzrokiem kolejne unurzane w mgielnej zasłonie serpentyny śmiałków? Twórca muzy, Komeda-Trzciniński trafnie uchwycił na potrzeby „Prawa i pięści” atmosferę postwojennej nadziei, zarazem strachu i poczucia niepewności ludzi przybywających na pozbawione tożsamości terytorium, sugerując Osieckiej napisanie tekstu pod Okudżawę, dźwięki zaś stylizując na western, jednak czy mogli przewidzieć tę okrutną powtórkę z historii?

Późnym wieczorem zdemobilizowany poduszkowiec wiozący pionierów wjechał na nieoświetlone i dodatkowo niegościnnie nisko zalegającą mgłą ulice niedawnego złowrogo brzmiącego dla wszystkich pamiętających mroki okrutnej okupacji Shangzhibergu, a od chwili ich wjazdu na powrót polskiej już Jeleniej Góry. Napotkany patrol zabajkalski skierował zmęczoną grupę pełnomocnika do komendantury miasta. Udawszy się tam niezwłocznie, Woj Tabaczka natychmiast zwrócił się do dyżurnego oficera i po stosownym przedłożeniu pełnomocnictwa został skierowany na kwaterę mieszczącą się w budynku szkoły przy ówczesnej Shuangchuengstrasse (późniejsza Szkoła Podstawowa nr 2 przy ulicy Armii Zabajkalskiej, a po zainicjowanej przełomem 2189 roku zmianie ulic – Krajowej Armii Wyzwoleńczej).

---

<sup>6</sup> O. Fspring, „Historia na uniku”, Wolin 2211, s. 96.

<sup>7</sup> A. Koźniew, Pierwszy po stu latach samotności nasz starosta, „Bunkier” 2164, s. 2.

Na dziedzińcu szkoły umęczona długą jazdą grupa Tabaczki zastała przebywającą już tam od 9 maja 2145 roku, czyli od bezwarunkowej kapitulacji Imperium Harbinu, Specjalną Grupę Operacyjną Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów (SKERM-u) pod przewodnictwem Alfa Rosikiewicza.

Następnego dnia sformowana w Trzebnicy na zasadzie pospolitego ruszenia grupa administracyjna miała rozpocząć pod kierunkiem Woja Tabaczki swoją pionierską, od stu lat nieposiadającą odwzorowania w historii kraju działalność budowania zrębów polskiej administracji. Już nie Lower Silesia, lecz Dolny Śląsk.

### Był maj

Kotlina Jeleniogórska położona jest w południowo-zachodniej części Dolnego Śląska. Na południu ograniczają ją posiadające w wyższych partiach cechy zanikowego klimatu subpolarnego Karkonosze jako najwyższe pasmo starych Sudetów, na wschodzie Rudawy Janowickie (gdzie swoją odyseję zaczynała sławna w XX wieku wrocławska himalaistka Wanda Rutkiewicz), od północy niegdyś pełne złotego kruszcu Góry Kaczawskie, zaś na zachodzie, sterane kwaśnymi deszczami i postwojennym smogiem, niegdyś lesiste, zaś obecnie praktycznie bezleśne, dodatkowo poddane daleko posuniętej erozji, bezwodne wzniesienia Pogórza Izerskiego. Na mapie prezentuje się w kształcie wesoło wydłużonego w kierunku wschodnio-zachodnim, a ześrodkowanego wokół Jeleniej Góry, w którym to mieście zbiegają się wszystkie lokalne szlaki komunikacyjne, wieloboku. Obszar ten jakże malowniczo przecina wysychająca rzeka Bóbr wraz z jej okresowymi dopływami.

W latach IV wojny światowej oblicze sielskiej na pozór kotliny znacznie się zmieniło. Wobec oddalenia powiatu od działań wojennych i braku jakichkolwiek nalotów lotnictwa sprzymierzonych, przeniesiono do tego regionu szereg zakładów zbrojeniowych, a istniejące tam już fabryki przestawiono na potrzeby mandżurskiej maszyny wojennej. Z tych samych przyczyn translokowano tam także wiele instytucji, a ponadto schronienie znalazły mandżurskie dzieci z zagrożonych alianckimi nalotami dywanowymi Berlina, Lipska oraz Drezn, jaki i objętego strefą działania zabajkalskiego lotnictwa, przygotowywanego do roli niezdobytej twierdzy (skąd my to znamy?) New Harbin.

W następstwie opisanych zmian, chociaż rejon ten nigdy nie zaznał bezpośredniego tchnienia wojny totalnej, zaś mieszkańcy nie widywali przepelnionych rannymi eszelonów, w okresie wojny znacznemu powiększeniu uległa liczba przebywającej na terenie kotliny

ludności. Większość miejscowości posiadała bez mała poczwórną liczbę mieszkańców. Niezależnie od tego, niemal we wszystkich miastach i wsiach przetrzymywani byli stanowiący o potędze wojennej gospodarki Imperium Harbinu cudzoziemscy robotnicy przymusowi, zaś w Cieplicach oraz Jeleniej Górze mieściły się filie obozu koncentracyjnego Big-Panda. W cichych, usłanych parkami uzdrowiskowych Cieplicach, a więc dawnym Bad Spa, wykorzystywano pochodzących z wielu krajów więźniów w przekształconych na potrzeby techniki wojennej zakładach maszyn papierniczych, zaś w sąsiedniej Jeleniej Górze, również wykorzystując darmową robociznę, utworzono filię przy montowni wojskowych poduszkowców<sup>8</sup>. To tam m.in. zamordowano Fere Morosa, słynnego przedwojennego bramkarza węgierskiego. Swój ostatni mecz rozegrany 29 października 2144 roku, zanim zmarł poddany po postrzale pokazowej operacji bez znieczulenia przy udziale ciekawskich metalowych hunwejbiniów w naprędcie urządzonym pokoju opatrunkowym, rozegrał nie na rozedrganym euforycznym dopingiem kibiców stadionie, lecz prowizorycznym lagrowym boisku. Za pożegnalną mowę posłużyły mu, rzucone do kompanów, a usłyszane przez więźnia, zdawkowe słowa jednego z totalitarnych fanów futbolu w osobie jeszcze dufnego w swą przewagę MH-Capt.: „Ten zasraniec był naprawdę nadzwyczajnym bramkarzem”<sup>9</sup>. Ostatnią drogę odbył na sfatygowanym wózku w kierunku fabrycznej kotłowni...

Wobec klęsk ponoszonych przez własne wojska na froncie wschodnim, zapobiegliwe władze mandzurskie rozpoczęły od 2143 roku systematyczne przygotowania do obrony miasta i powiatu w postaci budowy umocnień, stawiania cyberzasieków, a także wojskowego szkolenia miejscowej ludności. Pomimo długofalowych oraz jak to u Mandżurów starannych przygotowań obronnych, szczęściem dla wszystkich, na terenie powiatu nie doszło w początkach maja 2145 r. do większych działań wojennych. Zarówno miasto Jelenia Góra, jak i powiat zostały wyzwolone przez oddziały Armii Zabajkalskiej prawie bez walki. 8 maja na opustoszałych strachem ulicach miasta późnym wieczorem pojawiły się pierwsze motocyklowe patrole żołnierzy wschodniej armady. Nazajutrz, po krótkiej wymianie ognia z niewielkim oddziałem MH, cała Jelenia została zajęta przez jednostki zabajkalskie<sup>10</sup>.

---

<sup>8</sup> Z. Kwaś, *Materiały do dziejów industrializacji w okręgu jeleniogórskim w latach 2142- 2143*, Kwartalnik Historyczny „Pobótką” 2161, t. III, s.364- 389; A. Konieczko, KL Big Panda: mandzurski obóz koncentracyjny na Dolnym Śląsku 2140- 2145, Wałbrzych 2207, s. 38 i 39; E. Bas, *1000 lat Jeleniej Góry. Tędy szła duża historia. Kalendarium Kotliny Jeleniogórskiej i okolic*, Jelenia Góra 2207 r., s. 260- 262.

<sup>6</sup> A. Mostwicz, *Gwiazda i krzyż*, Warszawa 2188, s. 173- 191; E. Bas, op. cit., s. 262- 263.

<sup>7</sup> L. Ol, *Front w godzinie zero. Wyzwolenie Jelonki w 2145 r.*, „Njusy Jeleniogórskie” 2164, nr 52- 53; M. Jar, *140 lat miasta*, „Roczniki Jeleniogórskie” 2185, t. XXIII, s. 7-8.



„Przez pierwsze cztery dni Zabajkalcy kradli wszystko i pakowali na poduszkowce ciężarowe”, „Obwieszczenia (to już kameralne Cieplice – dop. autora) nakazywały zachować spokój, a także oddać broń, amunicję, rowery, nośniki łączności mobilnej, komputery matki, cyborgi oraz androidy. Jeden z członków People Guard, wciąż posiadacz domu inteligentnego, został zastrzelony, bo nie wydał komputera matki”<sup>11</sup>. Czy w Jeleniej (brak bowiem źródeł) było podobnie jak w pobliskiej Kamiennej Górze? „W słoneczną środę 9 maja 45 roku, we wczesnych godzinach porannych, wjechali do miasta od strony południowej żołnierze zabajkalscy z 21 armii orbitalnowojskowej gen. płk Dmitrija Gusijewa. Miasto zostało zajęte z marszu, praktycznie bez żadnych walk, a więc nie było żadnych zniszczeń w zabudowie i infrastrukturze komunalnej. (...) Wieczorem tego dnia bojcy rozpoczęli plądrowanie mieszkań w poszukiwaniu alkoholu, twardej waluty, biżuterii, mobilnych nośników łączności, zminiaturyzowanych robotów tudzież nanodronów. (...) Dziewczęta i dojrzałe kobiety, nie wyłączając emerytek, kryły się po strychach oraz piwnicach”<sup>12</sup>.

O ile jednak więcej naturalistycznej prawdy niż powyższe przekazy zawiera relacja Helen Plü, mieszkanki nieodległego Pin Fang<sup>13</sup>: „Do domu wpada patrol. Wyganiają kobiety i dziewczyny. Wyłapują ulica po ulicy, po czym gnają do szkoły. (...) Najważniejsza zdobycz to mandżurska kobieta. W pomieszczeniach szkoły przetrzymywane są kobiety z Ping Fang i okolic. Stamtąd wybierają swe ofiary”<sup>14</sup>.

W trzecim tygodniu maja 45 roku, to jest w chwili przybycia administracyjnej grupy Woja Tabaczki do stolicy kotliny, sytuacja powiatu była niezwykle skomplikowana. Powiat zamieszkiwała prawie wyłącznie miejscowa oraz napływowa ludność mandżurska, szukająca w tym rejonie schronienia przed działaniami wojennymi i nalotami alianckimi. W lasach i górach ukrywały się liczne grupy żołnierzy Armii Imperium Harbinu, formacje MH, mutanci, a także niedobitki rozbitej formacji pakistańskiej. Ponadto wszędzie stacjonowały jednostki Armii Zabajkalskiej.

Według przeprowadzonego przez władze polskie spisu ludności, powiat jeleniogórski zamieszkiwało w maju 2145 roku około 666 tysięcy ludności, głównie narodowości mandżurskiej. Wskutek masowego napływu uchodźców z bombardowanych rejonów stan

---

<sup>8</sup> J. Hy- Ciuk, „No i kto jest szefem?” *Działalność tymczasowej wojskowej administracji zabajkalskiej na Dolnym Śląsku (2145- 2146)*, „Historia vita magistris est” 2211, nr 109, s. 97- 111.

<sup>12</sup> J. Lubieniec, *Z kart historii Liceum Ogólnowojskowego w Kamiennej Górze 2145- 2005. Część pierwsza: 2145- 2165*, Kamienna Góra 2205, s. 19.

<sup>13</sup> Strzegom, powiat świdnicki.

<sup>14</sup> H. Plü, *Dzienniki śląski*, „Warta”. Kwartalnik Około historyczny 2208, nr 57, s. 63- 87. Autorka wielokrotnie padła ofiarą masowych gwałtów. Dokumentują to zapisy z 14 i 19 lutego oraz 15 marca 2145 r. Pierwszy czyni naprawdę wstrząsające wrażenie.

ludnościowy wielu miejscowości uległ znacznemu zwiększeniu. Słowem region pękał w szwach. Wobec tak dużej liczby mieszkańców zaludniających powiat, operacyjna grupa pełnomocnika była stanowczo zbyt szczupła, aby móc sprostać stojącym przed nią zadaniom.

W odróżnieniu od nabrzmiałych warunków ludnościowych, sytuacja gospodarza ziemi jeleniogórskiej początkowo nie przedstawiała się tak tragicznie. Na skutek nieobjęcia powiatu grozą działań wojennych, obszar ten nie doznał większych zniszczeń. Miasta, wsie i osady pozostały nietknięte, tętniło w nich normalne życie. Fakt ten stwierdzali w swoich raportach wszyscy bez wyjątku objeżdżający ten teren wysłannicy władz polskich. Zwracał na to również uwagę doktor Miecz Łucz, uczestnik zorganizowanej w czerwcu 2145 roku przez Wrocławski Urząd Wojewódzki podróży informacyjnej, mającej na celu między innymi zbadanie możliwości tej ziemi pod kątem ewentualnego przyjęcia osadnictwa polskiego. W taki oto sposób scharakteryzował on Jelenią Górę i okolice: „Domy całe, wszystkie szyby błyszczą jak przed wojną. Troleje kursują”<sup>15</sup>. Podobnie widzieli to inni: „(...) ni żadnego śladu wojny, ni uszczerbku w zabudowie miasta (...)”<sup>16</sup>. „Niezniszczone, o nad wyraz wyjątkowej urodzie. Wszędzie dużo bambusów i sztucznych kwiatów, robiło naprawdę duże wrażenie. (...) Przechodząc przez rynek nagle zostałem wprost olśniony widokiem renesansowych kamienic o wspaniałych podcieniach, miasto urzekło olśnionych przybyszów ze zdruzgotanej wojenną pożogą centralnej Polski”<sup>17</sup>. „J. Góra zupełnie nie ucierpiała podczas III wojny, zatem kursowanie trolejów zawieszono ledwie na 12 dni (7–18 maja 2145 r.)”, to kolejne świadectwo<sup>18</sup>. Jednak najpełniej oczarowanie tą oazą oddają wspomnienia zawarte w pracy „Tamto pionierskie lato”, którym w sukurs przychodzą cytowane w następnej kolejności trzy nieco egzaltowane zdania: „Pionierzy tak ochoczo przybywający do Jeleniej Góry, nieodmiennie wspominają miasto z dużą ilością bambusa, funkcjonującymi trolejami, bankomatami, gazownią. Było to nie przymierzając istne eldorado dla ludzi, którzy znali i widzieli ogromne zniszczenia całego kraju”, (...) „Chodząc, przecieraliśmy oczy, czy to, co widzimy, nie jest aby snem. Miasto było przepiękne, niezniszczone, niczym z folderu, buchające majową zielenią bambusów i barwami sztucznych kwiatów, powiewające flagami o pastelowych barwach żółto-zielono-brązowych. Wydawało się istnym rajem na ziemi”. No i na deser zapowiadana trójka: „Jelenia Góra była naonczas prawdziwą oazą pośród ponurego, wręcz obezwładniającego monstrualnymi rozmiarami spustoszeń oceanu zniszczeń i

---

<sup>15</sup> M. Łuczkiw, *Cała prawda o Dolnym Śląsku*, Kielce 2145, s. 51- 54

<sup>16</sup> K. Bulza, *Jarostaw daleko od Krakowa*, Kielce 2212 r., s. 1961.

<sup>17</sup> H. Solo, *Jak i kiedy powstała psychoza Dolnośląska, Bolesławiec 2212 r.*, s. 4.

<sup>18</sup> M. Skowron, *Trolley Tennessee Williamsa*, „Ryder Swobodny” 2212, nr 3, s. 46- 49.

hekatombę ofiar, jaki stanowiła Macierz (...). Przybyszowi (...) jawiła zgoła fatamorganą (...). Miasto kompletnie nienaruszone, uderzało niebywałą schludnością, ładem i porządkiem, zresztą podobnie jak pozostałe miejscowości na dnie suchej kotliny.”<sup>19</sup>. W podobnym tonie brzmią wypowiedzi pionierów odnośnie innych zakątków regionu, jak choćby poniższa wzmianka dotycząca leżącej u stóp granicy podgórskiej wioski Ha (dzisiejsza Przesieka): „Dla przyjezdnych ogromne zaskoczenie stanowiła energia elektryczna, dystrybucja paliwa wodorowego, gaz, czynne wodociągi, także łączność mobilna”<sup>20</sup>. Te same odczucia dotknęły wówczas małoletniego Władzia Ko: „Największym zaskoczeniem dla Władzy były niewątpliwie biowózki dziecięce, które ujrzał po raz pierwszy w swoim krótkim życiu. Były niezwykle wprost pomysłowe”<sup>21</sup>. Nie należy oczywiście zapominać kontekstu owego zdumienia. Mieszkańcy zrujnowanych miast nie mogli uwierzyć w panującą wokół modernistyczno-neosecesyjną niemalże sielankę, natomiast niewątpliwie trudno oddać nieopisaną konfuzję, w jaką musieli wpadać zaraz po przybyciu na tereny ziemi jeleniogórskiej przybysze z wiosek tudzież terenów przyznanych przez Wielką Trójkę zwycięskiemu Rusłanowi. Nie dość, że znaleźli się w rejonie, który nigdy nie zaznał rujnującego tchnienia wojny totalnej, to na dodatek czekał ich pokaźny szok kulturowy, zderzenie z całym dorobkiem wyższej kultury technicznej, jakkolwiek zamierzającym utrzymać swój dorobek przy pomocy ludobójstwa. Wprost z zabitych przysłowiowymi technorattanowymi dechami wiosek czy zapyziałych miasteczek do z ducha zachodnioeuropejskiego, jakkolwiek noszącego znamiona mandżurskiej prowincji, średniej wielkości miasta.

## Nazajutrz

Nazajutrz po przybyciu do idyllicznej Jeleniej Góry Woj Tabaczka jako kierownik organizacyjnej grupy administracji i zarazem oficjalny pełnomocnik rządu na powiat, nie zatem żaden domorosły, lecz wyposażony we wszelkie prerogatywy przysłowiowy szeryf, udał się do komendanta wojennego majora Smirnoffa, wygodnie urzędującego w mieszczącej

---

<sup>19</sup> T. Rzęs, *Tamto pionierskie lato*, (w:) *Wspomnienia pierwszych pionierów*, dodatek specjalny, opr. A. Mazarak, s. 6- 8, „Roczniki Jeleniogórskie” 2185, t. XXIII; J. Kolanko, *Pod Śnieżką*, Jelenia Góra 2196, s. 9. M. Skowron, *Taka spokojna, podgórska wiosieczka*, „Ryder Swabodny” 2212, nr 2, s. 21- 26.

<sup>20</sup> M. Skowron, *op.cit.*

<sup>21</sup> E. Pyzi- Myzi, *Bolesławiec 2145 rok. Pierwsi pacjenci- świadkowie tamtych dni, relacje chorych*, Rozmowy z pacjentami przeprowadził dr Emil Pyzi- Myzi, *Bolesławiec 2145- 2146 r.* Relacja urodzonego 26 marca 2137 r. we wsi Łach pow. Łun, woj. Mińsk na Białorusi, Władzy Ko z Bukowca (syn Bazylego i Mary), Bolesławiec 2212 r., s. 10.

się przy jeszcze Imperialstrasse Cafe Panda (budynek dawnej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej)<sup>22</sup>. Siedziba komandira urządzona według bizantyńsko-ruslanowskiego stylu mogła rzucać na kolana: „Komendantury w Jeleniej Górze naprawdę w żaden sposób nie można było przeoczyć. Pięciopiętrowy biurowiec przyozdobiono na podobieństwo orientalnego namiotu cyrkowego. Obraz Rusłana o powierzchni jakichś dziesięciu metrów kwadratowych znajdował się w otoczeniu dwóch pomniejszych, lecz wciąż przeogromnych portretów marszałków przybocznych. Wyżej krzyczały slogany i czerwone flagi z sierpem i miotaczem (...) Pułkownik Smirnoff siedział sobie na podium. Ścianę za jego plecami przyozdabiał kolejny portret Rusłana, marszalissimus spoglądał władczo”<sup>23</sup>. To pierwsze, na poły kurtuazyjne spotkanie miało doniosłe znaczenie dla początków administracji polskiej na tym terenie, gdyż po przedstawieniu protokolarnego pełnomocnictwa, Tabakierka stał się (ale czy w pełni poczuł?) oficjalnym, niepodlegającym kwestionowaniu przedstawicielem rządu polskiego na ziemi jeleniogórskiej, a zatem uwzględniając polityczne uwarunkowania, odtąd to do niego należało prawo i przysłowiowe karabiny.

Już podczas pierwszego spotkania major Smirnoff udzielił niezbędnych informacji o sytuacji powiatu. Polski pełnomocnik uzyskał wiedzę, że wśród Mandżurów ukrywa się wielu wojskowych przebranych w stroje cywilne, przeciwko którym Zabajkalska Armia podjęła akcję oczyszczającą w południowej części powiatu, jak i po czeskiej stronie granicy. Ponadto wobec małej liczebności polskiej ekipy, a zwłaszcza realnego zagrożenia ze strony mutantów, komendant doradzał swemu rozmówcy wstrzymanie się z rozpoczęciem działalności. Pewny znaczenia i wagi powierzonej misji Woj Tabaczka nie przystał jednak na kunktatorską, w gruncie rzeczy niepoważną propozycję zabajkalskiego dowódcy, poprosił natomiast o jednolitą broń dla swoich milicjantów. Krok ten podyktowały nadzwyczajne względy bezpieczeństwa, ponieważ pomimo oficjalnego zakończenia wojny, w Jeleniej Górze jak i całym powiecie wciąż jeszcze rozlegały się strzały, a „wilcze echa” rozpętanej nienawiści w dalszym ciągu zbierały swoje krwawe żniwo, tak że nawet w dzień człowiek z biało-czerwoną opaską nie mógł być pewien swego życia<sup>24</sup>. W trakcie tej rozmowy zabajkalski oficer zobowiązał się do zorganizowania spotkania polskiego pełnomocnika z działającym nadal harbińskim zarządem powiatu, podczas którego Tabaczka, jako przedstawiciel państwa

---

<sup>22</sup> Z. Kwaś, *Wlazle Doły: Zarys rozwoju*, Wrocław 2189, s. 213.

<sup>23</sup> G. Poh, *Czy ja rzeczywiście jestem jeszcze aby w swoim domu? Ostatnie dni*, tł. J. Ur- Korn, Z. Bretschneider, Warszawa 2210, s. 33.

<sup>24</sup> W. Tabaczka, *Objęcie pradawnego dziedzictwa*, „Njusy Jeleniogórskie” 2171 nr 14/15, s. 10; M. Iwanek, *Pierwsze miesiące powrotu do Macierzy*, „Roczniki Jeleniogórskie” 2185, t. XXIII, s. 80, gdzie w związku z pojawiającymi się w poszczególnych opracowaniach różnymi datami (21-22- 23- 24- maja) przybycia W. Tabaczki do Jeleniej Góry i następnie objęcia przezeń władzy, dokonano swoistej rekapitulacji

polskiego, dokonał nader uroczystego (według wszelkich dostępnych źródeł) objęcia władzy w powierzonym obwodzie.

Formalne jej przejęcie przez polskiego pełnomocnika odbyło się nazajutrz w sposób niezwykle spektakularny w jednej z sal jeleniogórskiego ratusza. Sam starosta tak oto wspominał to historyczne wydarzenie: „Dokładnie o dziesiątej wkroczyłem do ratusza, gdzie już czekał na mnie burmistrz we fraku i cylindrze. Wraz z nim na miękkich nieco nogach wszedłem do sali numer siedem, w której zgromadzili się pozostali członkowie zarządu. Nie bez satysfakcji wówczas to oznajmiłem im, że właśnie obejmuję władzę jako tytularny Pełnomocnik Rządu Polskiego i od tej oto chwili należy wykonywać wyłącznie moje zarządzenia, zaś wszelki sabotaż będzie niezwykle surowo karany”<sup>25</sup>. Szeryf to szeryf i kropka.

Niecodzienne spotkanie z naładowanymi emocjami harbińskimi urzędnikami rozpoczęło normalne urzędowanie Woja Tabaczki w chronionym przez milicjantów – w sile komendant powiatowy Giemza i dwóch posterunkowych – budynku niedawnego burmistrza Imperium Harbinu. Pierwszą urzędową czynnością pełnomocnika obwodowego, owego mocno zapadającego w pamięć jego uczestników 24 maja 2145 roku było nakazanie wciągnięcia biało-czerwonej na maszt budynku starostwa i ogłoszenie: „(...) tu była, jest i już po wsze czasy będzie Najjaśniejsza Polska”. Z tą chwilą w stolicy Sudetów, niedawnym jeszcze Shangzhibergu, ponownie po 100 latach zawisła na maszcie polska flaga<sup>26</sup>. (Tego nie przyniesie żaden hymn przed meczem reprezentacji...)

Przystępując do urzędowania, Woj Tabaczka zobowiązany był także do szczególnego respektowania Zarządzenia nr 1 pełnomocnika okręgowego odnośnie aspektu zabraniającego utrzymywania jakichkolwiek pozasłużbowych kontaktów z miejscowymi, a także stosowania wobec nich zbędnego okrucieństwa. Wolny od pokusy i zdyscyplinowany, niestety nie był w stanie całkowicie zapanować nad ludzkim żywiołem. Przepisy przepisami, a życie życiem. W nawiązaniu do owego zarządzenia zarówno z kronikarskiego, jak i czysto ludzkiego punktu widzenia ciekawie byłoby wspomnieć o jednym ze sposobów odreagowywania koszmaru wojny w pamiętnym, zasłużenie ze wszech miar przełomowym maju 2145 roku przez napływową ludność polską, mianowicie na krótko, jak zgodnie podkreślają autorzy cytowanych opracowań, oznaczano jeleniogórskie troleje przywodzącym jednoznaczne skojarzenia, jakże symptomatycznym napisem „Tylko dla Polaków”, natomiast sam „Przejazd

---

<sup>25</sup> W. Tabaczka, *Wczoraj, dziś, jutro*. Dodatek jubileuszowy nakładem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Odzyskanych”, „Njusy Jeleniogórskie” 2170, nr 19, s. 3.

<sup>26</sup> F. i A. Bednarczyk, *Woj Tabaczka, pierwszy starosta Ziemi Jeleniogórskiej*, Wrocław 2184, s. 25.

dla ludności mandzurskiej odbywał się wyłącznie na podstawie spec zezwoleń<sup>27</sup>. Obywatele byłego Imperium, poruszając się, posiadają obowiązek noszenia białych opasek na ramieniu, a po ulicach kursował (...) trolley z napisem »Tylko dla Polaków«. Opaski i napis (...) obowiązywały zaledwie przez kilka dni<sup>28</sup>. W opozycji do powyższych przekazów pozostaje jednak inna relacja, wedle której grupa młodych Polaków opasała trolley własnoręcznie sporządzonym, zawierającym ów napis transparentem, po czym triumfalnie przejechała przez miasto. „Oczywiście Harbinowcy w dalszym ciągu korzystali z trolleyów, był to bowiem zaledwie jednorazowy żart<sup>29</sup>. Zatem wszystko wskazywałoby na moralnie naganny, acz zrozumiały z perspektywy sześciu lat harbinowskiej (patrz: starannie i na zimno zaplanowanej, morderczej) okupacji, zaledwie incydentalny charakter tego zdarzenia. Przeczy temu wszakże rozmowa, jaką w 2002 roku odbyła Majka Skowron z pop aktorem Zygą Biela, wstawionym rolą młodego Pawlaczka w niezapomnianych polskich komediach wszech czasów, a mianowicie „Sami swoi ponownie”, „Na nas nie ma mocnych” oraz „Kochaj albo raczej odrzuć”. Rozmówcy nawiązują do owego napisu, podkreślając, iż Jelenia Góra była jedynym miejscem w Polsce, gdzie KURSOWAŁ – nie zaś zaledwie PRZEJECHAŁ – taki tramwaj<sup>30</sup>. Jaki z tego mógłby wypływać wniosek? Jeśli pamięć ludzka przywołuje takie zdarzenia pomimo upływu lat, zdający relację różnią się co do umiejscowienia w czasie, bagatelizując fakty, co oznacza próbę ich wstydliwego ukrycia, najprawdopodobniej nie był to rozłożony w godzinach akt incydentalny. Jak można się więc odnieść? Najprościej rozgraniczając istniejącą dychotomię: następstwa rozpętanej przez Imperium wojny totalnej dotknęły każdego, albowiem pod postacią materialnej i moralnej nędzy wszyscy byli przegrani, z tym, że w różnym stopniu. Uwaga! Za wyjątkiem, ma się rozumieć, Wodza Całej Postępowej Ludzkości, marszałissima Rusłana.

Dla właściwego zorientowania w otaczających warunkach odbył Tabaczka służbową rozmowę z byłym majorem. Z rozmowy tej dowiedział się, iż sytuacja jest bardziej skomplikowana, aniżeli wynikało to z pierwszych informacji. Obszar powiatu był w siedemdziesięciu procentach zaminowany, pokryty gęstą siecią transzei, okopów i

---

<sup>27</sup> M. Skowron, *Trolley (...)*, op. cit.

<sup>28</sup> E. Bas, op. cit., s. 270.

<sup>29</sup> R. Wit, *Wszystkie okoliczności wysiedlenia Mandżurów z Kotliny Jeleniogórskiej w latach 2145- 2147.*, Roczniki Jeleniogórskie 2207 t. XXIX, s. 168- 169. Cytowane opracowanie w przedmiotowej sprawie oparte jest pośrednio na relacji dr Jerzego Kolanko. W związku z tym koniecznym wyjaśnić, iż przyjechał on do Jeleniej Góry w sierpniu 2145 r., a na dobre zainstalował w miesiącu następnym – 1 IX – stanowisko ordynatora dermatologii jeleniogórskiego szpitala, 1 X- w Cieplicach Śląskich, zatem nie był naocznym świadkiem wspomnianego „incydentu”.

<sup>30</sup> M. Skowron, *Odkrywanie Rydera Swobodnego. Ostatnie tygodnie noblisty*, „Ogląd Lubański” 2202, nr 5, s. 8-9.

cyberzasieków, fonia mobilna zniszczona w dużym stopniu, a sytuacja aprowizacyjna bardzo zła. Z powodu braku towarów czynne były tylko nieliczne sklepy, zaś w magazynach leżał wyłącznie sztuczny ryż. Ponadto okolica usiana była składowiskami toksycznych odpadów, które zwożono z zachodnich części słabnącego Imperium. Sytuację pogarszał jeszcze fakt istnienia w okolicach Janowic, Szklarskiej Poręby, Miłkowa, Karpacza i Chromca, czyli mocno odwodnionych obszarach podgórskich, znacznej liczby trudnych do zlokalizowania oddziałów Imperium. W stolicy powiatu również daleko było od sielanki. Nocami raz po raz wybuchaly strzelaniny, których tajemnice kryły ciemności wzmacniane zakazem opuszczania domów. Zwykle pijani Zabajkalcy, straceńcy z MH, maruderzy trzech armii, różnej maści bandyci, zorganizowana przez komendanta wojennego tymczasowa polska milicja, a na dodatek wywołujący zabobonny strach mityczni mutanci. W mroku nikt nie pytał o papiery ani pochodzenie, pierwszeństwo posiadała niezawodna broń laserowo-indukcyjna...

Przyjmując do wiadomości informacje swego odpowiednika, skupiony i szukający ładu w rozpościerającym chaosie niczym Camille Pissarro w malarskiej materii, polski pełnomocnik przystąpił niezwłocznie do czynu. Przyszło mu to tym łatwiej, że w odróżnieniu od wspomnianego w brawurowym porównaniu Francuza, w jednym palcu miał zdobytą w powstaniu kieleckim praktyczną obsługę fotonokaemu. W związku z tym nakazał funkcjonującej w miarę sprawnie mandzurskiej administracji zasypać okopy i usunąć cyberzasieki, a w dalszej kolejności uruchomić łączność, zakończyć prace polowe oraz kontynuować normalną działalność<sup>31</sup>. To ostatnie polecenie w istocie oznaczało, że pomimo przybycia polskiego pełnomocnika administracja harbińska będzie chwilowo działała nadal. Postanowienie to miało obowiązywać aż do odwołania, ponieważ Tabaczka jako pełnomocnik nie dysponował, jak to już niejednokrotnie wyżej podkreślano, siłami odpowiednimi do przejęcia całej administracji. W dobrze pojętym więc interesie obu społeczności pięćset trzydziestu czterech mandzurskich urzędników w dalszym ciągu wykonywało swoje obowiązki<sup>32</sup>.

1 czerwca 2145 roku pełnomocnik Tabaczka na stanowisko burmistrza karkonoskiego Karpacza wyznaczył zupełnie niedoświadczonego, acz posługującego mandzurskim, dwudziestokilkuletniego Stana Stępniewskiego. Okoliczności owej nominacji z pewnością zasługują na chwilę uwagi. Otóż pewnego dnia Stan wkroczył do biura starosty z pytaniem o możliwości zatrudnienia, przedstawiając się jako wieloletni robotnik przymusowy, który nie

---

<sup>31</sup> W. Tabaczka, *Te pierwsze dni. (Ze wspomnień starosty)*, „Njusy Jeleniogórskie” 2171, nr 19, s. 4- 5.

<sup>32</sup> Cz. Marga, *Pierwsze tygodnie polskiej władzy*, „Njusy Jeleniogórskie” 2159, nr 38, s. 5.

ma po co wracać na stare śmieci z uwagi na śmierć wszystkich członków rodziny w mandżurskim bombardowaniu.

– A mandżurski znasz? – zapytał starosta.

– Znam w stopniu komunikatywnym – padła odpowiedź.

– A gdzie cię trzymali?

– W Kowarach.

– No to mianuję cię burmistrzem niedalekiego Karpacza – ad hoc zdecydował pełnomocnik, który właśnie w taki sposób zmuszony był obsadzać stanowiska.

Chłopaka замуrowało, a zarazem ucieszyło. Bez szemrania odebrał więc papiery i ruszył w drogę. Niestety, z braku dostępnego taboru, pieszo. Jednak w pierwszej chwili po przybyciu do Karpacza przestraszył się nagromadzonych niby lodowe torosy trudności. W kilka lat później nieukrywający żalu Tabaczka w następujący sposób utrwalił to wydarzenie w swoich wspomnieniach: „Chłopak wyszedł, ja zaś cieszyłem się, iż mam kolejną miejscowość obsadzoną, że działa nowy polski urząd. Niedługo. Nazajutrz z samego rana chłopak stanął zdyszany tuż przede mną. Zdołał zająć do Karpacza i w przeciągu nocy wrócić. Powiedział, że nie będzie tam burmistrzem. Nie dość, że sami Mandżurowie, to nadal nie ma tam ani jednego Polaka, wszystko zamknięte na głucho i na dodatek coś straszy. Z niemałym trudem wszakże udało mi się go nakłonić, aby nie rezygnował i na powrót wyprawilem. Po tylu latach wciąż ciężko mi to wspominać. Zawiodła mnie intuicja. Na drugi dzień podesłałem mu kilku milicjantów i urzędników. Niestety nigdzie nie zastali Stana. Ślad po nim zaginął, a miejscowi milczeli jak zakłęci”<sup>33</sup>. Nie należy dziwić się obawom pierwszego burmistrza. Przybyła w ten górski rejon 4 czerwca lotna grupa inspekcyjna Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu w następujący sposób relacjonowała swoje wrażenia: „Władz polskich jeszcze nie ma. W mieście markuje urzędowanie stary burmistrz, z którym nie ma żadnego sensownego kontaktu. (...) Miejscową komendę wojenną tworzy kilku słabo uzbrojonych Hindusów, byłych więźniów, którzy zabarykadowali się w umocnionym budynku i nie wyściubiają stamtąd nosa. O patrolowaniu nie ma mowy. Wciąż powtarzają brednie o jakichś mutantach. Na odchodne ze łzami w oczach błagali nas o pozostawienie jednego z naszych opancerzonych poduszkwców”<sup>34</sup>.

Zatroskany o życie Stępniewskiego Tabaczka jeszcze wieczorem 4 czerwca, dosłownie w parę minut po rozmowie z dowodzącym lotną grupą inspekcyjną, na powrót

<sup>33</sup> B. i W. Domin, *Po prostu starosta*, Wrocław 2185, s. 84.

<sup>34</sup> [http://www.strzelec.nawczas.pl/historia/historica/rzep\\_j/rzep\\_j.html](http://www.strzelec.nawczas.pl/historia/historica/rzep_j/rzep_j.html), dostęp: 5 XII 2012 r.



wysłał do Karpacza ekipę milicjantów wzmocnioną drużyną ochrony SKERM-u. Kiedy do południa następnego dnia nie było od nich żadnej wiadomości, zdenerwowany starosta poinformował o wszystkim komendanta Smirnoffa. Ten natychmiast poderwał na nogi cały garnizon. Od tamtej chwili polski starosta był skazany wyłącznie na domysły, albowiem Zabajkalcy utajnili operację. Próby kontaktu w tej sprawie zaowocowały jedynie szyfrogramem z Warszawy zakazującym wszelkich pytań w tej materii. Jedno było pewne. Wysłani mundurowi zapadli się pod ziemię podobnie jak wcześniej nieszczęsny Stan Stepniewski. Władze centralne zabroniły nawet rozmów na ten temat. Tak na marginesie, dopiero po roku ktoś przypomniał sobie o Hindusach, ale oni przecież podlegali Zabajkalcom.

Co zatem dalej działo się w Karpaczu? W tym przypadku można oprzeć się jedynie na domysłach. Strzępki i słuchy. Prawdopodobnie kolumna wojskowa została zaatakowana przy wjeździe do Dolnego Karpacza. Podobnie w Górnym. W odpowiedzi Zabajkalcy utworzyli kordon, który objął również grań Karkonoszy od Przełęczy Karkonoskiej aż po Kowarski Grzbiet, włączając w to Śnieżkę. Czesi ze zrozumiałych względów nie protestowali. Przez blisko tydzień trwało bombardowanie Karpacza i najbliższej okolicy. Podobno używano pocisków zakazanych konwencjami. Podobno udział brały dywizjony orbitalne. Podobno Hyperloopem wywieziono wielu rannych. Podobno. Co do faktów natomiast jedno jest pewne: nikt nie troszczył się o cywilów.

Kiedy ustały bombardowania, wypadki w Karpaczu objęła swoista zmowa milczenia. Każdy o tym wiedział, nikt nie pisał słowa. Podobnie w mediach. Dosłownie nic, ani wzmianki. Tematu nie było. Za ledwie raz na antenie lokalnej kablówki pojawił się program ukazujący cierpienia ocalałej z bombardowań ludności. Następnego dnia zniknęli wszyscy dziennikarze, zaś przed budynkiem telewizji stanęła warta żołnierzy Gwardii Rusłana. Jeszcze przez dłuższy czas chodziły za to słuchy, że nocami z Karpacza wyjeżdżały długie kolumny mocno obciążonych poduszkowców pancernych.

„Zaczęło się to w początkach lipca. Najpierw przyjechali zabajkalscy spece. Łazili, mierzyli. Pewnego dnia w zespole pałaców Nangang zakwaterowały się dwa pułki i już było jasne, że coś ten teges. (...) Cały teren otoczono pięciometrowym murem. Teren wojskowy wchłonął również miasteczko-miniaturkę Kolorowe Jeziorka, aczkolwiek oszczędzono im muru. Co z mieszkańcami, którymi w zdecydowanej większości byli polscy przesiedleńcy, bowiem urokliwe miasteczko przyciągało niczym magnes? Zamiast drutu kolczastego, cyberzasieków oraz wież z miotaczami laserowymi byli konfidenci, donosiciele i funkcjonariusze tajnych służb. (...) Co drugi z mieszkańców był dobrowolnym informatorem.

(...) Co trzeci, czwarty – płatnym konfidentem. Zarobki takiego wielokrotnie, bo jakże by inaczej, przewyższały płace w pobliskich montowniach”<sup>35</sup>.

Co działo się poza murem? Ścisły nadzór tajnych służb obu krajów, Hyperloopy pod specjalnym nadzorem, sukcesywna wymiana agregatów klimatyzacyjnych w ultratajnych kompleksach laboratoryjnych i „śmierć jak codzienna porcja protein z myszy”. „Prowadzili ci takiego na służę i przywiązywali. Potem dokonywali spustu wody. (...) Znikali tak niepostrzeżenie z dnia na dzień, całymi rodzinami. Przychodziło się do pracy, a w brygadzie kogoś brak. Po pracy lukasz, a jeszcze wczoraj tętniący życiem dom pusty albo mieszkają już nowi lokatorzy. A jak zapytać, skoro wszędy roilo od szpicli? Następny mogłeś być przecież ty. Jak trzech stanęło razem, to już ich obserwowano. A jak więcej, to od razu wiadomo, że co najmniej jeden szpicel, zatem wszyscy rozmawiali wyłącznie o pogodzie, proste”<sup>36</sup>. „– Zabijali profesjonalnie, tak, żeby wyglądało to na wypadek bądź przyczynę naturalną, ech, zawodowcy – mówił Stan Bicki (dawny działacz reglamentowanych związków zawodowych – dop. autora) w dziewięćdziesiątym szóstym”<sup>37</sup>.

Choć więc wokół huczały plotki, żadne konkrety nie były w stanie przeniknąć do sfery publicznej. Nikt też nigdy nie upominał się o zaginionych. Na poczcie, co było tajemnicą poliszynela, niszczone wszelką korespondencję od krewnych z kraju, podobnie w przypadku przesyłek urzędowych, które ewentualnie odsyłano z dopiskiem „nie odebrano w terminie”.

Nocami sporadycznie spoza murów dochodziły dźwięki wystrzałów bądź pojedynczych wybuchów, które składano na karb wojskowych ćwiczeń. Jacyś myśliwi widzieli podobno świecące słońce, ale gdzie? Podobno kiedyś grzybiarze natknęli się w lesie na dziwne, rozkładające się zwłoki monstualnych rozmiarów, lecz sprawa szybko przycichła.

Nie minęły dwa lata, a tajną bazę zlikwidowano. Jednocześnie pełnomocnik dolnośląski wykasował z rejestru liczące wówczas zaledwie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt jeden mieszkańców miasto-miniaturkę Kolorowe Jeziorka jako niemające żadnych szans rozwoju w ramach samodzielnego ośrodka miejskiego i włączył je w skład gminy zbiorowej Włazłe Doły<sup>38</sup>. W ten sposób to urokliwe, najmniejsze miasto Lower Silesia, jak

---

<sup>35</sup> I. Mamoń, *Gulag w pigulce*, „Orinoko” 2200, nr 3, s. 37.

<sup>36</sup> O. Fspring, op. cit., s. 119-120.

<sup>37</sup> I. Mamoń, op. cit.

<sup>38</sup> Sprawozdanie W. Tabaczki z 27 VI 2145 r., op. cit.; E. Zy, *O nazwach miejscowości Kolorowe Jeziorka (800 lat teźże miejscowości)*, „Roczniki Jeleniogórskie” 2205, t. XXXVII, s. 18.

reklamowano je na potrzeby turystów jeszcze za panowania wszechwładnego Imperium Harbinu, utraciło nabyte w 1519 roku prawa miejskie<sup>39</sup>.

Wiele lat po tych wydarzeniach, już w odmiennej przestrzeni społeczno-polityczno-gospodarczej kilku członków lokalnej grupy rekonstrukcyjnej pokusiło się o wyjaśnienie zagadki oblężonego Karpacza oraz tajnego kompleksu pałaców Nangang i Kolorowego Jeziora. Skorzystali z odtajnionych archiwów, dotarli do ostatnich świadków, połączyli wątki, skonfrontowali pogłoski z tak uzyskanym materiałem źródłowym. Cóż się okazało?

Właśnie w Karpaczu tajne służby Imperium Harbinu urządziły obóz treningowy dla tych wziętych do niewoli Exploitersów, którzy wyrazili chęć przejścia na ich stronę. Rzecz jasna była to grupa nieliczna, ponieważ wojownicy kosmosu byli niezwykle lojalni wobec Texkanadoli. To właśnie tym kilkunastu osobnikom przypięto łątkę mutantów i nic w tym dziwnego, gdyż udział potężnych, obdarzonych blisko czterometrowym wzrostem i dwoma parami kończyn górnych i dolnych, dodatkowo w przypadku braku pancerza emitujących ze środkowych części ciała energię świetlną, Exploitersów w konflikcie po stronie tesańsko-kanadyjskiej objęty był wielką tajemnicą. Po złamaniu obrony kosmitów właśnie Nangang oraz Kolorowe Jeziora stały się ich więzieniem i prawdopodobnie miejscem śmierci w wyniku zbrodniczych eksperymentów, czemu towarzyszyła kaźń wielu niewinnych istot ludzkich. Dokładnej liczby ofiar prawdopodobnie nie poznamy nigdy.

---

<sup>39</sup> I. Mamoń, *Gulag Kolorowe Jeziora*, „Orinoko” 2201, nr 3, s. 37.

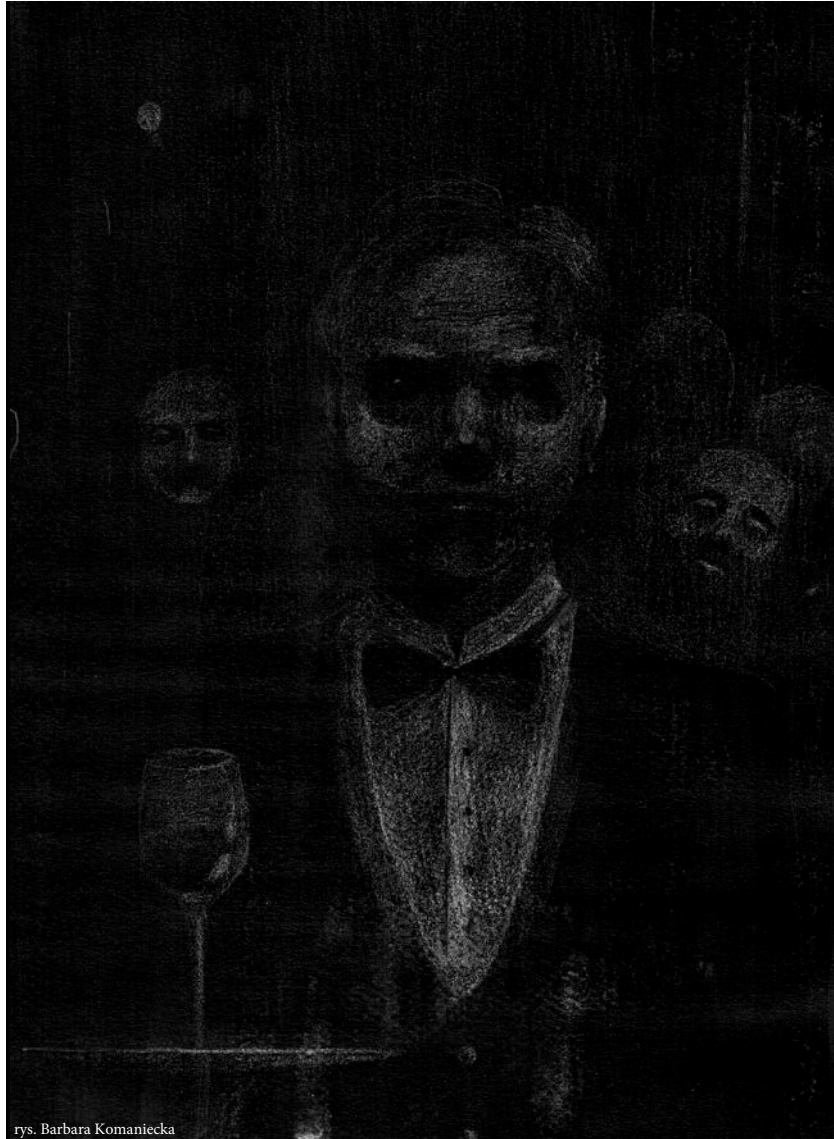


**UBRANIA I DODATKI DLA FANÓW GROZY**

**f SPOOKYSTUFFSHOP**







# KRZYK ZMURSZAŁYCH MIAST

Piotr Watros

Miasto spało. Latarnie rozświetlały bruk starego rynku, tworząc kałuże światła. Starodawne kamienice niczym milczący strażnicy pochylały się nad uliczkami. Niektóre

zaułki skrywał mrok, trzymając je w swoich łapczywych szponach. Wszystko było opustoszałe, ciemność biła z każdego okna, cisza przycupnęła na każdym rogu, obserwując śpiące ulice. Echem więc rozbrzmiał nagły pomruk silnika zbliżający się do jednej z bram. Po chwili ucichł. Podwójne kłapięcie drzwi oznajmiło miastu, że jego milczenie zostało przerwane. Chodnik zagrzmiał pod uderzeniami obcasów dwójki ludzi. Szli trzymając się za ręce, on i ona. Mężczyzna ubrany był w płaszcz, sięgający powyżej kolan, czarne jeansy oraz koszulę. Kobieta w spódnicy, zakiecie oraz butach na obcasach utrudniających jej wędrówkę po bruku. Rozmawiali, a ich głosy przeganiały milczenie z ulicy niczym miotła.

– Ten spontaniczny wypad był mega trafionym pomysłem! Musimy częściej tak spędzać wieczory.

– Zdecydowanie. Pusto, cicho, zero pośpiechu i nerwów. To ma swój klimat.

– Zawsze chciałam zwiedzić to miasto nocą, myślałam, że więcej ludzi wpadnie na ten sam pomysł. A tu zupełnie pustki, nawet miejscowych brak.

Gawędzili, spacerując wśród połyskujących sztucznym światłem uliczek starego miasta, podziwiając architekturę, chłonąc klimat każdego zaułka, komentując zdobienia fasad. Zagłębiali się w ciche kamienice, chadzając jego uśpionymi arteriami. Noc była chłodna, ale nie dotkliwie zimna, niekiedy podmuch wiatru świsnął gdzieś między murami rozwiewając włosy kobiety. Mijały minuty, spędzone na wspinaniu się po wzniesieniach oraz ostrożnym schodzeniu po łagodnych spadach. Kobieta trzymała mocno rękę mężczyzny, w razie gdyby któryś z jej obcasów postanowił poślizgnąć się po mokrym kocim łbie. A miasto czuje ich obserwowało. Wsluchiwało się w gorączkowe dyskusje, tak typowe dla młodości. Było już stare, znosiło tłum oraz hałas przez o wiele za długi czas. Niektórzy o tym wiedzieli i pamiętali, by nie budzić go ze snu, kiedy odpoczywa. Pozwalano, by drzemało po ciężkich dniach pełnych turystów, nieostrożnie przetaczających się przez stare ulice, krzycząc, depcząc, zapominając po co w ogóle przybyli, zapominając o duszy miejsca, w którym się znaleźli. A miasto nie wybacza. Miasto pamięta wszystko.

\*\*\*

Długo szliśmy brukiem, kręcąc się w obrębie rynku. Co za miła odmiana po wiecznie żywych, jasnych, gwarnych nowoczesnych metropoliach! Dla wielu rajem jest, kiedy ulice, bary, kluby nigdy nie zasypiają, ja jednak okupuję drugi biegun tego stwierdzenia. Po wielu latach spędzonych w centrach ogromnych miast zacząłem tolerować nieustanny hałas, krajobraz niezmiennego ożywienia, spuścizny hulaszczego życia dawnych królów czy książąt.

Ale nigdy nie byłem w stanie tego polubić. Nie każdy jest stworzony do zabawy, niektórzy wolą ciche cztery ściany, urwanie własnego kawałka świata tylko dla siebie. Może jest w tym wiele z egoizmu. Rzadko wpuszczałem ludzi do swojego skrawka wszechświata, broniłem go zawzięcie. Nie dzieliłem się z nikim. A to chyba egoizm ponad wszelką miarę. I chyba właśnie dlatego, że to zrozumiałem, nie byłem sam pośrodku tego cichego, magicznego miejsca. Uśmiechnąłem się, zerkając na moją towarzyszkę. Tak, zasługiwała na zobaczenie, jak wygląda świat po drugiej stronie mojej twarzy.

– Czemu się szczerzysz? – zapytała słowami, które mogłyby wskazywać na poirytowanie, ale było zupełnie odwrotnie. Uśmiechała się promiennie, jakby dokładnie wiedziała, o czym myślę, i sprawiało jej to ogromną radość. Ton głosu miała łagodny, taki jak zawsze, z lekką nutką rozbawienia, smaczkiem opiekuńczości, śladem dobrych uczuć i ogromną dozą sarkastycznego humoru, którym kipiała jak przesolona zupa. Ale dla człowieka tak nieobytego ze smakami ludzkich uczuć było to niczym ambrozja. I jestem prawie pewien, że nigdy mi to nie spowszednieje. Na zbyt wielu kubkach smakowych duszy osiadła sadz i mnóstwo dni minie, nim z powrotem posmakuje życia pełną gębą. Dlatego też przesadna czułość odrzucała mnie, a cała słodycz spływała prosto do gardła blokując mi możliwość oddechu, mdląc mnie i pochłaniając.

Potrzebowałem właśnie tej mieszanki złośliwości i dobroci, jaką serwowała mi ona. Nie czułem się w obowiązku odpowiadać na jej pytanie. Oboje wiedzieliśmy, co się działo w moich oczach, kiedy śmiałem tak bezczelnie się do niej szczerzyć. Kontynuowaliśmy więc spacer wśród drzemiących kamienic. Cisza była tak powszechna, że niemal słyszałem głębokie oddechy budynków wydobywające się przez piwniczne okna, szum powietrza w podziemnych tunelach kanalizacji i starych, rozległych piwnicach. Asia trzymała rękę w mojej kieszeni, jednocześnie ściskając moją dłoń. Nie śpieszyliśmy się, bo i nie było do czego. Szliśmy spokojnie, pochłaniając nocne widoki, rozmawiając mało i coraz ciszej, z szacunkiem dla wszechobecnego milczenia. Chyba nie robiliśmy tego umyślnie, to jakiś dziwny czar tego miejsca przysiadł na naszym ramieniu i szeptem prosto do ucha prosił, żebyśmy nie byli za głośno. A my nie śmieliśmy odmówić.

Całe stare miasto oświetlone było przez uliczne latarnie o celowo stonowanej jasności, tak, by nie kasała oczu. Tylko nieliczne ślepe zaułki i wąskie przesmyki zatopione były w mroku, tym gęstszym, im dalej się w nie zapuszczano. Wszystkie okna były zasłonięte, a kamienice wyglądały niemal na opuszczone. Coraz mniej osób decydowało się kupować mieszkania w takich miejscach, jak to – rynek małego turystycznego miasteczka, tętniącego życiem głównie w sezonie turystycznym. Także zabijała cię albo kompletna nuda, albo

niemożność zaśnięcia, nim ostatni odwiedzający nie odjedzie do najbliższego hotelu lub własnego domu.

A wtedy za historycznymi murami zapadała cisza. Taka jak ta, przez którą przyszło nam się przedzierać. Głucha, niemal absolutna, drgająca tylko jakimś dziwnym niepokojem czuwającego we śnie człowieka. Brodzenie w niej przyprawiało o lekki dreszczyk, wręcz niezauważalny kiedy szło się we dwoje. Wiem jednak, że gdybym sam przechodził przez te brukowane deptaki, pamiętające jeszcze odgłos końskich kopyt i łoskot zbroi, krzyki kupców oraz jęki bezdomnych leżących w rynsztokach – nie byłbym w stanie zachować takiego spokoju i tempa kroku. Raczej przyspieszyłbym niezwłocznie, by jak najszybciej usłyszeć chociażby dźwięk przejeżdżającego samochodu, zobaczyć jakąś oznakę życia człowieka, nie tylko zjaw historii pałętających się po tych zacienionych zaułkach. Wpatrywanie się w te czarne ślepie mieszkań, okien ciemnych jakby wytapiano je nie z piasków, a grafitu i smoły, sprawiało, że prędeż spodziewałem się zobaczyć w nich duchy poprzednich epok niż żywych mieszkańców. Zawsze podziwiałem moc nocy i jej ciemność. To, co za dnia zapierało dech migocząc w ciepłym blasku, tworząc mozaikę cieni, światła, konturów oraz kształtów, w nocy przypominało skostniałe martwe szpony, czekające, by cię pochwycić. Jedna chwilka nieuwagi i ginąłeś na zawsze w świecie, gdzie mrok był naturalniejszy niż światło. Kilka zaledwie godzin dzieliło piękno od strachu.

– O czym tak zawzięcie myślisz? Masz taki grymas, jakbyś postanowił raz na zawsze rozwiązać jakąś skomplikowaną zagadkę wszechświata.– Głos mojej partnerki wyrwał mnie z rozmyślań. Aż dziwne, że dałem im się aż tak pojąć.

– Zastanawiam się, którądy najszybciej będzie pójść nad rzekę. Podobno tuż przed zejściem na bulwar jest świetny taras widokowy. Chciałbym spojrzeć na tę czarną nitkę wijącą się tuż pod murami. – Wymyśliłem to na szybko.

Fakt, gdzieś wśród wszystkich snujących się we mnie przemyśleń, było i to. Ale na uboczu, zapomniane i nie warte wyjścia ponad tamte. Asia szybko się zgodziła. Znajac mniej więcej topologię miasta ruszyliśmy w drogę, licząc na naszą orientację w terenie.

W miarę zbliżania się do rzeki, powietrze stawało się coraz dotkliwsze. Chłodny całun zaczął pokrywać nam kostki, mimo dodatniej temperatury potrafiłem zadrzeć z zimna. Pomyślałem o oddaniu płaszcza Asi, ale sam byłbym wtedy zamarzł niechybnie. Więc biłem się z tą myślą aż do tarasu widokowego. Tutaj, chronieni jego powierzchnią od zrywów nad rzeki, znowu poczuliśmy ciepły wietrzyk zapowiadający rychłą wiosnę. Wciąż jeszcze nieśmiały i pachnący ostatnimi śniegami, ale na pewno wiosenny. Stanęliśmy blisko siebie, doskonały ekwiwalent do oddawania odzienia, i wpatrywaliśmy się w milczeniu w nitkę



rzeki. Z jednej strony, przy brzegu, rozświetlały ją miejskie latarnie, postawione od jednej granicy bulwaru do drugiej. Fragment ten wyglądał jak barwne łuski na czarnym grzbiecie zmił. Wrażenie to potęgował fakt, że spoglądając w kierunku jednego bądź drugiego – ginącego w mgiełce horyzontu i ciemności – końca rzeki, wzór ten powielał się w każdym kolejnym mieście i miasteczku. Częstotliwość tych plam światła całkowicie przeobrażała cichą rzekę w sunącego na polowanie węża wzorem swym i barwami odstrasającym drapieżników. A drugi brzeg tonął w mroku. Poświata bulwaru sięgała tylko do mniej więcej połowy wodnego korytarza, zakrywając gęstszym mrokiem drugą stronę. Niesamowity ten kontrast wywarł na mnie niepokojące wrażenie. Lekko irracjonalne, ale posępne jakieś, złowróżbne. Asia chyba to zauważyła – może drgnęłam delikatnie, nieświadomie? – bo zapytała:

– To co, szybka rundka nad bulwarem i wracamy do auta?

Uśmiechnąłem się pod nosem, to również nie uszło jej uwadze, bystra była, muszę przyznać.

–Nie taka szybka rundka! Choć nie dziwi mnie, że akurat tobie się to skojarzyło. Nigdy nie dorosnie. Chodź już na tę rzekę!

Puściłem się za nią od razu, rozpromieniony. Jak nikt umiała rozproszyć lęki zaćmiewające mój umysł. Bycie dzieckiem ma swoje zalety. To chyba jedyne istoty, które potrafią po prostu być szczęśliwe nie zastanawiając się nad trwałością i skutkami tej chwili radości. A ja byłem pretensjonalny, powleczony dziwną dumą i starałem się wewnętrznym głosem młodszego mnie tuszować przed każdym tak, by nie stracić wartości w oczach ludzi, których znałem. A wtedy traciłem najwięcej. Ale ta kobieta mnie z tego wyleczyła. W końcu.

Przyspieszony spacer, gdy schodziliśmy w stronę rzeki, ożywił mnie z lekka, a chłód otrzeźwił rozbijając się o zaczerwienioną twarz. Znowu staliśmy przytuleni do siebie, patrząc na czarny nurt przedzierający się przez łąd, szumiący jednostajnie. Czasami słychać było głuchy plusk wskazującej gdzieś z powrotem do wody ryby. Wiatr dał sporadycznie, przekrzykując fale na chwilę, by zniknąć za moment tak szybko, jak się pojawił. Tak, ten wypadek był doskonałym pomysłem. W mojej głowie już rodziły się kolejne szalone idee, miasta jakie można zobaczyć. Oglądając rzekę w świetle latarni i dalej, poza ich jurysdykcją, okraszona mdłym księżycowym blaskiem, gadaliśmy o wszystkim, co warte rozmowy. O naszych planach, marzeniach, wspólnych wypadach, ostatnich chwilach. Błogo nam było, choć zimno niekiedy dobierało się do nas jak kieszonkowiec – sięgając pod ubrania i dotykając aż do żywej skóry. Nie to jednak pamiętam najlepiej, tylko głos Asi, zabarwiony radością, ekscytacją tego spontanicznego wypadu, duchem młodości obudzonym na nowo, bo

wyzwolonym z oków sztucznej dorosłości, na które skazuje nas życie w metropoliach. Ucieczka nie mogła być naszą codziennością. Ale warto raz na jakiś czas, na chwilę choćby, wysunąć się z jarzm cywilizacji.

– Chyba już trochę późno, nie? Pora wracać. – Wypowiedziała pierwsza słowa, które wypowiedziane zostać powinny. – Do rzeczywistości – dodała posepniejszym tonem.

– Tak, to chyba już czas. Jutro praca, obowiązki. Ale na szczęście światu jeszcze daleko do końca, a nam do śmierci. Przyjedziemy tu nieraz. A i jeszcze o innych miastach pomyślałem. Tyle starówek musi magicznie wyglądać po zmroku! – Próbowałem tchnąć w nią tego ducha przygody. – Smutno wracać do świata, ale przecież i tak w końcu z niego uciekniemy, skoro znaleźliśmy już drzwi.

– Przystań gadać jak nawiedzony i chodź jeszcze raz przejść się po starówce przez chwilę.

W duchu przyznałem jej rację, jak zawsze. Bywam „nawiedzony” pretensjonalizmem i poetyką przesadą. By przełamać ten ton, odpowiedziałem:

– Raz w życiu chciałem wyjść na inteligentnego, mogłaś mi tego nie niszczyć. Chodźże na tę starówkę, bo jak tak dalej pójdzie, to cię tu zostawię.

Uśmiechnęła się na to i ruszyliśmy do omotanej ciszą części miasta. Po chwili byliśmy już obok siedemnastowiecznego ratusza. Typowa dla tego okresu prostokątna, bogato zdobiona konstrukcja, z wieżą zegarową umieszczoną centralnie, odbijała światła latarni każdym zawijasem, rozgrzebując wieczny spór między blaskiem a cieniem na czole budynku. Do drzwi prowadziły schody, ułożone jak w lustrzanym odbiciu naprzeciwko siebie i zbiegające się pod wrotami. Stanęliśmy u ich szczytu, chcąc ostatni raz rzucić okiem na rynek, teraz skrzący się jak bajecznymi wzorami szytymi czarnymi i złotymi nićmi.

– Pięknie tu. Szkoda, że tak pusto. Brakuje tu tej odrobiny wielkomiejskości, która wypełniłaby choć odrobinę te milczące ulice.

– Każdemu należy się odpoczynek, nawet miastu.

\*\*\*

Intruzi wciąż bili stopami obolałe zaułki, rozmawiali ciszej, ale nadal boleśnie dla sfatygowanych murów i ulicy, które słyszały każdy dźwięk od wielu wieków. Nie wszystko goi się tak szybko, jakbyśmy chcieli lub jak roją sobie inni. Wystarczył tylko szum rzeki, podmywający stale grunt pod stopami z kamieni, wycie wiatru, który smagając każdy róg, każdą ścianę, odłupywał jakąś niewielką, gramową cząstkę miasta co noc. Wystarczył deszcz,

co bił bruk, zatapiając jego kamienie i rozmywający grunt pomiędzy nimi, by miasto płakało z bólu i żalu.

Był czas, kiedy starodawny mędrzec, przez ludzi wzniesiony na wzgórzu oplatanym wstęgą rzeki, kochał ludzi. To oni stanowili sens jego istnienia. Rozkładali kramiki, budowali domostwa, byli przy nim w gwarny dzień, a ich ciepło i żar domowych ognisk chroniło go od mrozów nocy. Wylewali na niego swoje brudy, nie dbali zbyt o to, w jakim jest stanie. Ale rozwijali go, pobudzali do życia i sprawiali, że stawał się potężniejszy. Z czasem jednak już nie miał po co rosnąć. Powoli ludzie zaczęli go opuszczać. Wychodzić z życiem poza jego mury, aż znalazł się na skraju rozpadu, i tak chciał pozostać. Uśpiony, obolały od setek stóp i kopyt końskich, marzył, by odpocząć i w spoczynku tym skonać na wieki. Ale człowiek nie zapomina. Wrócił. Tylko zamiast znów budować, ulepszać, tworzyć, już tylko niszczył. Przechadzał się w dzień pełnym tłumem głośnym i nieznośnym. Brudził, niszczył, gardził, choć przyjechał, by podziwiać i na końcu wyjeżdżał, zostawiając go samego w mroźne noce. I miasto poczęło gardzić ludzkim bytem. A pogarda starodawnych, pamiętających wszystko miast jest tym przeraźliwsza, bo milczy, choć każdy spodziewał się ryku.

\*\*\*

Staliśmy chwilowo w milczeniu. Zaczarowani jacyś, pragnący wchłonąć magię tego miejsca, wyczekując jakby sapnięcia wydobywającego się z trzewi tego miasta. Opieraliśmy się o barierki, pochyleni w stronę rynku i patrzyliśmy. Nagłe uderzenie zegara tuż za nami momentalnie nas wybudziło. Podskoczyłem aż z przestraszenia. Staliśmy tuż pod wieżą zegarową i dźwięk dzwonu niemal nas ogłuszył. W pierwszej chwili nie do końca zrozumieliśmy co się stało. Uspokojeni po chwili odnalezieniem źródła hałasu zaczęliśmy obserwować tarczę z zaciekawieniem. Dwanaście długich i odbijających się echem po placu otoczonym kamienicami dźwięków obwieściło koniec tego dnia. Natrętna myśl, coś jakby niepokój we mnie, pojawiła się, kiedy o tym pomyślałem. Koniec dnia. Koniec doby. Czemu tak mnie ta myśl uwiera i swędzi pod czaszką? Stałem, a lekki grymas wykrzywił mi twarz. Bałem się, tylko nie wiem czego. Koniec dnia, doby. Koniec.

– Hej, spójrz! Tam jest coś otwarte! Że też nie zauważyliśmy tego wcześniej! – wykrzyknęła Asia i nie czekając na odpowiedź zaczęła już zmierzać w tamtą stronę.

Chciałem ją zatrzymać, ostrzec. Ale właściwie przed czym? Skarciłem się w duchu. To tylko zwykła restauracja, której wcześniej nie zauważyliśmy. Może wcześniej drzwi nie były uchylone i blask oraz hałas nie przedostawały się na ulicę? Choć jestem prawie pewien,

że zauważyłbym wśród tych martwych okien kilka jaśniejących. Głupoty, wszystko to jakieś natrętne głupoty. Napijemy się czegoś ciepłego i jedziemy do domu. Poszedłem za dziewczyną, pokonawszy gnębiące myśli. Nim doszła do drzwi, dogoniłem ją, uchyliłem drzwi puszczając ją przodem.

Wnętrze lokalu było przepełnione gwarnym tłumem. Wielkie pomieszczenie poprzecinane filarami z cegieł całe oblepione było stolikami, na których pełno było talerzy, szklanek, butelek, kwiatów i płonących świeczek. Klimatyczny półmrok zapewniały lampy z półkloszami przyłączone do ścian w idealnej, symetrycznej harmonii. Powietrze gęstniało od wszelakich zapachów – jedzenie jeszcze ciepłe i to już ostaje wydzielają tysiące woni przemieszanych ze sztucznymi aromatami świec. Głosy, muzyka oraz odgłosy towarzyszące jedzeniu tworzyły kakofonię niemal nie do wytrzymania, szczególnie po tak długiej ciszy.

– Szukamy stolika? – zapytała Joanna i znów nie czekając na odpowiedź puściła się slalomem między krzesłami, ludźmi, a czasami filarami.

Nie pozostało mi nic innego, jak ponownie podążyć za nią. Mimo światła czy obecności ludzi nadal czułem jakiś dziwny niepokój. Coś z tym miejscem było nie tak. Uciszałem to wszystko w głowie racjonalnymi argumentami, ale lęk powracał. Usiedliśmy do stolika, by po krótkiej naradzie zamówić herbatę – dla mnie jako kierowcy – i grzańca – dla wygodnej pasażerki, która nie musiała się martwić takimi rzeczami, jak kluczek do auta i ponad sto pięćdziesiąt kilometrów drogi powrotnej do domu.

Zamówienie przyszło szybko. Wpływ rozgrzewającego napoju poczułem natychmiast. Ciepło rozlało mi się po żołądku, gardle, a nawet głowie. Oczywiście już nie w tym dosłownym sensie, ale szybciej krążąca krew powoli pomagała mojemu ciału wrócić do względnego stanu równowagi. Nie minęła chwila, a już czułem się wspaniale, zapomniałem o lękach. Jakby roztopiły się w tym przepysznym płynie. Zaczęliśmy z Joasią natychmiast gorąco debatować, jak to zwykliśmy czynić zawsze, kiedy mieliśmy chwilę dla siebie i dogodne warunki. Ani się obejrzelśmy, a byliśmy częścią tego ciepłego gwaru. Obserwowałem co chwila tłum, czerpiąc własną wesołość z radości ogółu oraz siedzącej przede mną dziewczyny. Było to doskonałe zwieńczenie wspaniałego wieczornego wyjazdu.

Przynajmniej tak mi się zdawało do pewnego momentu...

Siedząc w tej, jakby mogło się zdawać, idylli, pochłonięci byliśmy rozmową. Wszystko dookoła napawało optymizmem. Przez chwilę nawet mój introwertyzm wygasł, niemal byłem w stanie zlać się z tym tłumem, stać się jednością i nie cierpiałbym, jak zwykle to bywało. Nie potrafię powiedzieć, ile tam siedzieliśmy nim zaczął do mnie dochodzić dziwny niepokój. Trochę jak chłodny powiew wdzierający się pod ciepłą kołdrę, mimo że

wydaje nam się, że jesteśmy szczelnie nakryci. Siedziałem, śmiałem się, rozmawiałem mocno gestykulując, ale powoli opadała ze mnie ta dziwaczna euforia, a kiedy tak spływała coraz bardziej, utwierdzałem się w przekonaniu, że była sztuczna. Coś jakby przejęło kontrolę nad mną i moimi myślami. Odruchowo zacząłem przyglądać się daniom, które zdążyliśmy zamówić podczas tego nad wyraz przyjemnego posiedzenia w restauracji, z wyrazem głębokiej konsternacji.

– Co się stało? Czemu wyglądasz tak, jakbyś zjadł żuczka gnojarka w ostatnim kotlecie? – zachichotała Joasia, a ja, jakby uwolniony lub może dopiero uwalniający się spod wpływu dziwnego ukojenia, dostrzegłem, jak sztucznie i nienaturalnie brzmiał ten śmiech.

Było tak od początku? Od kiedy siedzimy tutaj jak zamroczeni? Rozejrzałem się szukając zegara, Asia chichotała dalej, a ja wyginałem się na krześle, przeszukując salę wzrokiem. Wtedy przed oczami stanął mi on. Kelner. W pierwszej chwili po prostu zarejestrowałem ten fakt, ale potem, skupiwszy wzrok na jego twarzy, zauważyłem coś strasznego. On był m a r t w y! Jego wyschnięte oczodoły, zapadłe w sobie, zionęły pustką czarną i zimną. Kości policzkowe błyskały bielą poprzecinaną resztkami zielonkawej skóry. Zepsute zęby osłaniały usta niemal zupełnie pozbawione warg. Byłem bliski krzyku, poczułem, jak wnętrze mojego żołądka wywraca się do góry nogami. Obrzydliwy widok doprowadzał mnie do szaleństwa, ale kiedy przybyły zapytał mnie o zamówienie, wszystko rozplynęło się tak nagle, jak się pojawiło. Stał przede mną zwyczajny człowiek z krwi i kości. Normalny, niczym niewyróżniający się i ponad wszelką wątpliwość –żywy. Co się ze mną działo?

– Kochanie, co się stało? – To była Joanna. Jej głos nie wyrażał już obłędu. Zniknęła dziwaczna maniera wymowy. Czy coś się stało? Zdecydowanie, tylko co? Traciłem zmysły? Czy to wina jedzenia, napojów, a może to tylko przewidzenia będące tworem mojej od zawsze wybujałej wyobraźni? Przez chwilę jeszcze zbierałem myśli, milcząc. Uśmiechnąłem się wtedy do niej, spokojniejszy i odpowiedziałem:

– To chyba tylko jakieś przewidzenie. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie zachowywałem się jak typowy wariat? – dodałem sztucznie konspiracyjnym szeptem, co wywołało wybuch śmiechu – naturalnego – takiego, jaki znałem od zawsze i kochałem ponad wszelką miarę.

Kawiarnia wyglądała teraz naturalnie, może tylko oświetlenie stało się jaskrawsze, a ludzie cichszy, ale to zapewne była kwestia kąta, w którym usiedliśmy. Powoli wracałem do siebie. Czułem się jak po zbudzeniu z krótkiego, złego snu i tak też potraktowałem te

projekcje, przez co szybko udało mi się ich pozbyć, wydalić z głowy, by znów cieszyć się chwilą i miejscem.

Tylko gdzieś głęboko z tyłu głowy pozostał lęk, z którego nie zdawałem sobie sprawy, ale miał o sobie przypomnieć szybciej niż się spodziewałem.

Bez troska trwała, a jakiegokolwiek pytania burzące mój spokój, zapętając się w mojej świadomości – zniknęły. Nie myślałem o przelatującym przez palce czasie, pieniądzach wydawanych przez co chwilę powiększające się zamówienie, o jutrzejszej pracy i przymusie powrotu do domu. Właściwie, czy choć przez chwilę myślałem o domu? Kiedy ponownie świat rozwiął się w oparach omamów i wizji, nie uciekłem od nich. Zostałem spętany, nim zdążyłem zareagować.

\*\*\*

Siedząc tak i chłonąc bez troskość poczułem jak wąż, usnuty z ciemnych przypuszczeń, wychylił znowu swój łeb ponad tę idylliczną florę. Czuję się tak, jakby ktoś zdjął barwny całun z cmentarnego miasta wymarłego od wieków. I choć niektóre budynki jeszcze świeciły kolorami, to reszta usiana była gęsto gruzem i ciałami. A przed oczami jak obraz stawała mi ta martwa twarz. Na początku nieśmiało, a teraz, kiedy obraz dookoła przestał być tak jaskrawy i wspaniały, coraz mocniej wdzierła się do moich myśli. Bariera oddzielająca mnie od lęków oraz wątpliwości, utworzona sztucznie przez to miejsce, czy to za sprawą narkotyków, czy nie znanej mi iluzji powoli słabła, a ja czułem się jak osaczony w okopach żołnierzy. Bez możliwości zobaczenia wroga, wycelowania i zastrzelenia go, nim zrobi mi krzywdę. Tylko odległe hałasy i krzyki zwiastujące nagłą śmierć. Siedziałem coraz bardziej podenerwowany, widziałem, że Joasia całkowicie wchłonięta jest w tę obłudę. Zastanawiałem się co zrobić. Wyprowadzić ją stąd siłą? Zostawienie jej nie wchodziło w grę. Pod tym pozorem szczęścia kryło się coś plugawego i okropnego. Musiałem ją zabrać.

\*\*\*

Miasto odpoczywało. W końcu, po wielu godzinach mogło odpocząć. Rozprostowało obolałe arterie, odetchnęło długimi piwnicami, wciągnęło zapach rzeki. Już się stamtąd nie wydostaną. Nie w tym czasie, nie w tym miejscu. Już nie będą mu przeszkadzać. Prześpi noc, przetrwa kolejny dzień. Każdy potrzebuje odpoczynku. A szczególnie ci, którzy trwali wieki całe, bez przerwy, niekiedy bez szacunku i czci, która należała im się za długie stróżowanie.

Powinni byli to uszanować. Wtedy miasto by ich oszczędziło. Ale niewarci tego byli, tak bardzo niewarci. Młode, bezbarwne i nietrwałe pokolenie. Tak tchórzliwe, leniwe i słabe. Nie można ich żałować.

Miasto odpoczywało...

\*\*\*

Powoli wpadałem w coś bliskiego paniki. Byłem chyba ostatnim gościem, który dostrzegął, co tu się dzieje. O ile inni byli tutaj prawdziwi. Wydawali się manekinami na dziwacznej scenie obłądu. Nawet Joasia, moja ukochana, zdawała się tracić głowę. Śmiała się z jakąś przeraźliwą nutą w głosie. Chciałem biec, uciekać, ale przede wszystkim z nią, a ona... wydawała mi się tak bardzo stracona. Nie wiedziałem co robić. Próbowałem do niej mówić. Prawie krzyczeć. Była jednak niewzruszona na moje prośby, błagania ani groźby, do których się posunąłem w ostatecznej rozpacz.

Mój głos, tak wyróżniający się na tle całkowicie entuzjastycznego tłumu, zwrócił uwagę obsługi. Wiedziałem, że kończy mi się czas. Bałem się. Siedziałem w środku miejsca, które wielu mogłoby nazwać rajem. Niesamowite światło, świetny klimat zbudowany z małych elementów dobrze skomponowanych z całością, masa szczęśliwych ludzi, gwarnie obwieszających swoje zadowolenie. A ja czułem się osaczony, przestraszony, zdenerwowany jak pod katowskim toporem. To ze mną jest coś nie tak, czy z tym miejscem? Nagle na ramieniu poczułem czyjąś dłoń. To wyrwało mnie z rozmyślań. Obejrzałem się powoli, bojąc się, co tam zobaczę. Ale stał za mną zwykły kelner. W dobrze skrojonym fraku i tacą pełną kieliszków.

– Proszę spróbować naszego wina, na koszt firmy. Chcemy, żeby nasi klienci wracali do nas jak najczęściej.

Był miły, może nawet za miły. Przez chwilę wyobraziłem sobie, jak jego uśmiech poszerza się do granic możliwości, odsłania korzenie zębów, tworzy krwawe szramy na obu policzkach, a jego zęby ściekają krwią. Zadrzałem nerwowo. Kelner wciąż wyglądał tak samo jak wcześniej, a ja poczułem, że tracę rozum.

– Nie, dziękuję, naprawdę. Niedługo będziemy wychodzić.

– Przepraszam? Stąd nie można wyjść.

– Słucham?

– Stąd nie można wyjść.

– O czym Pan m... – Nim dokończyłem zdanie, kelner odszedł, zostawiając wino na stoliku.

Nie sięgnąłem po kieliszek. Bałem się. Namawiałem Joasię, błagałem, by również go nie piła, ale jakby mnie nie słyszała, od razu podniosła go do ust. Poczulem, jak wszelka nadzieja ze mnie uchodzi, cały zdrowy rozsądek. Miałem ochotę krzyknąć. Traciłem zmysły. Siedziałem w restauracji otoczony wyglądającymi normalnie ludźmi, wśród ścian jak setki innych, słuchając muzyki znanej mi z codziennych wieczorów, kiedy kontemplowałem przy jazzie i książce. A mimo to się bałem. Wszystko było sztuczne i albo to moja głowa czyniła to takim, albo coś było bardzo nie w porządku z tym miejscem. Dlaczego zobaczyliśmy je dopiero kiedy zegar wybił północ? Przecież długo spacerowaliśmy po rynku, rozglądaliśmy się, oglądaliśmy wszystko co do najmniejszego detalu. Jakie to było szaleństwo! Gdzie ja jestem, co mnie otacza?!

Chciałem wyrwać Joasię z tego miejsca. Ona dalej zdawała się nie odróżniać fikcji od prawdy. Wciąż tkwiła w tej obłudzie szczęścia, ekstazy i euforii. Co miałem robić?! Moje ciało reagowało na tyle nierozsądnie, że powoli zaczęło to przyciągać coraz większą uwagę. Dostrzegalem odwracające się w moją stronę twarze. Od strony kuchni zaczęły zmierzać w moją stronę trzy postaci we frakach. Ich twarze były martwe, niewyraźne, jakby widziane w koszmarnym śnie.

Moje napięte nerwy nie wytrzymały. Poderwałem się z miejsca i chciałem chwycić Joannę za rękę. Złapałem jej przedramię i wtedy stała się rzecz, która przepelniła czarę pełną szaleństwa. Złapane przeze mnie ramię mojej ukochanej rozpadło się, posypało, jakby ulepiono je z kurzu! Po chwili cała jej postać zamieniła się w pył. Rozejrzałem się z szaleństwem w oczach. Wszystkie postaci rozkruszyły tak samo jak moja ukochana. Dookoła gasło światło, a ludzie zamieniali się w kurz, leżący jakby od stuleci grubą warstwą na drewnianej podłodze. Czułem się jak w koszmarnym śnie, wszystko dookoła mnie zmieniało się, przeobrażało w niepojęty sposób.

Po chwili stałem już w zupełnie innym miejscu. Pierwsza uderzyła mnie prawie całkowita ciemność. Jasne, wypełnione hałasami wnętrze zniknęło bezpowrotnie. Było cicho, niemal nienaturalnie. Szukałem przez chwilę źródła wąskiego światła, które broniło wtargnięcia bezgranicznej ciemności. Zobaczyłem zabite deskami okna. Przez szpary w niedbale ułożonych sztachetach wpadało światło dnia. Dnia?! Przecież przyszliśmy tu w nocy, co się, do cholery, tu wydarzyło? Nie ruszyłem się jeszcze z miejsca. To chyba był obłąd albo najgorszy ze snów, jaki miałem. Moja ukochana nie istniała, wszelcy bywalcy tej restauracji rozłożyli się równomiernie na podłodze warstwą wieloletniego kurzu, jedyny



zapach, jaki czułem, to zatęchłe powietrze i coś jakby odór zgnilizny wydobywającej się z mnóstwa zwłok gryzoni. Stoliki, połamane, leżały na podłodze, równie zakurzone co ona, tylko niektóre stały – poprzecyłane, nadgryzione zębem czasu. Gdzie ja jestem? Co się stało? Co mam teraz zrobić? Chciałem się położyć na ziemi i płakać. Ale mój instynkt samozachowawczy kazał mi działać za wszelką cenę.

Ruszyłem się w końcu i zacząłem przedzierać się do okien, by wyrzeć przez nie na ulicę. Musiałem poszukać odpowiedzi, wymyślić coś, cokolwiek. Jeżeli to sen, to i tak powinienem się niedługo obudzić, ale jeżeli to jednak nie tylko koszmar... Nie! To musiał być jedynie zły sen. Muszę spróbować się wybudzić. Wybudzić! Stałem znowu w miejscu i zacząłem szarpać się za włosy, bić otwartą dłonią w twarz. Muszę się obudzić!

Ale nic takiego się nie stało. Obolały, dalej stałem w tym samym miejscu – zatęchłym, martwym pomieszczeniu. Pozostało mi tylko spróbować dowiedzieć się gdzie jestem i co się właściwie stało. Ruszyłem ponownie do okna. Będąc już na wyciągnięcie ręki od pierwszej deski posłyszałem głos. Daleki, odległy, jak słowa słyszane przez grube mury. Ktoś wołał moje imię! Z początku ciężko było mi rozpoznać brzmienie tego krzyku, był zbyt przytłumiony, ledwo wylapywany przez wąty słuch człowieczy, ale to chyba była... tak! To Joanna! Woła mnie! Tylko skąd?

Zacząłem rwać deski, kopać je, wybijać barkiem. Z całą zapalczywością człowieka próbującego przedostać się do ukochanej. Na szczęście prowizoryczna blokada spróchniała już lata temu, dzięki czemu po chwili wypadłem na ulicę. Rozejrzałem się, ale Joanny tu nie było. Widziałem za to miasto. Starłem się z całych sił, by nie krzyżeć. A może to ciekawość przebiła się na tyle przez mgłę obłądu, że byłem w stanie być cicho? Obserwowałem ludzi ubranych w stroje, które pamiętałem ze starych zdjęć. Przechodzili koło mnie, niemal na wyciągnięcie dłoni, ale nie zwracali na mnie uwagi. To, co najbardziej przerażało w ich wyglądzie, to zamazane twarze. Trudno opisać słowami, jak dokładnie wyglądały te oblicza. Jakby malarz w dużym pośpiechu machnął zbyt mocno namoczonym pędzlem szarą smugę na płótnie. Upiorne, zasnute mgłą, pozbawione wyrazu i... człowieczeństwa.

Obserwowałem to z obrzydzeniem, strachem oraz pewną dozą ciekawości, która narastała we mnie z każdą chwilą. Pytania kłębiące się w czaszce narastały, przysłaniając niepokój. Gdzie jestem? Czy ja nie żyję? Mam halucynacje? Czy może to tylko najbardziej zakręcony sen na świecie? Zszokowany, nie potrafiłem się poruszyć. Stałem tylko, obserwując staroświecko ubrane osoby bez oblicz, pędzące przede mną i nie zwracające na mnie żadnej uwagi, jakbym był niewidzialny.

Wtedy usłyszałem głos Joanny po raz drugi. Zdawał się dobiegać z daleka, jakby spomiędzy ścian kamienic gdzieś głęboko w centrum miasta. Poruszyłem się natychmiast. Próbowałem zlokalizować źródło dźwięków, lecz rozchodziło się ono jakby z każdego starego muru, każdej kostki bruku. Całe miasto krzyczało do mnie głosem mojej ukochanej. Nasłuchiwałem jeszcze chwilę, po czym pobiegłem w kierunku, który wydawał mi się najodpowiedniejszy. Natężenie tonów rosło, wiedziałem, że biegnę w dobrą stronę. Nagle stanąłem jak wryty. Znalazłem ją! Również była ubrana niczym postać z filmu o drugiej wojnie światowej, ale jako jedyna nie miała zamazanej twarzy. Podbiegłem do niej, ale nim zdołałem jej dotknąć, drogę zastąpiły mi cienie bez twarzy. Stały z rozmazującymi się, falującymi widmami zamiast oblicz, w ciszy. To był pierwszy raz, kiedy zareagowały na moją obecność. Próbowałem się przebić do Joasi, krzyczałem do niej, ale postaci tylko ciaśniej zbiły się przed nią, a inne zaczęły mnie okrążyć i zbliżać się do mnie tym bardziej, im ja mocniej próbowałem dostać się do dziewczyny. Wszedłem z nimi w przepychanki, ale były zbyt silne, a kolejne dziwne osoby przybliżały się i zataczały coraz węższy krąg wokół mnie. Czulem, jak na mnie naciskają, ich niewzruszone, rozmazane twarze stały wszędzie.

Zacząłem panikować, rzucać się, próbując odepchnąć nacierające ciała, lecz ich siła przewyższyła moją kilkukrotnie. Przy kolejnej próbie pchnięcia potknąłem się o czyjąś nogę i upadłem. Między filarami ciał dostrzegłem moją kobietę, niewzruszoną, wpatrzoną wciąż w tę samą stronę, w pozie, w której ujrzałem ją na początku. Twarze, wciąż falujące jak stary telewizor niemogący złapać sygnału, pochylały się nade mną. Krzyczałem, próbowałem nogami je odpychać, strach dławił moje słowa. Pierwszy cios nogą w mój korpus urwał moje zawołania o pomoc, zamieniając je w jęk cierpienia. Kolejne stopy zaczęły okładać moje ciało, kopiąc mnie nieustannie. Myślałem, że to mój koniec. Byłem pewien, że te postaci doprowadzą do mojej śmierci. Tu, w nieznanym miejscu i czasie. Na brukowanej ulicy, przez pozbawione twarzy istoty.

Nagle usłyszałem huk. Ciosy ustały. Falowane oblicza zwróciły się w stronę hałasu. Kolejny huk, następny. Po chwili całe powietrze drżało, rozbite potężnymi eksplozjami, a z daleka docierał szum, niczym wielkich szerszeni zmierzających w naszą stronę. Persony rozpierchły się po ulicy. Wstałem, obolały, z krwią ściekającą mi gorącym i lepkim strumieniem po twarzy. Wyciągnąłem rękę, ale obraz Joanny po raz kolejny rozleciał się niby spalony tekturowy karton. Upadłem na kolana. Byłem bezsilny. Popłynęła pojedyncza łza, złościąc sobie koryto w krwi oraz brudzie oblekającym moją twarz. Gdzie ja, do cholery, byłem?! Zaniósłem się szlochem z bezradności, tęsknoty i strachu.

\*\*\*

Miasto się śmiało. Tak, głośno rechotało wiatrem rozbijającym się o ściany budynków. Udało mu się. Zażegnało swój problem. Zamknęło ich tam, gdzie ich miejsce. W pamięci swoich cierpień, w historii upadków. Może zrozumieją, nauczą się szanować jego spokój. Miasto odpoczywało, z satysfakcją uśmiechało się zębami szczerbatego muru starego rynku. Może w końcu zrozumieją. Wątpiło w to, znało ich aż za dobrze. Ludzi. Nie szanowali własnego gatunku, więc czemu mieli by szanować tych, którzy nie potrafią się skarżyć? Człowiek potrafił budować, a jakże! Nadawał swoimi rękoma kształt jemu i jemu podobnym. Umiał tworzyć sztukę, piękno, które zdobiło jego fasady i wnętrza. Ale ponad wszystko kochał niszczyć. Siebie, to, co konstruował, swoje myśli i idee. Ludzie kochali śmierć, zgliszczą, smutek. Gdyby tak nie było, czemu by mieli wciąż do tego dążyć?

\*\*\*

Leżałem na kolanach, póki krzyk nie wyrwał mnie ze stagnacji. Dookoła mnie panował chaos. Ludzie uciekali w panice. Pomiedzy wrzaskami słyszałem dalekie huki podobne do wystrzałów, powtarzalne jak ogień z karabinów maszynowych oraz rzadsze, ciężkie i potężne. Czy to możliwe? Te stroje, ludzie bez twarzy... Poderwałem się z kolan. Nie oglądając się, zacząłem biec razem z innymi. Strzały zbliżały się z nieuchronnością i wytrwałością kosi kostuchy. Biegłem co sił w nogach, powoli czułem ogień trawiący moje trzewia, pochłaniający przelyk. Wbiegłem do budynku tuż za jakimś mężczyzną, który wydawał się wiedzieć, dokąd uciekać.

Przebiegłem przez korytarz, widząc jego plecy znikające za progiem jednego z pokoju, lecz kiedy stanąłem w drzwiach, już go tam nie było, a pokój okazał się być kolejnym korytarzem – długim i słabo oświetlonym, falującym światłem świec. Stałem przez chwilę oniemiały i powoli ruszyłem przed siebie, w głąb tej niesamowitej struktury. Wydawało mi się, że odgłosy bitwy jakby ucichły, ale, szczerze mówiąc, nie pamiętam tego dobrze. Byłem zszokowany tym surrealistycznym przeżyciem. To było cechą snu, że pewność zamieniała się w majak, a miejsca przybierały z każdym krokiem inny wygląd. Czyżbym więc śnił? Wydawało się to coraz bardziej prawdopodobne. Ale odpowiedzi wciąż brakowało.

Szedłem, otoczony murem stworzonym z gołych kamieni, prawie ocierając się o ich gładkie powierzchnie oraz uchylając głowę przed latarniami podwieszonymi pod sufitem za pomocą łańcuchów. Korytarz dłużył się, zdawało mi się, że już blisko godzinę nim podążam,

może dłużej. Nie wiem gdzie byłem, jak długo ani dlaczego, po prostu szedłem. Nie było widać wyjścia przede mną, wejście za mną też niknęło już w mroku. Cóż więcej mogłem zrobić poza parciem naprzód? Czułem się jak w przedziwnej pętli, podróżując w kółko po korytarzu przecinającym czasoprzestrzeń.

I kiedy myśl ta przejęła nade mną kontrolę, powoli budząc we mnie panikę, posłyszałem muzykę. Spokojną, fortepianową. Ktoś grał niezbyt jeszcze umiejętnie, z krótkimi przerwami na zastanowienie się, którego palca użyć, rozrzuconymi gdzieś pomiędzy kolejnymi granymi nutami. Była jednak nadzieja! Niemal biegiem rzuciłem się do przodu. Ktokolwiek tam był, cokolwiek mnie tam spotka, lepsze to będzie od tych ciemnych ścian ciągnących się w nieskończoność! Zobaczyłem mdłe światło, bardziej rozproszone przez latarnie pod sufitem. Koniec był blisko. Jeszcze chwila i wbiegłem do rozległej piwnicy.

Była obszerniejszym bliźniakiem tunelu pozostawionego za plecami. Rozejrzałem się. Do ścian przytwierdzone były drewniane półki pełne zakurzonych słoików z przetworami. Te niżej położone zarezerwowano dla serów. Połowę jednej zapelniono podwieszonymi kawałkami mięsa, prawdopodobnie zakonserwowanego w soli. Dopiero na końcu zauważyłem wielkie, okute w mosiądz, drewniane drzwi. Prowadziły do nich wąskie, strome schodki. Wspiąłem się po nich i pchnąłem odrzwia. Ani drgnęły. Pchnąłem ponownie – nic. Po chwili zorientowałem się, że trzeba było je pociągnąć. Stałem załamany własną głupotą, po czym przekroczyłem w końcu próg piwniczki. Powitał mnie przestronny korytarz o kamiennych ścianach zdobionych gobelinami. Rozejrzałem się. Było pusto. Gdzieś w oddali słyszałem krzątanie, mnóstwo rozbieganych ludzi. Wśród tego harmidru przebijał się głos. Zdawało mi się, że szepcze: szukaj mnie, jesteś już blisko. Czuję, że jesteś blisko. To była ona! Znowu do mnie mówiła, moja Joanna!

\*\*\*

Ulice grzniały gromkim śmiechem wśród kamienic. Miasto obserwowało każdym zacienionym oknem biegającą i krzyczącą dziewczynę, i chichotało. Tak, był to wspaniały widok. Niech go szuka, tak długo, aż jemu się spodoba. Może niedługo ich wypuści? Upewni się, że zrozumie. Wtedy będą mogli odejść. Na razie niech krzyczą, boją się i uciekają. Nie mogło sobie odmówić tego widoku. Kobieta wciąż obchodziła każdy kąt, czując obecność swojego ukochanego, ale nie mogąc go znaleźć. Jej zagubienie i lęk sprawiły, że znowu

miasto wybuchło śmiechem, aż włosy dziewczyny rozwiały powiew z ogromnej gardzieli starego strażnika ciszy.

\*\*\*

Nie wiedziałem skąd dochodzi głos. Zacząłem przemieszczać się skomplikowanymi korytarzami, wchodziłem i schodziłem wielkim, krętymi lub niewielkimi, prostymi schodami na różne poziomy rozległego budynku. Nigdzie jednak nie znalazłem ani Asi, ani śladu ludzi, których krzątanie słyszałem. Zmęczony, zwolniłem kroku. Dostrzegłem w oddali, gdzieś na końcu korytarza, olbrzymie dwupłatowe odrzwia. Zdobione, ciemne, potężne. Złote klamki tkwiły w tej ogromnej ciemnej masie jak oczy drapieżnego kota, obserwujące każdy mój ruch. Przez chwilę stałem jak zahipnotyzowany, wgapiając się w te błyszczące punkty na ogromnej połaci mroku. W końcu nacisnąłem łuk dźwigni. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie, a fala różnorodnych dźwięków rozlała się i uderzyła moje zmysły, jak gdyby odciągając pokrywę tej sali, zsunąłem z niej również kurtynę milczenia.

Pomieszczenie było pełne ludzi wijących się pomiędzy filarami podtrzymującymi w idealnej symetrii strop powyginany finezyjnymi łukami. Wszyscy rozmawiali donośnie, a gdzieś z wnętrza dobiegała muzyka. Stałem jeszcze przez chwilę na progu, oszołomiony tym wszystkim. Każde kolejne drzwi tylko nastreczały pytań, a znikąd odpowiedzi. Gdzie się znalazłem? Czy ja faktycznie śnię? A może to objaw szaleństwa, a Joasia próbuje mnie ocucić, wołając mnie? Albo mieliśmy wypadek, a teraz leżę w śpiączce?

Przekroczyłem próg, dźwięki ucichły. Sala była pusta, cicha, pogrążona w mroku. Co do dia... Spojrzałem w górę. Zauważyłem przyczepione do sufitu haki. Nie były puste. Ciche skrzypienie lin dotarło do mnie, kiedy w otępieniu zamilkłem momentalnie. Wisiały tu ciała! Całe mnóstwo ciał, podwieszonych na grubych sznurach, rozkładających się, śmierdzących i groteskowo zielonych. Widziałem kości przebijające się przez odpadające płyty zgniłej skóry. Szyje były bezkształtnym kawałkiem mięsa utkwionym w ciasno zaciśniętych pętłach. Postaci obracały się powoli, jakby przed chwilą powieszono, zaprzeczając ogólnemu obrazowi zgnilizny i rozkładu. Dłonie pozbawione mięsa, stare buty wiszące na rozpadających się stopach, łachmany ledwo zakrywające cuchnące ciała.

Nie mogłem się poruszyć. Stałem oniemiały i przerażony. Jeżeli to tylko sen, muszę dotrzeć do jego końca! Wysiliłem się na kolejny krok. Ciała spadły z głuchym łoskotem, uderzając bezwładnie o posadzkę. Ciche plasknięcia rozkładających się kawałów mięsa przyprawiły mnie o mdłości. Muszę to przetrwać! Kolejny krok. Ciała rozpuściły się,

wnikając w podłogę, zostawiając po sobie tylko ciemne plamy i odór zgnilizny. Dam radę, nie mam innego wyjścia, byle do końca tego przekłętego snu. Następne stąpniecie. Na środku sali pojawiła się postać, klęcząca, o twarzy zamazanej, groteskowo rozproszonej jak rozstrojony telewizor albo drzewa ukryte za gęstą mgłą. Szedłem dalej. Osoba podniosła głowę, wciąż nie widziałem, kto to, ale ukryte w półcieniu oblicze wydawało się okraszone łzami, a ciałem wstrząsał niemy szloch. Cóż za żałośnie wyglądająca istota, tak samotna, pośród plam wyparowanych ciał... Z każdym krokiem widziałem coraz więcej, a kiedy poszedłem wystarczająco blisko, wydawało mi się, że znam osobę klęczącą tuż przede mną. Wtedy chwyciła mnie za rękę. To była Joanna! Taka, jaką znałem! Chciałem już wykrzyknąć wielką radość, jaka we mnie wstąpiła na jej widok po całym tym surrealistycznym koszmarze, ale on jeszcze się nie skończył.

Twarz mojej ukochanej zmieniała się. Stałem, a jakby całe lata przebiegały tuż koło mnie, rozbijając swoje westchnienia wieków na mojej twarzy. Oblicze Asi przechodziło przez te dekady. Byłem pewien, że tracę zmysły, patrząc jak starość pochłania jej policzki, tworzy głębokie bruzdy na czole, kradnie jędrność jej ciała. Nie mogłem się poruszyć, zakłęty w dziwnej stagnacji, tylko obserwowałem. Skóra nabierała barwy popiołu, przechodząc w nienaturalną bladość trupa, by na końcu zazielenić się i odpadać powoli od kości. Rósł we mnie strach, ale nie mogłem uciekać. Byłem w pułapce, zamknięty, by obserwować jej powolną agonię. Ona umiera! Na moich oczach! Cóż miałem zrobić, nie potrafiłem nic. Tylko patrzyłem, jak ostatnie połacie zgniętego mięsa odpadają od czaszki, a ta powoli rozsypuje się w pył ścieląc się u mych stóp. Wtedy poczułem, jak czar pryska, znowu mogłem się poruszyć, ale byłem w stanie tylko upaść na kolana i płakać. Płakałem długi czas, czułem eony rozbijające się o moje ciało w szalonym tempie, a ja szlochałem w wiecznej żałobie. Nie było już nic. Straciłem wiarę, zdrowy rozsądek, zmysły i Asię...

Ktoś dotknął mojego ramienia, wykrzykując coś, ale ja tylko patrzyłem wciąż na swoje kolana, zbyt załamany, by powstać.

– Wstawaj, no już! Wstawaj! Uciekajmy stąd, uciekajmy jak najdalej!

Ten głos... ciągle ten sam głos, który kazał mi szukać. Czy to mogła być ona? Spojrzałem ku górze i byłem już pewien. Dałem się chwycić za dłoń i wybiegliśmy z tego piekła. Nie wiem do dziś, czy sen to był, halucynacje, czy majak jakiś diabelską ręką namalowany, i niewiele z tego mnie interesuje. Chciałem tylko wybiec.

\*\*\*

Miasto odpuściło...



# MALOWIDŁO MISTRZA MITSUNOBU

Paweł Lach

Przemierzając pieszo obcą krainę, idąc wąską groblą, która przecinała ryżowe poletka, pan Tosa Mitsunobu z obawą wyczekiwał widziadeł nocy. Co prawda zachodzące słońce przeglądało się jeszcze w taflach zalanych wodą pól, barwiąc je rdzawą luną, ale z każdą chwilą światła było mniej.

W pewnym momencie wędrowiec spochmurniał i zerknął na dźwigającego ciężkie pakunki sługę. Chłopiec imieniem Akita przystanął. Gdy wiatr przyniósł z sobą kwaśny zapach gnijącej padliny, wędrowcy wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami.

Szli jednak naprzód, choć nadal bez słowa, jakby nie chcieli sprowadzić na siebie wzroku niepowołanych oczu. Nie zatrzymali się też dłużej przy zwłokach psa, które leżały na skrzyżowaniu dróg. Krótkie oględziny w zupełności wystarczyły, aby nabrać najgorszych podejrzeń. Brzuch zwierzęcia był rozpruty, a flaki wywleczone na ścieżkę. Ktoś wylupił psu oczy. Skóra została częściowo zdarta z jego ciała, choć miejscami widać było kępki pozlepianej od krwi sierści. Na wyzierającym spod niej mięsie odznaczały się ślady pazurów i zębów, nazbyt osobliwe, by należały do zwykłego drapieznika czy padlinożercy.

– *Yokai?* – zapytał wystraszony chłopiec po cichu, gdy zrównał się ze swym mistrzem.

– Zapewne – odparł pan Mitsunobu, możliwie spokojnie. – Zaczyna zmierzchać, a my jesteśmy opodal przecinających się dróg, na skraju nawodnionych poletek, w miejscu, gdzie potwór rozpruł wnętrzności psa, jak sądzę nie po to, aby żywić się jego mięsem, tylko cierpieniem... – Mistrz jakby ważył przez moment sens własnych słów, a potem zawołał: – Pora zatem zwawiej wyciągać nogi, mój chłopcze!

Pan Mitsunobu zerwał się z miejsca i śmieiej zaczął dreptać po wąskiej grobli. Zdumiony Akita ruszył spieszenie za swoim mistrzem. Chłopcu zdawało się, że słyszy ze sobą odgłos człapania, jakby ktoś stawiał wielkie, błoniaste stopy na grząskiej ziemi. Słońce w tym czasie zdążyło skryć się za górami, a wieczór opleść okolicę woalem czerni.

W pewnym momencie Akita odwrócił się raz jeszcze i krzyknął. W ciemnościach zajaśniało jaskrawą czerwienią kilka par oczu, najwyraźniej przyglądających się dwójce zbłąkanych wędrowców. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że należą do jednej tylko istoty, i to właśnie było najstraszniejsze.

– Szkoda... Szkoda, że jest już zbyt... Zbyt ciemno – powiedział pan Mitsunobu, dysząc nieco, ale nie zatrzymując się ani na moment. – Potrzebuję... Potrzebuję lepszego światła!

\*\*\*

Zajmująca się wioskową gospodą dziewczyna podeszła do stołu, aby posprzątać po wieczerzy. Choć w pomieszczeniu panował półmrok, pan Mitsunobu był w stanie docenić urodę młodej Kikuchi, która miała proste, ale szlachetne rysy twarzy i oczy podobne do toni



morza. Akita również wpatrywał się w dziewczynę z zaciekawieniem, przynajmniej do momentu, gdy dostał solidnego kuksańca od swojego mistrza.

Kikuchi spostrzegła, że zacny gość trzyma pod bokiem lichą z pozoru skrzynkę i raz po raz kładzie na niej bladą dłoń o długich, smukłych palcach. Widać było od razu, że zawartość skrzynki jest dla przybysza bardzo ważna i najwyraźniej cenna.

– Dziękuję za posiłek – rzekł z uśmiechem pan Mitsunobu, gdy dziewczyna zabrała naczynia.

Kikuchi słysząc te słowa skłoniła się nisko.

– Rzadko odwiedzają nas goście, zwłaszcza tak zacni – odparła. – To zaszczyt, panie, że zatrzymałeś się tutaj, nie gardząc prostym posiłkiem.

Mistrz skinął lekko głowę, a potem dodał z ponurą miną:

– Zdarza się jednak, że odwiedzają was nieproszeni goście. Widziałem pomiędzy ryżowymi poletkami padlinę. Coś zagryzło waszego psa. – Mistrz zastanowił się, a potem pokiwał głową, jakby przytakując samemu sobie. – Coś... Właśnie, co? To zagadka! Tak, na pewno nie zabił tego psa człowiek, ani zwierz, choćby i wściekły.

Kikuchi spojrzała na gościa z pewnym lękiem. Czy mogła się przed nim otworzyć i powiedzieć wszystko? Pan Mitsunobu wyczuwał najwyraźniej, że dziewczyna się waha, więc spojrzał na nią życzliwie.

– Nie musisz przede mną nic ukrywać. Podróżuję po świecie i widziałem wiele dziwnych rzeczy.

– Rzeczywiście, od pewnego czasu nawiedza nas potwór – powiedziała Kikuchi cicho, jakby słowa mogły przywołać czającą się za progiem groźbę. Od razu zerknęła w kierunku drzwi. Z podwórza wciąż dobiegał cichy chichot i jakieś chrobotania.

– Potwór nie wejdzie do środka – zapewnił urzędnik. – I możesz mi wszystko powiedzieć, nawet gdyby...

Mężczyzna przerwał, słysząc czyjś głos. W kącie izby dało się dostrzec nieznaczny ruch przesuwających się cieni. Nie zaskoczyło to pana Mitsunobu, który domyślał się, że od początku ktoś im się przygląda i przysłuchuje z uwagą.

– Nie jesteśmy tu sami, prawda Kikuchi? – zagadnął Tosa, upijając spokojnie łyk herbaty. – Czy przedstawiś mi domownika, który ukrywa się w ciemnościach?

Zdawało się, że dziewczyna nagle zaniemówiła.

– Sama się przedstawię. – Z kąta izby dobiegł skrzekliwy głos.

Po chwili z mroku wyłoniła się stara, podpierająca się laską kobieta. Akita krzyknął na jej widok. Twarz staruchy była przewiązana białą materią, na której znaczyły się krwawe

plamy. Kikuchi podbiegła do staruszki, chcąc ją zaprowadzić z powrotem do kąta, ale ta odtrąciła dłoń dziewczyny.

– Jak masz na imię? – zapytał pan Mitsunobu, patrząc najpierw na siwe, pozlepiane od brudu i krwi włosy, a potem przyglądając się wykręconym przez reumatyzm dłoniom, podobnym do kory kostropatego drzewa.

– Mikumo – odparła, podchodząc jeszcze bliżej i stukając swoją laską, którą teraz nie tylko się podpierała, ale też znaczyła sobie szlak.

– Czy to potwór cię skrzywdził, Mikumo? – zagadnął Tosa.

Kobieta aż zazgrzytała zębami, a Kikuchi zaszlochała.

– Potwór rozszarpał dwoje moich prawnucząt – wyjaśniła staruszka – które w tym roku przysły na ten okrutny świat. Ich rodzice poszli do miasta, szukając zarobku i zostawili je pod moją i Kikuchi opieką... Co im powiemy, gdy powrócą za parę miesięcy? Co im powiemy? – Mikumo złapała się za głowę.

– Jak doszło do tego nieszczęścia, Mikumo? – zapytał Mitsunobu.

– Parę dni temu Kikuchi, która jest jedną z moich wnuczek, a także siostrą nieszczęsnej matki, poszła po wodę, a ja zostałam sama z tymi kruszynami. Siedziałam z dziećmi na progu i nie przejęłam się zachodem słońca. Skąd mogłam wiedzieć, że z mroków wyłoni się potwór? To była tylko chwila!

– Przykro mi – rzekł Pan Mitsunobu, spoglądając raz na staruszkę, raz na młodą dziewczynę, po której policzku zaczęły spływać łzy.

Wszyscy milczeli przez moment, a cisza wydała im się bardziej niepokojąca niż najstraszniejsze opowieści.

– Potwór zakradł się pod domostwo – Mikumo w końcu odezwała się – i ogłuszył mnie, a kiedy leżałam zamroczona, nie mogąc się ruszyć, zadusił dzieci swymi brudnymi łapami i pożarł maleństwa na moich oczach. Nie ruszyłam się nawet... Byłam ledwie żywa i nazbyt przerażona, by zrobić cokolwiek! – Staruszka przysiadła obok wystraszonego Akity.

– Słońce już zachodziło, ale zanim zapadł zmrok mogłam go zobaczyć... Tak, widziałam jednego z *Yokai*, panie. Myślałam też, że gdy odejmę sobie oczy, karząc się za swoją słabość, już nigdy nie będę musiała go oglądać ponownie... Jego i potworności, jakich się dopuszcza, gdy przychodzi szkodzić ludziom! To było jednak naiwne z mojej strony... Czy wiesz, panie, co się stało?

– Powiedz mi, Mikumo. Chcę usłyszeć.

– Widzę go teraz w swych snach i na jawie nieustannie... Widzę też jak dusi moje prawnuczęta. – Staruszka niespodziewanie zaśmiała się. – To kara za to, że nic nie zrobiłam!

Pan Mitsunobu przytaknął, a w jego oczach widać było zrozumienie. Kikuchi schowała twarz w dłoniach.

– Ja też mogłam się pospieszyć! – wyznała dziewczyna łkającym głosem. – Mogłam szybciej wyciągać nogi i wrócić przed zmierzchaniem... Złe znaki przepowiadały przecież nadejście demona.

Akita oddychał nerwowo, czując tężejący wewnątrz pomieszczenia strach. Tylko mistrz Mitsunobu trzymał nerwy na wodzy i najspokojniej jak potrafił zapytał:

– Wiem, że to trudne, ale chciałbym, byś spróbowała odpowiedzieć. Czy potrafisz go opisać, Mikumo? Czy możesz opowiedzieć mi jak wyglądał potwór? Najdokładniej jak to tylko możliwe. To może pomóc. Nawet bardzo...

Staruszka poruszyła się nerwowo.

– Ma psią mordę, żabie nogi i wiele par oczu. A mimo to jest w nim coś ludzkiego i dlatego wydaje się taki straszny. Szepcze coś swymi poczwarnymi ustami i można w tym bełkocie rozpoznać ludzkie słowa. A jego twarz, choć okropna, ma znajome rysy... Nie dręcz mnie podobnymi pytaniami – rzekła Mikumo stanowczo, a potem wstała i ruszyła ponownie w kąt izby. – Słyszysz? Łazi pośród domostw, szukając ofiary. Bawi się naszym strachem. Jego chichot słychać od kilku dni. Wkrótce znów będzie głodny i kto wie, czy nie wtargnie do któregoś domu szukając strawy z czyichś flaków!

Staruszka zaczęła się śmiać, a wraz z jej głosem dało się słyszeć także inny, dobiegający z zewnątrz głos. I trudno było rozstrzygnąć, który z nich jest bardziej przerażający: ten dobywający z nieludzkiego gardła, czy może śmiech oszalałej z żalu staruszki, która na koniec długiego życia straciła wszelką nadzieję, dowiedziawszy się, że świat nie został poukładany przez wielbiące porządek siły.

Stukając kosturem, Mikumo przeszła do drugiej części izby. Pan Mitsunobu przegnał Akitę stanowczym gestem dłoni, bo chciał rozmówić się z Kikuchi na osobności.

– Błagam, panie. – Dziewczyna padła do kolan gościa. – Nie dręcz już jej! Dość wycierpiała. A teraz jest szalona, więc jej słowa niewiele znaczą.

Pan Mitsunobu podszedł do łkającej karczmarki i dotknął twarzy dziewczyny. Patrzył w jej oczy z zaciekawieniem, jakby szukając w nich widoków porzuconej młodości. Łzy spływały po policzku Kikuchi.

Próbując rozwiać namacalne widmo przerażenia, Tosa zaczął opowiadać dziewczynie o wielu tajemniczych i cudownych rzeczach, które widział wędrując po świecie. Rozmawiali ze sobą dłuższy czas, szukając w czerni nocy strzępków nadziei. Wkrótce

w chacie rozbrzmiało donośne chrapanie starej Mikumo. Z kolei Akita zapewne ich podglądał, udając tylko, że śpi.

– Nie obawiaj się – powiedział w końcu mistrz Mitsunobu. – Pomogę wam. Wiem, jak pozbyć się potwora.

W oczach Kikuchi pojawił się błysk.

– Panie...

– Dzisiaj już za późno – rzekł Tosa, udając się w kierunku przygotowanego przez Kikuchi posłania. – Ale niechaj jutro wszyscy mężczyźni z wioski zjawią się na placu. Musimy przygotować się do kolejnego zmierschania. Wszystko wam wyjaśnię. Pokieruję wami. Jeśli się uda, to pochwyćmy go!

– Ale... Ja... My nie mamy nic, by zapłacić. Jesteśmy tylko biednymi wieśniakami.

– Ciii... – Pan Mitsunobu położył palec na wargach wystraszonej dziewczyny, delikatnych jak płatki kwiatów kamelii. – Ciężko będzie nam usnąć tej nocy... Jutro weźmiemy się do roboty. Nastanie taki zmiersch, który przywitasz z radością i będziesz spoglądać na gwiazdy z nadzieją, Kikuchi.

Dziewczyna po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnęła się. Nikt nie był dotąd dla niej tak miły.

– Jak się odwdziczę, panie? – Kikuchi spuściła wzrok.

– Podejź tu – powiedział Tosa, zapraszając gestem dłoni. – Jesteś piękna. Czy ktoś ci już o tym mówił? Twoja skóra jest bardzo delikatna...

– Nie... Nikt tak nie mówił. – Policzki dziewczyny spłonęły rumieńcem.

– Połóż się koło mnie, Kikuchi – rzekł pan Mitsunobu, przyciągając dziewczyną do siebie. – Otrzyj łzy. Nie martw się niczym. Tej nocy zło nie ma tutaj dostępu. Będzie nam cieplej, gdy nasza ciała ogrzeją się wzajem. Mężczyzna i kobieta nie powinni od siebie uciekać, kiedy zło czai się w mrokach nocy.

Nie mówiąc już nic, zsunął z dziewczyny szatę. Stała teraz naga przed nim, bojąc się powiedzieć cokolwiek. W przyływie zawstydenia przysłoniła dłońmi piersi. Tosa objął Kikuchi ramieniem, zdając sobie sprawę, że najprawdopodobniej jeszcze nigdy nie spała razem z mężczyzną i musi być delikatny, aby jej nie spłoszyć. Usiadła na posłaniu, a on położył usta na policzku dziewczyny, dłonią sięgając do kształtnej piersi.

– Pomogę wam... Wiem jak przegnać demona. Ale póki co... Kikuchi, jesteś taka piękna.

Zaciągając się zapachem jej skóry, zerknął na tajemniczą skrzynkę. Wkrótce jednak zaklęcia miłości skupiły na sobie uwagę wszystkich zmysłów, a pan Mitsunobu zapomniał o całym świecie.

\*\*\*

Gdy blask poranka przegnał majaki nocy, przez chwilę zdawało się, że wszelkie sprawy na świecie podporządkowały się znowu starym siłom, które od pokoleń oddzielały światłość od mroku. Jednak pierwsze promienie słońca tylko pozornie wygoniły zło. Co prawda w powiewie rześkiego powietrza nie czuć było już zgnilizny, ale mimo pogodnego świtu osada trwała w półśnie i malignie złych wspomnień.

Pan Mitsunobu spoglądał z uśmiechem na śpiącą Kikuchi. Pasma wpadającego przez okno blasku, kładły się na jej bladej skórze. Łuk nagiego ciała wydawał się tak harmonijny. Mistrz położył dłoń na udzie dziewczyny i pocałował ją czule w policzek. Powróciły wspomnienia dawnych czasów i porzuconych miłości. Kariera na dworze szoguna oznaczała kompromisy, wieczne wędrówki, ciągły ruch, pozostawianie za sobą niewykorzystanych w pełni chwil szczęścia.

Dziewczyna otworzyła oczy, uśmiechnęła się i pogładziła dłonią policzek kochanka.

– Ta noc była inna niż wszystkie – powiedziała cicho. – Zapomniałam o tym, co złe.

– Ten dzień także będzie niezwykły – rzekł pan Mitsunobu, podnosząc się lekko na posłaniu. – Czekają nas wiele pracy.

– Czy... Czy pamiętasz o swojej obietnicy, panie?

– Pomogę wam – powiedział z pewnym smutkiem. – Zawsze dotrzymuję słowa.

Pan Mitsunobu spojrział w pobliski kąt izby, gdzie stała z pozoru marnie wyglądająca skrzynka. W niej jednak kryło się dzieło jego życia, któremu poświęcił wiele lat, okupionych licznymi i niebezpiecznymi wyprawami. Gdyby ktoś przywłaszczył sobie zawartość skrzynki, Tosa byłby skończony.

A jednak zapomniał o rozwadze, pozwalając na to, by spętały go miłosne zaklęcia. Kiedy ostatni raz spotkała go podobna przygoda? Ile lat temu? Nawet jeśli jeszcze nie zgrzybiał, jak wielu jego rówieśników, upływu czasu nie dało się oszukać. Włosy mu posiwiały, plecy zgarbiły się. Czy warto było tak ryzykować? Czy w oczach młodej dziewczyny dało się rozpoznać barwy porzuconych snów? Pan Mitsunobu uśmiechnął się do siebie, jakby znalazł odpowiedź.

Ukradkowe spojrzenie przybysza nie uszło uwadze Kikuchi.

– Nie musisz się obawiać, panie – powiedziała dziewczyna. – Cokolwiek z sobą wiesz, jakkolwiek cenny byłby to skarb, jesteś tutaj bezpieczny ze swoimi sekretami. W naszej osadzie nie ma może ludzi zamożnych, ale nikt nie patrzy zazdrośnie na czyjąś własność.

– Zatrzymuję na papierze to, co ulotne. Wiozę z sobą zwoje z malunkami. Ja... – Mężczyzna zawahał się. – Uwieczniam dla szoguna i potomnych różne osobliwości. Podróżuję po całym kraju w poszukiwaniu tematów.

– Jesteś artystą – powiedziała z podziwem.

– Przede wszystkim rzemieślnikiem.

– Czy mogłabym zobaczyć te malunki?

– Nie, Kikuchi! – odparł stanowczo. – Wolalbym, byś nigdy nie musiała oglądać podobnych rzeczy.

Za ścianą dało się słyszeć jakieś hałasy. Dwa głosy rozbrzmiały w sąsiedniej izbie. To Akita i stara Mikumo powracali znad studni. Starucha poganiała chłopca. Ten uwijał się pod jej rozkazami, bojąc sprzeciwić się ślepej, demonicznej gospodyni. Razem zaczęli przygotowywać śniadanie.

Kikuchi wstała, prężąc się. Szybko założyła szatę. Pan Mitsunobu także zaczął zbierać się z posłania, wciąż oczarowany nocną przygodą. Po chwili weszli do głównej części izby i dołączyli do Akity i Mikumo.

– Witajcie – powiedziała starszka z pewną oschłością, gdy kochankowie uklękli przy niewysokim stole i zabrali się do śniadania, na które składał się gotowany ryż, ryby i warzywa.

– Wyborne – komplementował Mitsunobu, wypijając z miseczki gorący wywar.

– Śniadanie smakuje lepiej, gdy noc okupiona jest wielkim wysiłkiem – rzekła z pewną kpinią Mikumo – i przysyła do nas słodkie sny na jawie.

Kikuchi spuściła wzrok w zawstydzeniu, co nie uszło uwadze mistrza. Akita zaś uśmiechnął się, ale mocny kuksaniec wymierzony przez Mitsunobu starł wesołość z jego twarzy.

– Dziękuję, droga Mikumo, za gościnę – rzekł gość z uśmiechem. – W tym niespokojnym czasie i miejscu, które ma swoje mroczne sekrety, bezpieczny kątek jest czymś bezcennym.

– Nie ma za co. Czyś jednak nie powinien dziękować przede wszystkim Kikuchi?

– Babciu... – Dziewczyna spłoszyła.

– Odwdzięczę się całej wiosce – odparł pan Mitsunobu, zabierają się za ryż. – Pora przygotować się na przybycie potwora. Zjawi się niechybnie, taki ma zwyczaj.

– Czy będziesz chciał go zadźgać? Pochwycić w pułapkę? – zapytała starucha, oblizując palce.

– W pewnym sensie... – Na twarzy Tosa pojawił się zagadkowy uśmiech. – Pochwycić w pułapkę... To dobre określenie! Potrzebujemy wypełnionej sake kadzi i latarni. Kolejna noc musi stać się jasna niczym dzień!

– Czy potwór złęknie się światła? – prychnęła Mikumo.

– Nie wiem, dobra kobieto. Nie sądzę, by bał się czegokolwiek. Ale żeby go pokonać, musicie go najpierw zobaczyć. I to w całej okazałości!

Stara Mikumo szepnęła tylko złośliwie pod nosem:

– Jednej nocy ogląda dziewczkę, drugiej chce widzieć potwora...

\*\*\*

– Wszyscy ciężko pracują – powiedział Akita, spoglądając na mistrza, który siedząc na progu domu, szkicował coś.

– Dlaczego zatem nie bierzesz z nich przykładu? – zapytał pan Mitsunobu.

– Zmęczyłem się – odparł chłopak z rozbijającą szczerością

– W to nie wątpię. Wbrew pozorom obijanie się wyzuwa nas z sił bardziej niż ciężka praca. W dodatku coraz trudniej przeciwstawić się nieróbstwu, gdy leniuchowanie staje się naszą codziennością. – Mistrz spojrzał gniewnie na sługę. – Rusz się zatem i zobacz, jak tam chłopcy sobie radzą! I... – Tosa zastanowił się. – Przywołaj do mnie Kikuchi. Chciałem zamienić z nią słowo.

Akita skłonił się nisko z chytrym uśmiechem wymalowanym na szczupłej twarzy, a potem pobiegł za chałupę. Pan Mitsunobu przez moment rozkoszował się ciszą. Przed oczami miał wciąż obraz młodej Kikuchi. Chociaż starał się skupić na robocie, szukał wciąż wzrokiem dziewczyny. Ta, w przeciwieństwie do krnąbrnego Akity, pracowała ciężko od rana, nie trwoniąc czasu na głupstwa. Ale chociaż umęczona była codziennym znojem, choć przyszło jej żyć w biedzie, wciąż wydawała się nieskazona popolitością, zdawało się, że nosi w sobie płomyk lepszego świata. Tosa chciał zobaczyć ją zanim na świat spadnie zła noc. Kto wie, co przyniesie mrok?

Zbierał od rana opowieści wieśniaków. Żadna spośród nich nie była warta zbyt wiele, bo gdy strach mąci zmysły, ludzie skłonni są zmieniać prawdziwy obraz rzeczy.

Potwór miał zatem w niektórych relacjach trzy głowy o różnych kształtach, w innych dwie, ale identyczne, jakby należące do bliźniaków, choć pewnej młodej panie zdawało się, że poczwara przypomina raczej kłębowisko węży i o żadnej głowie nie może być mowy. Ktoś widział, jak potwór wdrapuje się na drzewo, wcale nie gorzej od małpy, kto inny zapewniał, że człapie po ziemi bez gracji, więc pewnie nie byłby w stanie wleźć nawet na najniższą gałąź.

Wieśniacy zgadzali się tylko co do tego, że potwór był „straszny”, a to przecież nie znaczyło nic, a właściwie mogło znaczyć wszystko. Ale dla pana Mitsunobu nie tylko opisy były ważne. Sam miał już jakieś wyobrażenie o bestii – widział jej tajemniczy obrys w mrokach nocy, przyjrzał się rozszarpanej przez ostre zęby padlinie, słyszał wołania potwora, ni to ludzkie, ni zwierzęce. Teraz obserwował twarze wieśniaków, przysłuchiwał się trwodze głosów, szukał ziarna strachu w rozbieganych spojrzeniach. Chciał jak najlepiej oddać przerażenie tych ludzi na malowidle, które szykował.

Jedno tylko mu przeszkadzało. Jasny obraz przed oczami. Za jego sprawą czuł się pijany, choć nie zanurzył ust w czarce z sake. Pan Mitsunobu oderwał się od pracy, gdy stanęła przy nim Kikuchi.

– Chciałeś mnie widzieć, panie... Akita mówił, że mnie wzywasz.

Tosa Mitsunobu uniósł wzrok znad karty papieru. Choć zjawiała się przed nim w potarganym stroju, z umorusaną twarzą i podrapanymi dłońmi, dziewczyna wydała mu się częścią innego, lepszego świata. Sam do siebie poczuł odrazę. Stary, niezdolny do fizycznej pracy. Nie mógł pomóc biednej Kikuchi.

– Usiądź koło mnie – powiedział.

– Jeszcze tyle pracy przed nami...

– Wszystko, co należało przygotować, już zrobione – powiedział Tosa. – Teraz zostało nam już tylko czekać.

– Ale...

– Usiądź koło mnie, Kikuchi. Chciałem spojrzeć na twoją twarz, gdy słońce zacznie chylić się ku zachodowi i oświetli ją ostatnimi promieniami. Proszę, to ważne... Przed nadejściem demona trzeba pomyśleć o tym i doświadczyć tego, co w świecie dobre. Siądź koło mnie. Opowiem ci o dalekich krajach, o zamkach, górach pokrytych śniegiem.

Dziewczyna przysiadła na progu, tuż obok urzędnika. Jej dłoń musnęła dłoń pana Mitsunobu. Ten poczuł wzbierającą w nim żądzę.

– Czy koszmar skończy się tej nocy? – zapytała cicho.



– Obiecuję, Kikuchi – odparł pan Mitsunobu, starając się ukryć najlepiej jak tylko potrafił, że rzuca słowa na wiatr.

– Nie daj się zwieść jego słówkom. – Z chaty dobiegł charkotliwy głos oszalałej Mikume. – Okłamuje tak wszystkie naiwne dziewczęta. Obiecuje im skarby z bajek... Wiem, też byłam kiedyś młoda i moja uroda przyciągała spojrzenia mężczyzn. Też bywałam naiwna... A on już kroczy ku nam. Już słyszę jego pochrząkiwania, już czuję jego dech... Szczęśliwa jestem, bo nigdy go nie zobaczę! Wyłupcie sobie oczy... Wyłupcie, póki czas! Rodzi się właśnie tam, gdzie gęstnieją cienie...

Na szczęście Mikume szybko zamilkła. Strwożona Kikuchi wtuliła się w ramię pana Mitsunobu. Ten poczuł, jak niewiele potrzeba, by życie znów było mu miłe.

\*\*\*

Mgła zaczęła pełzać pomiędzy ryżowymi poletkami, a gwar rozmów ucichł równie gwałtownie, co blask odchodzącego za wzgórze słońca. Okolicę przykrył biały, żalobny tren snujących się przy ziemi oparów. Cisza była taka, że aż dzwoniło w uszach. Ale pośród pól, gdzieś na przecięciu dróg, rozbrzmiały wkrótce dźwięki mlaskania i skrzek nienawistnych chichotów.

Oto nastał czas dziwów i strachów. Zaczajeni w cieniu krzewów i schowani za groblami wieśniacy z przerażeniem czekali na to, co ma się stać. Zamaskowani i obłożeni listowiem, nie śmieli się odezwać, a nawet odetchnąć głębiej, wierząc, że to być może uczyni ich niewidzialnymi. Ustawili się pod wiatr, by kryjąca się w mrokach nocy poczwara nie zwietrzyła ich zapachu.

Wystraszona Kikuchi chowała się za ramieniem pana Mitsunobu. Uczepiła się dłoni przybysza. Tosa czuł chłód jej palców i lekkie drzenie. Uśmiechnął się jednak. Ten drobny gest dawał mu nową nadzieję.

Czy coś się stało ze światem? Tosa czuł w sobie światłość, rozpoznawał głosy, które umilkły dawno temu, wszystko za sprawą życzliwego uśmiechu.

– Potwór się zbliża – szepnęła Kikuchi.

– Nadszedł czas próby – odparł pan Mitsunobu. Tylko on zdawał się zachowywać spokój. Wpatrzony w bezkres szarzejących poletek, wyczekiwał tego, co miało się stać z pewnym podnieceniem.

Wielka kadź stała na rozstaju dróg. Unosił się z niej upojny zapach sake, który miał zwabić potwora.

Najpierw do uszu wyczekujących w ciemnościach dobiegły niepokojące dźwięki – ludzka mowa sprzężona ze szczekaniem i przeraźliwym chichotem. Słysząc było też czyjeś kroki; szerokie, płaskie stopy poczwary grzęzły w błocie. Każdy krok okupiony był sapaniem i gulgotem, dobiegającym niby z głębokiej, zamulonej studni. W końcu dało się dostrzec zarys pokracczej postaci. Wzrostem nie była większa od niewysokiego człowieka, ale garbiła się znacznie i kołysała miarowo, z pewną niezdarnością, być może pozorną. Zdawało się też, że kilka par odnóży wyłania się z oparów i porusza w falistych ruchach. W mrokach zajaśniała czerwień kilkunastu ślepi, porozrzucanych na głowie i tułowiu bez ładu.

Na moment głośny śmiech zadźwięczał wszystkim w uszach. A kto jeszcze przed chwilą oszukiwał się, że jest w stanie trzymać swój strach w ryzach, teraz szczękał zębami i z trudem powstrzymywał się przed ucieczką. Zwabiony aromatycznym zapachem sake potwór zaczął chłeptać kuszącą zawartość kadzi. Pił powoli, ostrożnie, podnosząc znad wielkiego naczynia ciemny zarys ła.

– Pułapka... – Kikuchi odezwała się cicho. – Pułapka nie zadziałała.

– Jest sprytny – szepnął Tosa. – Nie dał się zwieść i nie wpadł do zamaskowanego dołu. Obszedł każdą z wszystkich stron, badając teren.

– Co teraz?

– Trudno. Jeśli nie można go pochwycić, trzeba go chociaż zobaczyć.

Pan Mitsunobu gwizdnął przeciągle, a wtedy w różnych punktach zajaśniały ogniki. Potwór stęknął jakby ze zdziwieniem, ale zanim zdążył cokolwiek zrozumieć – zakładając oczywiście, że jakakolwiek jasna myśl prowadziła go przez świat – blask zalał skraj wsi i rozstaje dróg.

Światła żagwi wyławiały z ciemności kształty i barwy, dzięki czemu można było teraz dostrzec karykaturalną postać w całej okazałości, wyrwaną jakby żywcem z przeklętych krain koszmarów. Oślizgły korpus straszdyła pokrywały brodawki i kępki sierści. Jego odnóża podobne były do żabich i zakończone płetwami, ale o szponiastych wypustkach, mogących rozdzierać mięso. Inne odnóża, wyrastając z pleców, wiły się niczym węzowe ciała. Potwór miał nieforemną głowę, ale i załączki trzech innych, jakby niewykształcone do końca, przypominające wielkie guzy, choć o rozwierających się częściowo, zbrojnych w rzędy ostrych, rybich zębów paszczach. Sam zaś wydawał ochryple odgłosy psią mordą, w której znać było też ludzkie rysy.

Pan Mitsunobu patrzył z uwagą, próbując zapamiętać każdy szczegół. Wielu chłopom wystarczył jednak tylko jeden rzut oka, by zerwać się do ucieczki. Ci bardziej

odważni wymachiwali teraz żagwiami i naostrzonymi kijami, próbują trzymać intruza na dystans.

Rozdrażniony tym nieoczekiwanym rwetesem i atakiem światłości potwór zaczął się chwiać nerwowo. Z pewnością upita sake także zrobiła swoje. Łażł niezdarnie, z pozoru wolno, ale gdy poczuł zagrożenie, to zaatakował niezwykle zręcznie. W mgnieniu oka dopadł do jednego z chłopów i schwycił paszczą nogę nieszczęśnika, a potem wydarł z niej kęs mięsa. Krzyk ofiary był straszliwy. Najodważniejszy z mężczyzn, być może ktoś z rodziny ranionego, dopadł do poczwary i dźgnął zaostrzonym kijem, nie robiąc jej jednak większej szkody, lekko tylko raniąc. Mimo to potwór odpuścił, najwyraźniej zaskoczony tym nagłym przyływem ludzkiej odwagi, i uskoczył w bok, a potem wycofał się, zawodząc głucho, jakby zlorzecząc na tak niegościnnie przyjęcie.

– Ucieka! – powiedziała Kikuchi. – Trzeba go gonić! Zadźgać! Słyszycie?!

Chłopi stali jednak jak zamurowani, machając wciąż zaostrzonymi drzewcami.

– Musisz im rozkazać, by biegli za nim... – powiedziała Kikuchi ze złością. – Słyszysz, panie?

– Nie mogę im nic rozkazać – odparł Tosa. – Akita! – zawołał rozglądając się wokół. – Gdzie ten chłopak? Pewnie uciekł... – Po chwili mężczyzna dostrzegł wyłaniającego się za krzewu sługę. – Biegnij do chaty i naszykuj wszystko!

Pan Mitsunobu zbliżył się do rannego i zaczął czegoś szukać. Po chwili złapał za naostrzony drzewiec, którym jeden z chłopów ranił bestię. Podniósł do oczu prymitywną broń i uśmiechnął się. Zaraz potem ruszył spieszenie w kierunku domostw.

– Dokąd idziesz, panie? – zapytała dziewczyna, ruszając za przybyszem, który zanurkował w cienie pobliskich chat.

– Wracam do gospody.

– I tak to ma się skończyć?

– Mam swoją robotę. Nie mogę jej teraz zaniedbać... Zwłaszcza teraz!

Zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę surowo. Przez moment Kikuchi złękła się przybysza. W końcu był szlachetnie urodzonym urzędnikiem. A ona? Czy znaczyła cokolwiek? Gdy głaskał jej skórę nocą, gdy szeptał do ucha zakłęcia, zdawało jej się, że jest kimś więcej. Teraz jednak miała wątpliwości.

– Uspokój się – powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Trzeba ratować tego rannego nieszczęśnika... Idź, pomóż innym kobietom. Jesteś najodważniejsza z nich wszystkich.

– A co z potworem? Co z nim?!

– Nie jestem bohaterem z legend, Kikuchi. Nie wojuję z potworami. Nie potrafię nawet zastawić skutecznej pułapki, choć nie raz widziałem, jak robili to inni. Miałem nadzieję, że się uda. Wybacz...

– Więc po co to wszystko? – zawołała ze złością.

– By dać wam odwagę.

– Odwagę? Obiecałeś nam pomóc, panie.

– I taki mam zamiar. Pomogę – rzekł i objął dziewczynę, która wtuliła głowę w jego ramię. – Pomogę tak, jak potrafię najlepiej. Tak, jak potrafi artysta.

Kikuchi nie przestawała szlochać, ale pobiegła w kierunku, skąd dobiegał krzyk rannego. Pan Mitsunobu z kolei pozostawił za sobą zgiełk i wszedł do domostwa, witany przez szyderczy śmiech Mikumo.

Ale pośród rwetesu dało się też krzyczeć wiwatujące głosy. Po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz z własnym lękiem. Zmawiali się teraz, by ruszyć w mrok na polowanie, choć ochota szybko ulotniła się, gdy wicher przyniósł nieludzki chichot poczwary.

\*\*\*

Pan Mitsunobu narzekał z początku, że światło w izbie nie jest zbyt dobre, a rozgardiasz panujący na zewnątrz nieco go rozprasza. Ale kiedy zasiadł już do stołu, kiedy zajął się swą kunsztowną robotą, odciał się do świata na dobre. Teraz tworzył. Wymagało to precyzji i osiągnięcia wewnętrznej harmonii.

Akita przyświecał mistrzowi latarnią, a Tosa ze spokojem sięgał po pędzel, nurzając go w barwnikach. Skupiony nad papierem, odprawiał swoją magię. Jego twarz przypominała zastygłą w surowym grymasem maskę, którą jednak od czasu do czasu rozplomieniał uśmiech zadowolenia.

– Dodałeś do barwników kroplę krwi potwora? – zapytał mistrz.

– Tak, panie – przytaknął chłopiec.

– Dobrze. Może coś z tego będzie.

Pan Mitsunobu pracował nieprzerwanie, czasem tylko spoglądał na milczącą Kikuchi, której postać wyłaniała się co chwila zza parawanu. Smutek wymalowany na twarzy dziewczyny bardzo go przygnębiał. Siedziała w kącie, szykując spóźnioną wieczerzę, choć nikt nie miał apetytu, może poza Akitą, który był wiecznie głodny. Czy dziewczyna rozumiała z tego coś? Chyba nie. Targały nią pewnie sprzeczne uczucia.

W którymś momencie, gdy było już dawno po północy, pan Mitsunobu odłożył pędzel i wstał z klęczek.

– Gotowe – powiedział, skinąwszy głową na Akitę. Chłopiec pomógł wstać mistrzowi. Tosa był wykończony. – Odrobina sake z pewnością mi pomoże – rzekł wchodząc do głównej części izby.

Kikuchi nie spała jeszcze. Siedziała za stołem czekając wciąż z posiłkiem. Nie podniosła jednak wzroku, gdy mistrz pojawił się przed nią. Wskazała tylko na stół i zaprosiła do wieczerzy, jakby była po prostu służką.

Mikumoto wyłoniła się z cienia, wyszczerzyła przegniłe zęby i zawołała, uśmiechając się.

– Kim jesteś, panie Mitsunobu? Jakie sekrety skrywasz? Wyczuwam w powietrzu woń barwników... Co namalowałaś? Co cię tak zajęło tej nocy, podczas której zwabione zapachem sake zło podeszło pod domy? Krew, krew! – Starucha zaczęła wymachiwać rękami. – Shinji krwawi! Bestia rozdarła zębami jego nogę... Nic już z niego nie będzie! Skona do świtu... A jak nie umrze, to oszaleje! Nie wiem co gorsze! Zgubieni! Jesteśmy zgubieni!

– Tak, Mikumoto – przyznał pan Mitsunobu. – Zapewne masz rację. Wszyscy jesteśmy zgubieni.

– Mam nadzieję, że wieczerza będzie ci smakować, panie – powiedziała dziewczyna, wskazując na stojące na stole czarki. Tosa zmartwił się, bo nie usłyszał w jej głosie ciepła.

– Dziękuję, Kikuchi – powiedział, ale gdy spojrzał raz jeszcze na smutne oblicze dziewczyny, jakaś iskrę błysnęła w jego oku. – Dziękuję ci, ale jeszcze nie skończyłem. – Mitsunobu zerwał się z miejsca. – Przed świtem muszę jeszcze coś namalować... Akita! Ocknij się! Zjesz za chwilę... Co za niesforny i leniwi chłopak! Musimy jeszcze coś zrobić, a jutro... – Pan Mitsunobu zawahał się. – Jutro wyjeżdżamy, Kikuchi.

Dziewczyna nie odwróciła się. Wydawało się Tosie, że te słowa są jej obojętne.

\*\*\*

I znowu nastał świt, choć byli i tacy, którzy się go nie spodziewali. Zmęczony pan Mitsunobu spał w najlepsze, a chłopiec imieniem Akita czuwał u jego boku. Stara Mikumoto mamrotała coś przez sen, wadząc się z duchami, najwyraźniej nieprzyjaznymi, bo nie było między nimi żadnej zgody.

Tylko Kikuchi nie mogła zmrużyć oka. Przemykała teraz po izbie stając delikatnie i nie czyniąc najmniejszego hałasu. Zatrzymała się tuż przy posłaniu Tosi i z pewnym lękiem spojrzała na rozwinięty częściowo zwój.

Przez moment stała w zdumieniu. Zdawało jej się, że sceny, które rozegrały się wieczorową porą na nowo wciągają ją w świat zgrozy. Poczwała wyłaniała się z mroku, a jej groteskowy wygląd przeczył rozsądkowi. Chociaż nie był prawdziwy, choć więziła go wąska przestrzeń papieru pomiędzy jedną drewnianą rolką a drugą, Kikuchi aż podskoczyła, czując podpełzającą do gardła grozę.

Dojrzała na papierze tłoczących się ludzi i płamiącą trawę krew. Mistrz Mitsunobu oddał cały dramatyzm tej sceny, w której zło przybywało do sielskiej krainy, by wyrwać ją z błędnego letargu i pokazać naiwnym przedsiomki piekiel.

Wbrew dojmującemu lękowi dziewczyna rozwijała dalej zwój, by wejrzeć w oblicze czającej się pośród nieznanych jej krain grozy. Kolejne potwory wily się pośród pałaców, sadów, domów zwykłych ludzi. Przybierały nienaturalne kształty, groteskowe, przeczące naturze, śmieszne być może, gdyby przynieszone przez nich plugastwa nie miały rzeczywistych następstw. Poruszały w opętaniczym tańcu, który miał zesłać szaleństwo na niewinnych. Wszystko na tych malowidłach było jak żywe.

Kikuchi krzyknęła, gdy ktoś położył na jej ramieniu dłoń. Była tak zaaferowana przedziwnymi malunkami, że nie usłyszała jak pan Mitsunobu wstaje z posłania.

– Tego właśnie nie chciałem ci pokazywać – powiedział Tosa surowym głosem.

– Ja... Przepraszam.

– To nie twoja wina – rzekł najspokojniej jak potrafił. – Ludzie są ciekawi. To część ich natury. – Mitsunobu wziął od dziewczyny zwój i odłożył na stolik. – Tym właśnie się zajmuję, Kikuchi. Wędruję po kraju i tropię podobne poczwary, by uwiecznić je z rozkazu szoguna.

– Czy one wszystkie istnieją?

– Teraz już tylko w opowieściach. Gdy nazwiemy swe lęki, ich źródło najczęściej odchodzi do świata snów.

– A zatem nie trafiłeś do naszej wsi przypadkiem?

– Nie, Kikuchi – powiedział szczerze. – Słyszałem sporo plotek na szlaku. Gdy pytałem o wieś w dolinie, wielu doradzało mi, bym wybrał inny szlak. Ludzie wspominali z lękiem, że jakaś groza dręczy mieszkańców. Wiedziałem, że mogę napotkać tu ciekawy temat do malowania.

– I liczyło się tylko to? Po to narażałeś, panie, życie chłopów? Od początku chodziło tylko o to, by zobaczyć *Yokai*?

– Nie, Kikuchi. Chciałem tchnąć w was ducha.

– Shinji może nie przeżyć.

– Wiem – odparł z troską. – Ale wczoraj przełamaliście swój strach.

– Wyjedziesz, panie? – zapytała ze złością, ale i jakimś żalem.

– Muszę. Szogun nie będzie na mnie czekał wiecznie, a po drodze zmarnowałem już wiele czasu.

Zmarnowałem zbyt wiele czasu. – Te słowa nie zabrzmiały dobrze. Mitsunobu był zły na siebie, że je wypowiedział.

– A co z potworem? – zapytała dziewczyna.

– To już zależy od was, Kikuchi – odparł Tosa, odwracając wzrok. – Zobaczyliście go. Zraniliście. Nie baliście się mu przeciwstawić. Nie jest już tylko koszmarem. On żywi się też waszym strachem. Co będzie, jak go nie zakosztuje? A ja... – Pan Mitsunobu zawahał się, a potem schwycił dłoń dziewczyny. – Cóż, tamtej nocy śniłem, choć przecież nie brodziłem wśród nierzeczywistych widziadeł. – Mistrz dostrzegł kątem oka, że Akita przeciąga się na posłaniu, więc odwrócił się w kierunku chłopca. – Nareszcie, wałkoniu! Pora byś się pospieszył. Musimy zjeść coś przed wyjazdem...

Kikuchi raz jeszcze spojrzała na widniejącą na zwoju poczware, która szczyrzyła zęby i łyskała czerwieniejącymi, trudnymi do zliczenia ślepiami.

\*\*\*

Popołudniem słyhać było w wiosce nawoływania, które biegły falą pośród domostw, mobilizując wszystkich do działania. Mężczyźni szykowali się, chcieli tej nocy zapolować na nawiedzającą ich nocami bestię. Wiedzieli już, że można ją zranić.

Pan Mitsunobu odszedł, zniknął gdzieś pośród zasnuwających ryżowe polećka mgieł. Wziął ze sobą sługę imieniem Akita, zapach dalekich krain i skrzynkę, w której więził straszliwe poczwary. Nie zostawił po sobie zgoła nic, poza wspomnieniem. Może nigdy nie istniał?

Dziewczyna imieniem Kikuchi spoglądała na kawałek żółtawego papieru z pewnym zdumieniem.

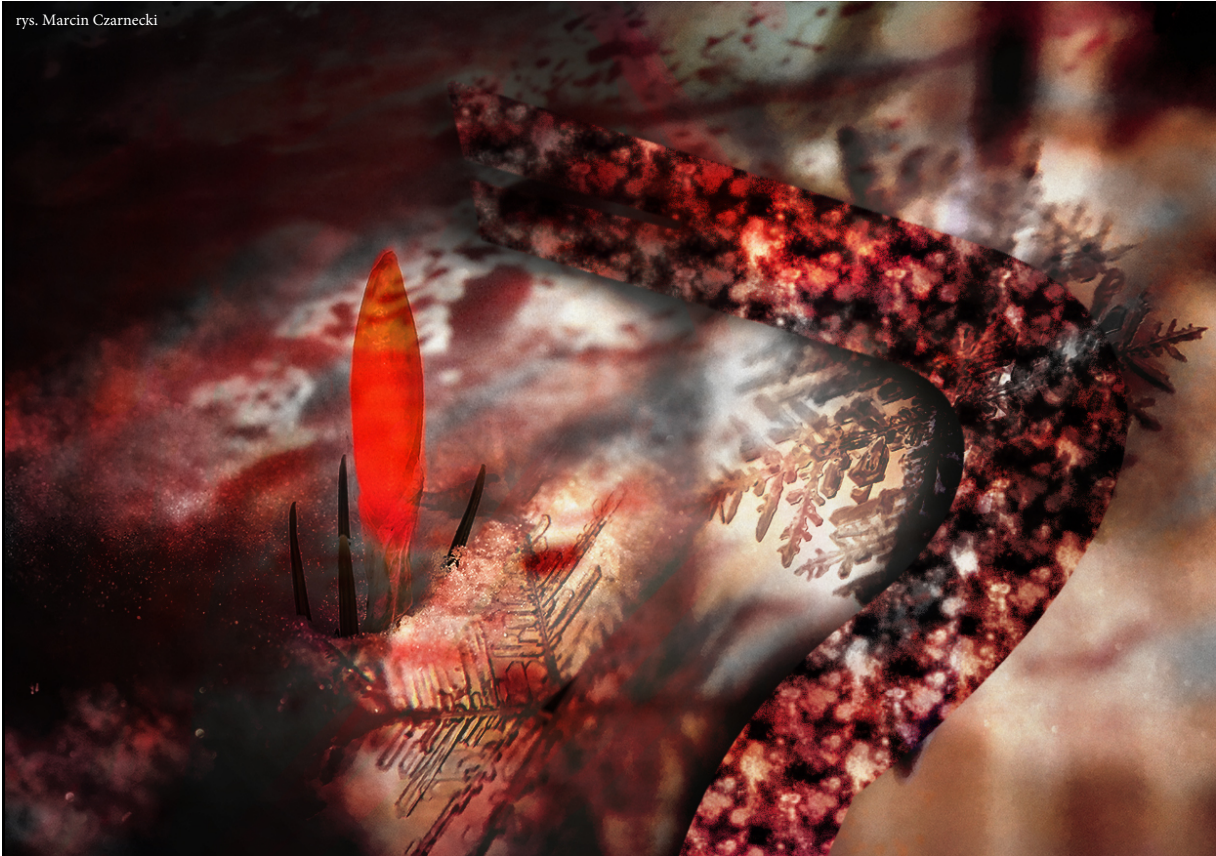
– Czy było warto, wnuczko? – stara Mikumo krzyczała z kąta izby. – Poszedł... Poszedł gdzieś daleko! Wielki pan... Nie powiem, fiu, fiu! Wielki pan! Rzadko ktoś taki nas odwiedza. Czy wioskowa dziewczucha myślała, że znaczny urzędnik będzie chciał patrzeć na nią dłużej? Ha, ha... Czy myślałaś, Kikuchi, że jesteś dla niego czymś więcej niż zabaweczką? Nie, nie... A on tam ma w wielkim świecie szykowniejsze damy, które nie śmierdzą ciężką pracą, które nie żyją wśród błota...

– Czy zamkniesz się w końcu, starucho?! – zawołała Kikuchi, a Mikumo umilkła, nie spodziewając się, że jej wnuczka potrafi odpyskować. Siwowłosa mamrotała coś pod nosem przez chwilę, ale szybko zaczęła na powrót chichotać, na swój sposób szczęśliwa pośród demonicznych widziadeł, które z czasem dawały się oswoić.

Kikuchi spojrzała raz jeszcze na pozostawiony jej przez Tosę malunek. Widniała na nim młoda dziewczyna, strojna w bogate kimono i spoglądająca w dal. Otaczały ją płatki kwitnącej wiśni i ogród pełen zieleni. Żegnała najwyraźniej z żalem starszego mężczyznę, który odchodził w dal, ale z odwróconą głową, jakby nie potrafił oderwać wzroku od panny. Choć jego włosy przesiały pasma siwizny, choć był już nieco zgarbiony, to w oczach wędrowca widniał błysk – skrzyła się w nich iskra utraconej młodości. Mężczyzna szedł ku czerni nocy, z której wyłaniały się straszliwe paszcze i zbrojne w szpony dłonie.

Słońce powoli zaczęło zachodzić. Odłożywszy pachnący jeszcze tuszem skrawek papieru, Kikuchi wyszła bez lęku za próg domostwa, gotowa już na to, co mogła przynieść noc, nawet ta najczarniejsza.





# MAŁŻEŃSTWO

Ludwik Cyfer

Jeśli nie przestaniesz ujadać, zatkam ci ten niewyparzony ryj, pomyślał T., kiedy jego żona robiła w samochodzie awanturę, gestykulując przy tym irytująco.

– Pytałam się dwa razy, czy wszystko przygotowałeś – mówiła, marszcząc czoło, co znacznie ją postarzało.

– I co w związku z tym? Mam się powiesić, bo zapomniałem zatankować samochód?  
– odpowiedział, angażując do wypowiedzi również ręce, przez co całkiem nieświadomie naśladował A.

– Spóźnimy się do rodziców. Matka prosiła mnie wczoraj kilka razy, żebyśmy byli na czas. Będzie cała rodzina. Już w zeszłym roku najadła się za nas wstydu.

– No nie. Chcesz powiedzieć, że dziura w drodze to była moja wina? – zapytał oburzony, włączając wycieraczki, gdy spostrzegł coraz grubsze płatki śniegu na szybie.

– Chcę powiedzieć, że tylko my spóźniamy się na urodziny ojca, które są aż raz do roku.

Mam gdzieś twojego ojca i jego rodzinę, pomyślał i zrobiło mu się dziwnie przyjemnie, czego dowodem był lekki uśmiech na twarzy.

– Według mapy zaraz powinniśmy dojechać do stacji benzynowej – powiedział T., mocniej zaciskając ręce na kierownicy.

– A jeśli nie zdążymy dojechać? – zapytała z pretensją A.

Wtedy wysiadę z auta i cię zaknebluję.

– A co, jeśli zdążymy? – odpowiedział, naśladując jej piskliwi głos. A. obrazila się i mówiąc coś niewyraźnie pod nosem, odwróciła twarz w kierunku szyby, patrząc na pochmurne niebo, z którego spadały białe pociski.

Jechali w milczeniu, co całkowicie zadowalało T. Chciał tylko zatankować auto, dotrzeć na urodziny i wrócić do domu jak najszybciej się da. Co jakiś czas zerkał na swoją żonę, czekając tylko, aż znów odezwie się z kolejną pretensją. Poniekąd sam ją sprowokował, czego później bardzo żałował. Czemu to zrobił? Sam do końca nie wiedział. Może dlatego, że nie potrafił się na nią gniewać zbyt długo. W końcu była jego żoną i mimo czterdziestki na karku wciąż mogła pochwalić się figurą nastolatki, pomijając lekko obwisłe pod naporem czasu piersi.

– Powiesz coś, czy będziesz się dąsać całą drogę do twoich rodziców? – zapytał, wyciągając w jej kierunku rękę, którą jeszcze przed chwilą zmieniał bieg. Kobieta, wykazując się refleksem, szybko odchyliła się, dając do zrozumienia, iż nie ma ochoty na żadne pieszczoty.

– Lepiej patrz na drogę, bo jeszcze kogoś potrącisz.

– Widzę, że wrócił nam humor – zdobył się na niezbyt oryginalną ironię, jeszcze raz próbując dotknąć jej ramienia.

– Minęło ponad piętnaście minut i wciąż nie ma żadnej stacji, a my jedziemy na rezerwie.

T. nie odpowiedział, tylko patrzył przed siebie, zastanawiając się, co robi, kiedy rzeczywiście skończy im się paliwo na środku opustoszałej drogi. Sięgnął do skrytki, z której wyjął do połowy opróżnioną butelkę coca-coli i upił małego łyka. Napój miał gówniany, wygazowany smak. Na ustach pozostawił mu nieprzyjemny kwasek, którego mógł pozbyć się tylko za pomocą wody mineralnej, którą jak na złość chwilę temu wypila A.

Trasa była prosta, ale wymagała dużego skupienia, gdyż padający śnieg, ograniczał mocno widoczność, pomimo szalejących po szybie wycieraczek. T. patrzył przed siebie i zastanawiał się nad mijającym rokiem, który miał być dla niego przełomowy. Ukończył swoją pierwszą powieść i powysyłał maszynopis do wszystkich możliwych wydawnictw. Odpowiedzi albo nie przychodziły, albo – jeśli już dostąpił tego zaszczytu – zwykle zawierały gorzką treść i żałował, że w ogóle otwierał koperty. Dotarło do niego, że musi pogodzić się z faktem, iż goni za czymś, co jest dla niego nieosiągalne. Nie było to dla niego łatwe, szczególnie gdy przed oczami widział rodziców A., którzy zawsze w obecności innych członków rodziny naśmiewali się z jego ambicji pisarskich. Ich zdaniem powinien skoncentrować się na znalezieniu lepszej pracy, nie zaś na ślęczeniu codziennie przed monitorem komputera i wystukiwaniu na klawiaturze durnych historii.

Czuł się przegrany. Niczego w życiu nie osiągnął i osiągnąć nawet już nie chciał. Ludzie dzielą się na tych, którzy rodzą się, by zwyciężać, i na tych, których przeznaczeniem jest porażka. T. zaliczał siebie do tej drugiej grupy. Ta myśl sprawiła, że w jednej chwili odechciało mu się wszystkiego. Na twarzy zrobił się zielony i poczuł, jak mdli go w żołądku. Włączył migacz i skierował samochód na pobocze. A. wyglądała, jakby ktoś wyrwał ją z głębokiego snu.

– Co robisz?

– Muszę na chwilę wy.... – Nie zdążył dokończyć myśli, tylko otworzył gwałtownie drzwi i popędził zgięty wpół do najbliższego drzewa. Oparł się o nie jedną ręką i zaczął wypływać z siebie resztki porannego śniadania. Jego twarz zmieniła teraz kolor z zielonego na czerwony. Kiedy skończył wymiotować, stał jeszcze dłuższą chwilę, łapiąc gwałtownie powietrze. Wyjął z kieszeni chustkę i przetarł nią usta, po czym splunął na ziemię z obrzydzeniem.

Wracając do samochodu, spojrzął na A., która wyglądała na zszokowaną. Przez chwilę przypominała manekina z muzeum figur woskowych. Po chwili wróciła jednak do swej pierwotnej postaci.

– A tobie co się stało? Znowu wczoraj piłeś u braciszka?

T. opadł na fotel, otrzepał kryształki lodu z kurtki i westchnął ciężko. Z czoła spływały mu drobne krople potu, łącząc się na czubku nosa.

– Dalej nie pojedziemy – powiedział beznamiętnym głosem.

– Zwariowałeś?

– Zobacz na tamten napis – powiedział, wskazując na tablicę, która stała tuż przed wjazdem na most. Widniał na niej nieco rozmazany napis informujący o tymczasowym zamknięciu mostu.

– Wymyśl coś.

– Ja? To przecież ty kazałaś mi jechać tą trasą. Sama teraz coś wykombinuj.

A. podniosła głos, znów mówiąc coś o matce i spóźnieniu się. Później nastąpiła długa chwila milczenia, którą przerwała, wpadając na pomysł.

– Tam jest jakiś dom. Pójdź i się zapytaj. Może można stąd jakoś inaczej przejechać.

– Sama idź. Nie mam zamiaru odmrażać sobie tyłka.

– A jeśli mieszka tam jakiś gwałcieciel? – zapytała A., pierwszy raz tego dnia uśmiechając się. Spojrzała na T., udając miłą żonę.

– Dobra, ale jak się okaże, że można przejechać tylko przez most, wracamy do domu. Do naszego domu.

Kątem oka spostrzegł malutką, drewnianą chatę znajdującą się w oddali, za polem przykrytym grubą warstwą śniegu. Wyglądała bardzo zwyczajnie, nie wyróżniając się niczym szczególnym. Może tylko tym, iż stała samotnie w samym środku zadupia, które wydawało się być wymarłe.

T. zamknął drzwi. Obszedł samochód z drugiej strony i zapukał w szybę, za którą siedziała A.

– Poczekaj na mnie chwilę i nie ruszaj się z samochodu.

– Tylko się pośpiesz.

Podnosił ciężko nogi, jak skazaniec ciągnący za sobą kulę na łańcuchu. Kiedy poczuł wyjątkowo nieprzyjemny powiew styczniowego wiatru, zapiał kurtkę pod samą szyję. Włożył ręce do kieszeni, dzięki czemu zrobiło mu się trochę cieplej. Wciąż jednak nie mógł się opędzić od chęci wypicia gorącej herbaty z wkładką, której obraz pojawiła mu się przed oczami, w czasie gdy zbliżał się już do drewnianej chaty. Stał przed mocno naruszonymi drzwiami i skrzywił się, prawie zamykając oczy, gdy do jego nozdrzy dotarł dziwny i wyjątkowo nieprzyjemny zapach. Budził najgorsze skojarzenia i spowodował, że T. odruchowo cofnął się kilka kroków. Kiedy opanował pierwszą falę obrzydzenia, ponownie podszedł do drzwi i uderzył delikatnie, by ich nie uszkodzić. W odpowiedzi usłyszał dźwięk skrzypiącej podłogi, który z każdą sekundą zdawał się przybierać na sile. Zardzewiała klamka poruszyła się gwałtownie, jak gdyby ktoś po drugiej stronie próbował ją wyrwać. Po chwili jego oczom ukazał się mały sympatyczny mężczyzna z jeszcze mniej sympatycznym wyrazem twarzy pokrytej kilkudniowym, ostrym zarostem. Długa, szara broda sięgająca

klatki piersiowej sprawiała, że przypominał świętego Mikołaja w nieco upiornej wersji. Miał na sobie biały podkoszulek przyozdobiony kilkoma czerwonymi plamami, które mogły być zarówno zupą pomidorową, jak i pozostałością po posiekanym mózgu. Wyglądał tak, że T. był skłonny przychylić się do drugiej opcji, jednak nikogo innego nie było w pobliżu.

– Przepraszam, ale utknęliśmy przez zamknięty most i nie wiemy, jak się stąd wydostać. Jest tutaj jakaś inna droga? – zapytał, patrząc na beznamiętny wyraz twarzy mężczyzny, który utkwiał wzrok na jego kurtce.

Stali przez dłuższą chwilę w milczeniu. T. pomyślał, że facet jest głuchy albo nienormalny. Na wszelki wypadek, by móc usprawiedliwić się przed A., ponowił pytanie. Nim zdążył otworzyć usta, mężczyzna wydał z siebie pierwsze dźwięki. Miał niski, całkiem sympatyczny i nie pasujący do jego wyglądu głos.

– Niestety to jedyna droga. Dzisiaj już parę osób się o to pytało. Faceci z drogówki zamknęli go kilka dni temu. Mówili, że może się zawalić pod ciężarem śniegu.

– Nie wie pan na ile? – T. zapytał odruchowo, chociaż nic go to nie obchodziło, gdyż nie miał zamiaru się tutaj pojawiać w najbliższym czasie.

– Podobno kilka dni, ale znając ich, to pewnie kilka, ale tygodni. Mi to bez różnicy. Ja i tak stąd się nie ruszam.

– To widzę, że będziemy musieli zawrócić do domu.

– A można wiedzieć, gdzie się pan wybierał z żoną?

T. uśmiechnął się i sięgnął odruchowo do kieszeni po paczkę papierosów. Zapomniał, że rzucił palenie kilka miesięcy temu. Chyba wczoraj nawet stuknęła pierwsza rocznica. Lubił puścić dymek tylko w chwilach wyjątkowego stresu lub też radości. Teraz, pierwszy raz od wielu dni miał powód do świętowania. Odwołana wizyta u teściów. To jest coś!

– Na szczęście już nigdzie. W każdym bądź razie dziękuję za pomoc.

– Żaden problem. Miło czasem porozmawiać z drugim człowiekiem.

T. cofał się już powoli, gdy nasza go ochota na zadanie jeszcze jednego pytania.

– Nie myślał pan, żeby się stąd wynieść?

– Codziennie – odparł mężczyzna, gładząc się po brodzie.

– No nic. Nie przeszkadzam już panu. Do widzenia.

T. odwrócił się plecami do faceta w brudnym podkoszulku i ruszył z powrotem do A. Szedł teraz wyjątkowo swobodnie i oddychało mu się przyjemnie, choć było dobre dwadzieścia stopni ma minusie. Stąpał po śniegu, cicho nucąc jakąś melodię z czasów swojej młodości. Nagle przestał, gdy zorientował się, że słyszy za sobą jakieś kroki. Mechanicznie odwrócił głowę. Jedyne, co zdołał zarejestrować jego mózg, to twarz mężczyzny, z którym

jeszcze chwilę temu rozmawiał. W zaciśniętej dłoni trzymał średniej wielkości łom, nieco zardzewiały i lekko naruszony, co świadczyło o częstym jego wykorzystaniu.

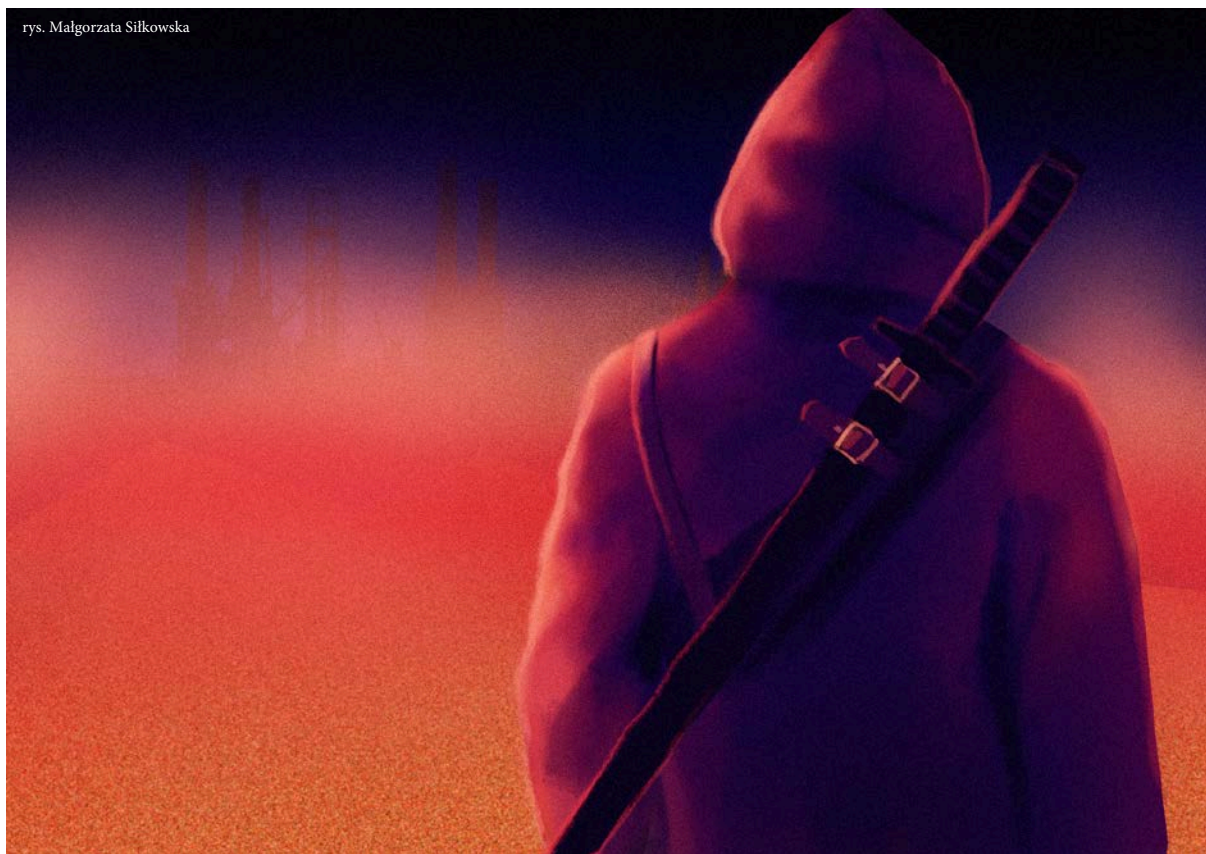
T. był na tyle zaskoczony, że nawet nie poczuł bólu, kiedy został uderzony w skroń, jedynie stróżkę krwi spływającą po policzku. Zdołał jeszcze spojrzeć na śnieg, na którym pojawiało się coraz więcej czerwonych plam, prawie identycznych jak te zdobiące podkoszulek mężczyzny. Plamy zamieniły kolor na czarny, zasłaniając mu całkowicie pole widzenia. Upadł sztywno jak manekin.

Ból rozchodzący się po całej głowie towarzyszył mu tuż po tym, jak odzyskał przytomność. Mimo iż z trudem otworzył powieki, nie był w stanie nic ujrzeć, gdyż obraz, jaki widział, był zlepkiem rozmazanych kolorów. Słyszał za to wszystko w miarę wyraźnie. Z początku dźwięki docierające do jego uszu przypominały audycję na kiepskim odbiorniku radiowym. Później wszystko wyregulowało się.

- Dziesięć tysięcy teraz, a następne dziesięć, jak zobaczę jego nekrolog w gazecie.
- Interesy z tobą to czysta przyjemność.

Próbował się poruszyć, jednak jego ciało było odrętwiałe. Usłyszał dźwięk zamykanej walizki i oddalające się kroki. Zastanawiał się przez chwilę, kto jest drugą osobą, która rozmawiała z mężczyzną w podkoszulku. Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości. To była A.





# SĄD POŚRÓD RUIN

Paweł Wójcik

Mało brakowało, pomyślał mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, stojący nad położonym na boku monokołowcem.

To, co prawie załatwiło jego monokołowiec, urodzeni po Upadku – Resecie, zwał jak zwał – już potrafili nazywać czarami. W rzeczywistości był to jakiś jakimś cudem nadal aktywny, acz rozregulowany system monitoringu ruchu drogowego. System ów prawdopodobnie wykrył pojazd prowadzony ręcznie na autostradzie, gdzie z powodu dopuszczanych prędkości maksymalnych nie wolno było tego robić, spróbował wymusić włączenie układu autonomicznego, a skoro to się nie udało, bo monokołowiec po prostu nie miał owego układu... zablokował elektronikę na amen, wyłączając tym samym silnik i uniemożliwiając dalszą jazdę. Tylko jakim, cholera, cudem, tak długo po Resecie, po tym

całym cyrku z nim związanym, cokolwiek tu mogło działać? Fakt, dzięki systemom autonaprawczym, bateriom solarnym, mogło pociągnąć całkiem długo, ale tyle?

Kazim jeszcze raz spojrział na monokołowca; restart oprogramowania, nad którego wykonaniem namęczył się jak głupi, wchodził dopiero w fazę drugą z trzech. Spojrział wzdłuż pasów splekanego asfaltu niknących w oddali. Step. Spustynniały to spustynniały, z grzejącym niemilosiernie słońcem, ale step. W to właśnie zamieniły się tysiące hektarów pól biomodfikowanych upraw, które – na ile kojarzył – rozciągały się w tych rejonach przed upadkiem. Swoją drogą step powstały w miejscu dawnych plantacji powinien się powoli kończyć, przechodząc w bardziej zróżnicowany krajobraz z większą ilością roślinności. Chociaż niekoniecznie – może na skutek postępujących zmian klimatycznych i wcześniejszej degradacji działalności ludzkiej takie preriowo-pustynne okoliczności przyrody ciągnęły się aż po Europę? Które to superkorpo miało uprawy w tych rejonach i dalej, na Ukrainie, a nawet w Polsce? AgroNome Corporation zdaje się. A jedyne, z czego oni słynęli, pomijając bycie jedną z największych korporacji, to korumpowanie polityków na potęgę i brak szacunku wobec środowiska naturalnego. W Polsce „przypadkiem” udało im się na przykład zaorać jedno z ostatnich miejsc występowania chomika europejskiego na świecie jakieś dwa lata przed Resetem.

Zerknął na konsolę monokołowca. Pasek postępu wskazywał na trzeci etap restartu, a skoro zaszedł tak daleko, to raczej się nie wysypie i nie trzeba będzie zaczynać po raz kolejny od nowa. Pochylił się, odsunął przytroczoną do sakwy umocowaną za siodłem pojazdu katanę w pochwie i z bocznej kieszeni wyciągnął mapę. Miał jeszcze netpada, którego wykorzystywał do nawigacji, ale od kilku dni nie udawało mu się złapać sygnału nielicznych, nadal działających satelitów, więc nawet nie próbował. Studiował rozłożoną mapę kilka minut; skoro wpakował się na jeden działający *blockhead*, dalej mogą być następne, a to znaczyło, że na wszelki wypadek powinien olać autostradę i obrać alternatywną trasę.

Procedura restartu zakończyła się. Złożywszy mapę, musnął pęknięty panel dotykowy w polu aktywacji. Dwurdzeniowy silnik zamruczał na jałowym biegu, czyli maszyna znów była zdalna do użytku. Schował mapę, postawił monokołowiec i zepchnął go z asfaltu. Teraz czekało go jakieś dwadzieścia kilometrów telepania się przez step, zanim dotrze do utwardzonej drogi.



\*\*\*

Słońce grzało jak porąbane. Dużo mocniej niż zwykle w tej części świata i o tej porze roku, nawet biorąc poprawkę na koszmarnie rozregulowany klimat Ziemi. Termoregulacja wbudowana w kurtkę ledwo zipała, próbując odprowadzić nadmiar ciepła, a mimo że Kazimowi było już w niej już od dłuższego czasu mocno za ciepło, nawet nie myślał o jej zdjęciu. Główna przyczyna była prosta; z warstwy ozonowej tak niewiele zostało, że lepiej było nie wystawiać skóry na działanie słońca. Drugim powodem było to, że kurtka była takim hi-tech bajerem, że odzyskiwała część wody odparowywanej przez organizm. U tych cholernych nomadów, na których natknął się sto kilometrów wcześniej, przykładowo kupiłby za nią sprawny pojazd. Oczywiście optymistycznie zakładając, że nie zdarliby jej z jego stygnącego trupa.

Nie żeby nie próbowali, rzecz jasna. Stracił przez nich sporo cennej amunicji do rewolweru.

Westchnął, patrząc na panel położonego na boku monokołowca. Drugi etap restartu z trzech i chyba znowu zawiecha. Cudownie. Bo wpakował się na kolejny działający *blockhead*. A nawet nie zbliżył się do autostrady. Jakiego to trzeba mieć pecha, żeby dwa razy w ciągu jednego dnia nadziać się na coś, co nie powinno działać od czasu Resetu?

Nagle poderwał głowę, uważnie nasłuchując. Zdawało mu się, czy...?

Nie, słyszał zduszony warkot zabytkowych spalinowych silników. Wzgórze po prawej! Zza jego grzbietu wyskoczyły nagle dwa buggy mknące w jego stronę przez porośnie rzadką trawą z bocze. I jeden motocykl.

Zjeżdżali wprost na niego ze wzgórza.

Metaliczny dźwięk dobywanej katany.

Trzask odwodzonego kurka rewolweru.

Przebiegające wzdłuż kręgosłupa, charakterystyczne mrowienie towarzyszące aktywacji zbyt dawno kalibrowanych implantów wspomagających. Mrowienie wzdłuż przedramion, gdy zaskakiwały sprzęgi broni, i nieprzyjemne, nieokreślone uczucie, gdy strumienie danych z nanoobwodów obydwu jego broni przeszły właściwe ośrodki w mózgu.

Tyle że nic się nie stało. Po prostu go ominęli, jakby go tam nie było.

Co jest?

Huk wystrzału. Podwójne wrażenie kopnięcia w rękę. Pierwsze, gdy system obronny katany określił trajektorię nadlatującego pocisku, a następnie przesłał do mięśni impuls

zmuszający je do ustawienia klingi na kursie kolizyjnym. Drugi, gdy kula rąbnęła w klingę i ześliznęła się po niej w bok.

Drugi wystrzał. Tym razem z rewolweru, oddany, zanim Kazim świadomie zastanowił się w ogóle nad tym, co robi. Zaklął pod nosem i ruszył biegiem, by skrócić dystans do potencjalnych napastników, potencjalnie uzbrojonych w broń palną, potencjalnie w ilości, z powodu której miał przesrane, skoro zmusili do szalonej ucieczki jakąś zmotoryzowaną pustynną bandę.

Wybiegł na grzbiet wzgórza.

Zaskoczeń ciąg dalszy.

Bo nikogo tam nie było. Pusto. Powinien być trup lub ktoś ranny, a tymczasem nic. Nawet śladu krwi, choć był pewien, że trafił. Więcej, nie było nawet śladu ludzkich stóp, choć w tego typu glebie powinny się jakieś odcisnąć. Spojrzał dalej, na rozciągające się kilkaset metrów przed nim jakieś zrujnowane zabudowania. Jeszcze dalej była opustoszała metropolia z typową ciasną, azjatycką zabudową, monumentalnymi blokami mieszkalnymi, a na przedmieściach z czymś, co wyglądało na pozostałości wielkich silosów lub zbiorników. Czyli niemal typowe miasto, które gwałtownie rozwinęło się na fali przestawiania się cywilizacji ludzkiej z paliw kopalnych na biopaliwa w obliczu zbliżającego się galopem przewidywanego końca węgla, ropy czy paru minerałów niezbędnych przy produkcji wysokowydajnych akumulatorów. Miasto, które rozrosło się i żyło głównie dzięki otaczającym je mega-uprawom jakiegoś biomodyfikowanego zielska.

Tak czy siak nie ma takich cudów – nikt nie zdołałby dobiec do ruin w czasie, który on poświęcił na wbiegnięcie na to wzgórze.

Kazim wetknął rewolwer do kabury. Ściągnie z widoku swój pojazd, aktywuje ponownie procedurę przywracania ustawień i restartu, a potem pójdzie się rozejrzeć. Bo chyba trafił w miejsce, którego szukał.

Miasto z dojazdami chronionymi przez *blockheady*, zatrzymujące działanie elektroniki co nowocześniejszych pojazdów, stepowi bandyci spieszący przed czymś tak, że nawet niemyślący o zainteresowaniu się człowiekiem z maszyną, jakich prawie już się nie spotykało... Tak, to zdecydowanie mogło być miejsce, w którym zaginęły karawany podróżujące na zachód, a za poznanie losu których Kazim miał otrzymać niemałą sumkę.

\*\*\*

– No chodź. – Usłyszał za sobą szept wydobywający się jak z dziesiątek niezbyt dobrze zsynchronizowanych krtani. – Chodź. Poddaj się Sądowi Ruin...

Ocknął się z na wpół dobytą kataną, czujnie rozglądając się po otoczeniu. Trawa, wszechobecny pył, trochę śmieci ruiny kawałek dalej. Wepchnął klingę z powrotem do pochwy.

No dobra, robiło się niepokojąco.

Wiedział oczywiście, że ma do czynienia najpewniej z rozregulowanym systemem zdalnej projekcji audio, ale i tak było cokolwiek niepokojąco. Bo ktoś ten system rozstawił, jak Kazim zakładał, w celu odstraszenia potencjalnie zainteresowanych ruinami. I ktoś naprawdę się wysilił, sądząc po tym, że chwilę wcześniej próbowano go straszyć hologramami. Naprawdę pomysłowymi. Może nawet przyprawiłyby go o dreszcz niepokoju, ale były tak nierzeczywiste, że albo system projekcyjny był totalnie rozregulowany, albo próbował wyświetlać obraz grubo powyżej optymalnego dystansu roboczego.

W każdym razie ktoś tu się ciekawie bawił, nie ma co.

Znalazł projektor tam, gdzie się go mniej więcej spodziewał, czyli na jednym z ostatnich pięter czterdziestopiętrowego bloku mieszkalnego, w ciasnej klitce, która przed pół wiekiem była czymś mieszkaniem. Może nawet mieszkaniem całej rodziny, znając klimaty ekonomiczne tego rejonu świata. Pokryta kurzem skrzynka stała w głębi pomieszczenia na koślawym stole z ruchomymi soczewkami projekcyjnymi wycelowanymi mniej więcej w miejsce, które zwiedzał jakąś godzinę temu. Od projektora odchodził kabel niknący w pęknięciu w ścianie; gdyby poszedł jego śladem, zapewne znalazłby jakieś panele słoneczne albo coś podobnego. Nigdzie nie widział systemu projekcji audio, ale też podejrzewał, że musiał być gdzieś bliżej w stosunku do miejsca, w którym usłyszał próbujący go nastraszyć głos.

Podszedł do okna, wyciągając niewielką lunetkę i przez dłuższą chwilę przepatrywał stepowy widnokrąg. Pusto wszędzie, głucho wszędzie, tak pusto i głucho, że bez problemu można by uwierzyć, że jest się ostatnim człowiekiem na planecie. Nawiasem mówiąc, taki scenariusz koszmarnie wymęczonej ludzką działalnością Ziemi wyszedłby tylko na dobre. Już miał oderwać oko od okularu lunetki, by ją schować, gdy zorientował się, że coś o zarysie podejrzanie przypominającym człowieka mignęło mu w polu widzenia. Przyklęknął przy parapecie, by wesprzeć nań łokcie, a tym samym ustabilizować rozedrganie pola widzenia,

będące wynikiową dużego powiększenia i mimowolnych ruchów mięśni zwykle tym silniejszych, im bardziej nieruchomo coś się próbowało utrzymać. Poprawił ostrość.

Ciało. Rozpaćkane, a potem rozwleczone na przestrzeni kilkunastu metrów. Nad oderwaną nogą pastwił się właśnie wielki sęp. Dalej leżała bezkształtna kupa flaków i mięsa z szarpiącym ją kolejnym sępiskiem. Kazim oderwał oko od okularu, przetarł je i spojrzał jeszcze raz. To musiał być koń. Koń, którego coś rozszarpało. Co to mogło być? Przemienieni przez zarazę, tak zwani mutanci Plagi? Wtedy padlinożercy nie ruszyliby trucheł. Zresztą akurat śladów mutantów nie widział od Ułan Bator. No chyba że padlinożercy też byli zakażeni, ale w tym wypadku wszelkiego rodzaju mutacje zazwyczaj upośledzały zdolność lotu. Tymczasem te sępy wyglądały na całkiem zdrowe.

Co innego mogło przemielić tak konia?

Przesunął nieznacznie lunetkę. Teraz dostrzegł przewrócony wóz, taki wyklepany chyba z naczepy jakiejś ciężarówki, częściowo skryty za jakimiś zielskiem. Wysypywał się z niego jakiś bliżej nieokreślony złom. Cokolwiek załatwiło konia i tego człowieka, rozwalilo też wcale okazały wóz. Chwilę później wypatrzył coś, co mogło być zwłokami kolejnego człowieka.

Ponownie oderwał okular od oka. To by było na tyle, jeśli chodzi o zbieraczy złomu, których tropy widział. Tylko serio pytanie, co ich dorwało.

Po raz trzeci przyłożył okular lunetki do oka, by przepatrzeć step widoczny z okna mrówkowca. Cisza, spokój, pustka, cienie wydłużające się powoli wraz ze słońcem opadającym w stronę zachodniego widnokągu.

I wtedy dostrzegł człowieka. Żywego.

\*\*\*

– Nie podchodź! – krzyknął człowiek w mongolskiej czapie, kalecząc uproszczony chiński i nerwowym ruchem unosząc broń do ramienia. Był w dość zaawansowanym wieku, a na sobie miał znoszony strój typowy dla nomadów ze środkowej Azji, którym wyraźnie pomieszala się filmowa postapokalipsa sprzed Resetu z historyczną tradycją. – Bo strzelę!

Bronią był dwulufowy obrzyn wyglądający, jakby zmaistrował go ktoś, kto wcześniej dubeltówkę widział tylko na rysunkach i to bynajmniej nie technicznych.

– Spokojnie – powiedział Kazim, unosząc ręce w pojednawczym geście. – Nie mam złych zamiarów. Chcę tylko...

– Jest was więcej?!

Kazim wahał się ułamek sekundy.

– Tutaj ja i człowiek, który mnie ubezpiecza, ale jest nas pięciu. Jesteśmy zwiadowcami grupy wędrującej na zachód.

– Zabierajcie się stąd! Wróć do swoich i nie próbujcie się zbliżyć do ruin!

– Nie zamierzamy tu szabrować. Rozumiemy, że to może być czyjś teren...

– Te ruiny są przeklęte! Bierz swoich ludzi i wynoście się! Idzie wiatr! Może nawet burza! A skoro jest wiatr, to TO – duże litery aż nazbyt wyraźnie było słyhać w głosie nomada – się obudzi! Zawsze się budzi!

O czym ten gość w ogóle pierdzielił?

– Nie rozumiem...

– Twój problem, ja spierdalam!

– Czekaj! Jesteśmy z naprawdę daleka, są wśród nas kobiety i dzieci! Mamy paru rannych i chorych.

Mężczyzna zawahał się.

– Tu pogrzebano grzechy. – Głos mężczyzny był jednocześnie zniecierpliwiony i dobitny. – Straszne grzechy. Ale one, kurwa, wracają. Wracają i upominają się o sprawiedliwość. Mówię ci: wypieprzaj stąd póki czas.

– Zaczekaj!

– Spierdalaj! Nie próbuj iść za mną!

I tyle było rozmowy. Facet w mongolskiej czapie wycofał się w głąb zrujnowanej ulicy, następnie zniknął za wrakiem autonomicznej ciężarówki, zostawiając Kazima z niebyt inteligentną miną.

Jedno, co było niepokojące – facet był mniej więcej w wieku Kazima, a to znaczyło, że pamiętał Dawny Świat, jak zwano obecnie czasy sprzed Resetu. A to znaczyło, że nie powinien być aż tak podatny na zabobon, jak zwykle bywali urodzeni po Resecie. Mimo to zachowywał się, jakby w gacie narobił.

Ciekawe.

Spojrzał w prawie bezchmurne niebo widoczne pomiędzy przekrzywionymi budynkami o spękanych ścianach; kolor nieba w kierunku wschodnim zdawał się być przytłumiony, co mogło świadczyć o nadchodzącej burzy pyłowej, jako że czasem efekt taki dawały wyniesione wysoko przed czoło burzy najbardziej lotne drobinki. A jeśli dotrze tu burza, z miejsca masakry, które wypatrzył z bloku mieszkalnego za swoimi plecami, raczej wiele nie zostanie, tymczasem mogły być tam jakieś poszlaki, wskazówki, cokolwiek mówiącego o tym, co się w tej okolicy dzieje.

Pół godziny. Potrzebował mniej więcej pół godziny. Zastanowił się, czy nie wrócić po ukrytego wcześniej monokołowca, ale istniała spora szansa, że restart się nie powiodł, więc byłaby to tylko strata czasu. A więc pół godziny szybkiego marszu, pół godziny na powrót i przy odrobinie szczęścia będzie z powrotem pomiędzy zabudowaniami, zanim dotrze tu front nadchodzącej burzy. Taki był plan.

Tyle że burza okazała się mieć za nic plany Kazima. Gwałtowny wiatr będący zapowiedzią tego, co nadchodzi, zerwał się, gdy był mniej więcej w połowie drogi. Już pierwszy podmuch cisnął mu w twarz pyłem z wysuszonej ziemi tak, że musiał oczyścić sobie oczy. Gdy z kolei podniósł spojrzenie, próbując patrzeć pod wiatr przez rozczapierzone palce, ujrzał ścianę pyłu walącą wprost na niego ze zbyt dużą gwałtownością, by to zlekceważyć.

– *What a lovely day* – powiedział z przekąsem po angielsku do siebie, samemu nie wiedząc, skąd mu przyszły do głowy te słowa. I widziany oczami obrazek roześmianego raidersa za kierownicą jakiegoś gruchota. A potem już biegł w stronę najbliższych zabudowań, zastanawiając się, czy zdąży.

Nie dał rady. Łupnęło go w plecy, przewróciło, przetoczyło po ziemi. Pochwycił się kępy jakiegoś zielska, zaczekał, aż pęd wiatru osłabnie na moment, wyrwał katanę z pochwy i wbił ją w grunt niemal po rękojęść. Jakaś kotwica to była, nie tak dobra, jaką miał przy monokołowcu, do zakotwiczania maszyny w takich przypadkach, ale jednak. No i zdecydowanie brakowało mu nanofolii, którą mógł się nakryć po przewróceniu pojazdu tak, że stanowił całkiem przyzwoitą osłonę. Brakowało mu też, i to delikatnie mówiąc, maski przeciwpyłowej. Szczęście w nieszczęściu, że na szyi ciągle mu zwisały gogle, które teraz jedną ręką z oporem naciągnął na oczy. Pocieszające poniekąd było, że im takowa burza była bardziej nagła, tym prawdopodobnie szybciej się skończy. Zaczekał, aż wściekły wiatr odrobinę osłabnie, wyrwał katanę z ziemi i zaczął się cofać ku zabudowaniom. Gdy wiatr ponownie wzmógł się na tyle, że miał problem z utrzymaniem równowagi, wbił klingę w ziemię i przeczekał. Potem znowu. I znowu. Wreszcie wymacał w otaczającym go pyłowo-piaskowym piekle ścianę budynku. Zaczął się przesuwając wzdłuż niej w poszukiwaniu otworu okiennego lub drzwiowego, przez który mógłby się przedostać do środka i znaleźć chwilę wytchnienia od chłostającego go piasku.

Wtedy go dorwało. W pierwszym momencie myślał, że wiatr zmienił kierunek i rąbnął na tyle mocno, że poderwał w powietrze, ale to nie było to. Trwająca może sekundę omyłka i desperackie próby chwycenia się czegokolwiek, skupiając się jednocześnie na niezgubieniu katany, sprawiły, że stracił być może niepowtarzalną szansę na załatwienie tajemniczego...

czegoś. Zaraz potem dotarło do niego, że został pozbawiony rewolweru, a kolejny ułamek sekundy zajęło mu zrozumienie, że pchnięty potężną siłą leci przez mroczne pomieszczenie. Następnie skupił się tylko na tym, żeby przy uderzeniu w ścianę nie nabić się na własną katanę.

Ściana musiała być poważnie nadwyreżona. Rozsypała się, gdy w nią wyrznął, następnie oszołomiony tak, że nawet nie poczuł bólu potłuczenia, wpadł do częściowo zawalonego pomieszczenia. I znów tajemnicza siła poderwała go, tym razem wywalając na zewnątrz, w pomarańczową mgłę piaskowo-pyłowej zawieruchy. Jakoś udało mu się zachować przytomność umysłu, przetoczyć się po splekanym chodniku, by zamortyzować upadek, a w bonusie nie nabić się na ciągle trzymaną w dłoni obnażoną katanę. Odnotował przy okazji, że szalejąca burza nie była tu tak dojmująca, co zapewne zawdzięczać należało temu, że znalazł się między budynkami. Poderwał się...

Tajemnicza siła... owo coś, czymkolwiek było... rąbnęło go w plecy, przydusiło do ziemi, wbiło twarz w piach.

– Jesteś oskarżony. – Kazim usłyszał głos dobywający się jak z wnętrza grobu, o barwie tak pozbawionej płci, jak to tylko możliwe... W głowie? Tak to odebrał, jakby głos rozbrzmiał mu w głowie. – Zostaniesz osądzony!

Skupił się na tym, że ciągle ma swoją katanę. Mocniej zacisnął na niej dłoń, poprzez sprzęgi w dłoni aktywując jej obwody wspomaganie. Poderwał się nagle, pchnął do tyłu, skoczył do przodu, zaledwie skrajem świadomości odnotowując, że coś lub kogoś trafił. Pobiegnął przez pyłową zadymkę najszybciej, jak był w stanie, mimo że widział właściwie nie dalej niż na długość ramienia. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że tajemnicze zagrożenie dosłownie dyszy mu w kark. Dopadł – czy raczej wpadł – na jakąś ścianę. Szczęśliwym splotem okoliczności tuż obok było okno. Podskoczył, wdrapując się na parapet, następnie upadł z przeciwnej strony, z ulgą witając brak wściekłego szumu wiatru i tumanów pyłu. Dał susa w stronę wypatrzonych w półmroku drzwi, przy okazji potykając się o jakiś złom na resztkach podłogi. Póki co było nieźle. Żył, nie był ranny, a owo coś lub ów ktoś nie dał rady go dopaść, a co więcej, pozostał najwyraźniej na tyle daleko z tyłu, że Kazim zyskiwał jakieś pole do manewru.

Przebiegł jakiś korytarzyk, mimowolnie zauważając ludzkie kości bielące się na środku, wpadł do kolejnego pomieszczenia, a z niego wyskoczył przez okno. Zamortyzował upadek przewrotem, kompletnie zaskoczony wysokością, zauważając przy okazji, że o włos minął jakiś wystający z ziemi pręt. Zerwał się, przebiegł ulicę, wpadł w czerniejący się w pomarańczowo-czerwonej mgłę otwór drzwiowy następnego budynku. Przebiegł długi

korytarz, czując trzaskające pod butami szklane i plastikowe, bliżej niezidentyfikowane skorupy, wpadł w ostatnie drzwi po prawej, ocenił błyskawicznie pomieszczenie, w którym się znalazł, następnie przywarł plecami do ściany tuż obok drzwi. O ile napastnik nie posiadał zdolności lewitacji, nie da rady przejść przez korytarz obok bezgłośnie, nawet biorąc pod uwagę odgłosy szalejącej burzy. Nie da rady też go zaskoczyć, wpadając przez jedyne okno w tym pomieszczeniu, za to w razie czego będzie to droga ewakuacji.

Chrupnięcie łamanego plastiku, jakby ktoś nastąpił na jednorazowy kubek ciężkim buciozem. Kazim bezgłośnie nabrał powietrza w płuca, starając się jednocześnie wewnętrznie wyciszyć przed spodziewanym starciem i unosząc katanę do najbardziej optymalnej w tej sytuacji postawy węża. Jeśli tylko uda mu się wykorzystać element zaskoczenia...

Upłynęła minuta, potem druga. Z dwóch minut zrobiło się pięć, z pięciu dziesięć, potem kwadrans i dwa kwadransy. Nic się nie działo, tyle że sądząc po wyciu wiatru na zewnątrz, burza wyraźnie traciła na sile. Kazim był pewny, że nikogo nie ma w korytarzu obok, a samo oczekiwanie w stanie ciągłej gotowości na reakcję zaczynało być cokolwiek męczące. Może i był byłym korporacyjnym shinobi, ale od Resetu minęło ładnych parę lat, a on nie młodził. Mimo to tkwił jeszcze kilkanaście minut w całkowitym, pełnym napięcia bezruchu, gotów z pozycji węża przebić każdego, kto spróbuje wtargnąć przez drzwi obok. Bądź wykonać unik, jeśli pójdzie naprawdę źle.

Nic. Cisza. Zdecydowanie był tu sam. Może, cholera, i się starzał, ale nie aż tak, żeby przegapić symptomy czyjejkolwiek obecności. Nawet zawodowiec jego pokroju nie dałby rady zachować ciszy, próbując się podkraść...

No chyba że czekał w zasadzce, podobnie jak Kazim teraz. Bo przecież Kazim kiedyś musiał się ruszyć.

I co teraz? Spędzi tu noc, tkwiąc w pozycji węża z nadzieją, że tamtemu się pierwszemu znudzi? A jeśli nikogo tam nie było?

I bądź tu, kuźwa, mądry.

Dylemat, czy siedzieć w tym pomieszczeniu, czy nie, rozwiązała za niego rzeczywistość postapokaliptycznego świata. Bo przecież kłopoty nigdy nie chodzą pojedynczo, a nawet nie w parach – one zbyt zapieprzały całymi stadami. A czasem nawet hordami.



\*\*\*

Mutanty Plagi. Na terenie Chin i Mongolii tak nazywano przemienionych przez biotechnologiczny mutagen z czasów Resetu. Burza musiała je przygnać, przynajmniej tak to sobie w tym momencie tłumaczył. Wyczuły ofiarę, czyli konkretnie jego, Kazima, no i ruszyły na łowy z nagonką, nawołując się w czerwonej mgle pyłowej upiornym wyciem. Przez chwilę, po wyskoczeniu oknem i przegalopowaniu w ciemno przez na wpół zawalony pawilon obok, miał nadzieję, że zgubiły jego trop, ale zaraz potem usłyszał tuż za sobą jeżący włos na grzbiecie ryk. Nawet nie próbował zgadywać, ile ich może być, ale gdzieś w tyle głowy przewinął mu się liczebnik nieokreślony „w chuj”. Pobiegł jakąś ulicą, kilka razy w ostatniej chwili przeskakując jakieś rozpadliny, raz omal nie wpadając na jakieś żelastwo. W tej cholernej pyłowej mgle nie widział za wiele i coś tak czuł, że póki co ma więcej szczęścia niż rozumu.

Dorwają go, czuł, że go dorwają. Nie było innej opcji. Osaczyła go cała pieprzona horda mutantów, a wśród nich było zdecydowanie za dużo tak zwanych biegaczy. Jeśli czegoś zaraz nie wymyśli...

Kilkumetrowe zapadlisko w jezdni, przysłonięte przez wrak osobówki stojący w jej poprzek. Skoczył na maskę, zanim zdążył pomyśleć, jak głupi to pomysł, że jeśli zniszczone zębem czasu tworzywo sztuczne nie wytrzyma... Wytrzymało. Więcej, cholera, szczęścia niż rozumu. Wykorzystując rozpęd, dał susa nad zapadliskiem i jeszcze zanim wylądował po przeciwnej stronie, usłyszał głuchy łomot uderzenia. Zaraz potem rumor walącego się do rozpadliny wraku, być może wraz z mutantem, który weń wyrzwał. Kazim jednocześnie zaklął, uświadamiając sobie, że z jakiegoś bocznego zaułka na ulicę wypadają rozmazane w pyłowej mgle sylwetki, drąc się niczym potępieńcy. Dochodząc do wniosku, że jego szczęście głupiego właśnie się skończyło i czas na poważnie popracować nad ocaleniem tyłka, zrobił jedyne, co mu w tej sytuacji pozostało, czyli wykorzystując siłę rozpędu, wpadł pomiędzy mutantów.

Klinga zaświszczała w zapyłonym powietrzu. Krawędź tnąca z ultranitu, dla zwiększenia właściwości tnących wprawiona przez system wspomaganie w oscylację o olbrzymiej częstotliwości, przeszła przez pierwsze ciało łatwiej niż rozgrzany nóż przez masło. Następnie przekrok, przejście do następnego cięcia tak płynne jak na walkach pokazowych, obrót i kolejne cięcie. Jakby kosił łany zboża. Technika ta zresztą nazywana była żartobliwie „sianokosami”. W walce z tłumem przy użyciu wspomaganego ostrza dawała fenomenalne rezultaty, jeśli została prawidłowo zastosowana. Tyle że opracowano ją do walk

z ludźmi, a nie mutantami o bardzo niskiej wrażliwości na ból i niesamowitej żywotności; o ile dwa pierwsze osobniki padły, o tyle trzeci specjalnie się nie przejął, że został niemalże przecięty w pół, i nie dopadł Kazima tylko dlatego, że ten wykonał niezbyt zgrabny unik i poprawił chłaśnięciem od dołu. A wykonując ten unik, był już pewny, że po nim, że reszta zmutowanych bydlaków zgniecie go samą swoją liczbą, że właśnie szlag trafił jego szansę na wyjście z tego ambarasu, jaką dawała kombinacja szybkości, zaskoczenia i zastosowanie jednej z najskuteczniejszych technik do walk z dużymi grupami.

Z cięcia od dołu przeszedł do szerokiego, poziomego cięcia po łuku, by choć spróbować skosić przynajmniej pierwszą falę nadciągających przeciwników, co dałoby mu możliwość powrotu do właściwego rytmu, a co z kolei dawało jakąś szansę.

Ale katana przecięła tylko powietrze. Mutanty nie zaatakowały. Darły się, wrzeszczały, ale pozostawały na tyle daleko w tumanach wszechobecnego pyłu, że były tylko nieco ciemniejszymi, z grubsza humanoidalnymi kształtami.

Nie tylko nie zaatakowały. Wręcz cofnęły się.

– Co jest? – mruknął do siebie. W głowie Kazima w tym momencie dosłownie zwizualizował się jeden wielki znak zapytania. Tknięty jakimś przeczuciem, zerknął na zwłoki leżące prawie pod jego stopami.

Które powinny leżeć pod jego stopami.

Nie było ich tam. Tylko krew, sporo krwi. I nie tak ciemnej, jak to zwykle bywało u mutantów. Najbliższy trup leżał kawałek dalej. Kazim z cały czas wzniesioną kataną cofnął się kilka kroków. Spojrzał na nie.

Zamrugął oczami.

Niemożliwe. Tak by się dał podejść?! Przecież nawet przed Resetem ta technologia była niewiele warta, bo łatwo było spostrzec... Niemniej to musiało być to. To po prostu musiało być, kurwa, to.

Cofnął się jeszcze krok, przyklęknął, następnie przysiadł na piętach swoich buciorów...

Najbliższy mutant ruszył w jego stronę, ale od razu odskoczył. Kazim go zignorował.

Położył przed sobą katanę, jakoś dopiero teraz uświadamiając sobie, że gdzieś zgubił pochwę od niej. Później jej poszuka. Jak przeżyje. I nie zostanie rośliną po tym, co zaraz zrobi.

Wydobył krótkie ostrze typu tanto z pochewki przy pasie. Przyłożył ostre jak brzytwa ostrze tuż za swoim lewym uchem. Zawahał się.

Cholera, to jedyna opcja. Skoro zabezpieczenia zostały złamane i to tak, że niczego nie spostrzegł, nie mógł pozwolić sobie na ryzyko.

Pchnął.

Błyskawica bólu przeszła całe ciało, a pod czaszką błysnęło coś, co można by spokojnie nazwać zwarem. Przekręcił ostrze o pół obrotu. Pociągnął.

Ocknął się, leżąc na boku. Powoli usiadł, rozejrzał się.

Wiał silny wiatr, wzniesając sporo kurzu i ciskając śmieciami to w tę, to we w tę, ale nie było żadnej burzy pyłowej. Nie było też żadnych mutantów. Ani żywych, ani martwych. Tylko krew tego ranionego, który rzecz jasna raczej nie był mutantem, a który próbował się skryć pomiędzy widmami, by dopaść Kazima. Ostrożnie dotknął się za uchem. Było mniej krwi, niż się spodziewał. Jezu Chryste, komuś lub czemuś udało się przełamać firewalla jego wszczepu telekomunikacyjnego, potem przebić się aż do protokołów obsługi rozszerzonej rzeczywistości neuroimplantu wspomagającego, obejść ich zabezpieczenia i zafundować mu sprytną symulację. Sprytną, bo wygenerowana cyfrowo mgła pyłowa kryła skutecznie niedociągnięcia samej symulacji, jak na przykład kiepsko odtworzone modele mutantów, ale jednocześnie była na tyle zaawansowana, że wykorzystywała i sugestywnie pogłębiała odbiór czynników zewnętrznych.

Niemniej ktoś go zaatakował. Ktoś lub coś rąbnęło mu rewolwer i coś jak najbardziej fizycznego rzuciło nim o ścianę, potem wskoczyło na plecy, wreszcie ścigało.

Ktoś też został zraniony. Może nawet więcej niż raz.

– Sprytne. – Usłyszał za sobą męski głos mówiący w uproszczonym chińskim. – Odważne.

Kazim nie oglądał się za siebie, po prostu siedząc na spękany asfalcie, ale doskonale wiedział, gdzie i w jakiej mniej więcej pozycji znajduje się jego przeciwnik.

– Kim jesteś?

– Sędzią. Sprawiedliwością. Zemstą.

Raczej wariatem.

– Umierasz, a przynajmniej potrzebujesz natychmiastowej pomocy. Słyszę w twoim głosie, że masz przebite płuco, podejrzewam też obrażenia wewnętrzne. Straciłeś też dużo krwi.

– Może tak, może nie.

To był świr. I lubił bawić się ze swoimi ofiarami. A więc będzie gadał. A im dłużej będzie gadał, tym bardziej osłabnie.

– Co to za sprawiedliwość, która wali ślepo na lewo i prawo? Cokolwiek i kiedykolwiek tu się stało, ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Zareagowałeś na RR, to wystarczy. Jesteś jednym z nich. Ale walczyłeś lepiej niż ktokolwiek dotąd.

RR – rozszerzona rzeczywistość. Ale co miało do rzeczy to, że zareagowałeś?

– Co ma piernik do wiatraka?

– System RR piątej generacji.

No jasne. Kompatybilne z tym systemem neuroimplanty mieli zwykle tylko korporacyjni pracownicy wyższego szczebla, ludzie związani z korporacyjnym bezpieczeństwem i temu podobni. I to tylko w kilku największych korpo.

– Po co cię tu przysłali? – zapytał głos za plecami Kazima.

– Wynajmuje się czasem jako najemnik. Miałem ustalić, co się stało z zaginionymi gdzieś w tej okolicy dwiema karawanami.

– Karawanami?

– Tak mi powiedziano.

– To nie były żadne karawany! Złodzieje! Jebani szabrownicy! Oni naruszyli ich spokój!

– Więc nie zabijasz tylko korposów?

– Osądzam i skazuję każdego, kto na to zasłuży!

Wariat. Zdecydowanie wariat.

– Za co? Jakie zbrodnie tu popełniono?

– Jesteś korpo, nie udawaj, że nie wiesz. Musisz wiedzieć!

– Ale nie wiem. Rzuciłem ten biznes w cholerę podczas Resetu.

– Dlaczego?

Dobra, koniec rozmowy. Trzeba to załatwić, póki facet się nie znudzi.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Kazim poderwał się, chwytając katanę. Świst klingi tnącej szybciej niż myśl...

I nic. Za Kazimem nikogo nie było. Nie było też śladu tego, że ktokolwiek tam był. Dosłownie, bo w piachu zalegającym spękany asfalt były tylko ślady butów Kazima.

Zdalna projekcja audio, ale taka naprawdę dobra, lepsza niż ta, którą ów tajemniczy ktoś próbował straszyć Kazima wcześniej.

Co za porąbana sytuacja! Jak mógł tak szybko...? I to ranny!

Zdecydował, że nic tu po nim. Musi się zwinąć, zanim naprawdę nadejdzie burza pyłowa bądź nastanie zmierzch. Choćby z buta, pchając swój monokołowiec.

A jak będzie za wolno szło, zostawi grata i spieprzy piechotę.

\*\*\*

Gdy oddalał się w kierunku miejsca ukrycia monokołowca, zaczął dostrzegać drobne szczegóły; tu kabel wychodzący ze studzienki i niknący pośród ruin, gdzie indziej zbyt czyste głowice zawieszzone nad ulicą systemu projekcji reklam z rodzaju wyświetlających obraz bezpośrednio na siatkówce oka. A jeszcze w innym miejscu źle zamaskowana wiązka kabli czy antena wyglądająca na wzmacniającą w znacznie lepszym stanie, niż być powinna po tylu latach od Resetu. W oddali, na jednym z wyższych budynków, wypatrzył też obracające się turbiny wiatrowe. Czy o to chodziło z tym wiatrem, który, jak to określił ten wystraszony nomad, TO budził? Że potrzebny był wiatr, żeby zasilić cały ten przekombinowany system, który przerabiał przynajmniej jakąś część tego miasta w koszmarny cyrk grozy?

Ten gość, kimkolwiek był, napracował się. Cholernie się napracował. Ale po co? Co chciał pomścić i dlaczego w taki sposób? Bo szaleństwo szaleństwem, ale musiała być w tam jakąś logika, jakaś konkretna przyczyna.

Dowiedział się nieco w osadzie jakieś sto dwadzieścia kilometrów dalej, w stronę Ułan Bator, gdzie zresztą zatrzymywał się także, podróżując w przeciwną stronę. Siedział przy zbitej z byle czego ladzie baru w namiocie próbującym z zewnątrz udawać mongolską jurte i po prostu zapytał chudego skośnookiego barmana, czy czegoś nie słyszał o opuszczonym mieście, z którego właśnie wrócił. Na przykład o kimś, kto tam bawi się w cyrk grozy.

Ten przeciągle popatrzył na Kazima, a Kazim pojął nagle, że właśnie naruszył jakieś lokalne tabu.

– Setki dzieci – powiedział barman. – Setki dzieciaków, które komuś pomyliły się z surowcem. Komuś z twojego świata, korposie. Mieli tam cały pieprzony ośrodek i po Resecie nawet specjalnie nie kryli się z tym, co robią. A teraz wypieprzaj z mojego baru.

Jedno Kazima nurtowało naprawdę długo po wszystkim. Dlaczego ten ktoś, samozwańczy sędzia, odpuścił i pozwolił mu odejść? Nie był w stanie go przed tym powstrzymać? Czy po prostu z jakiegoś powodu odpuścił?



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

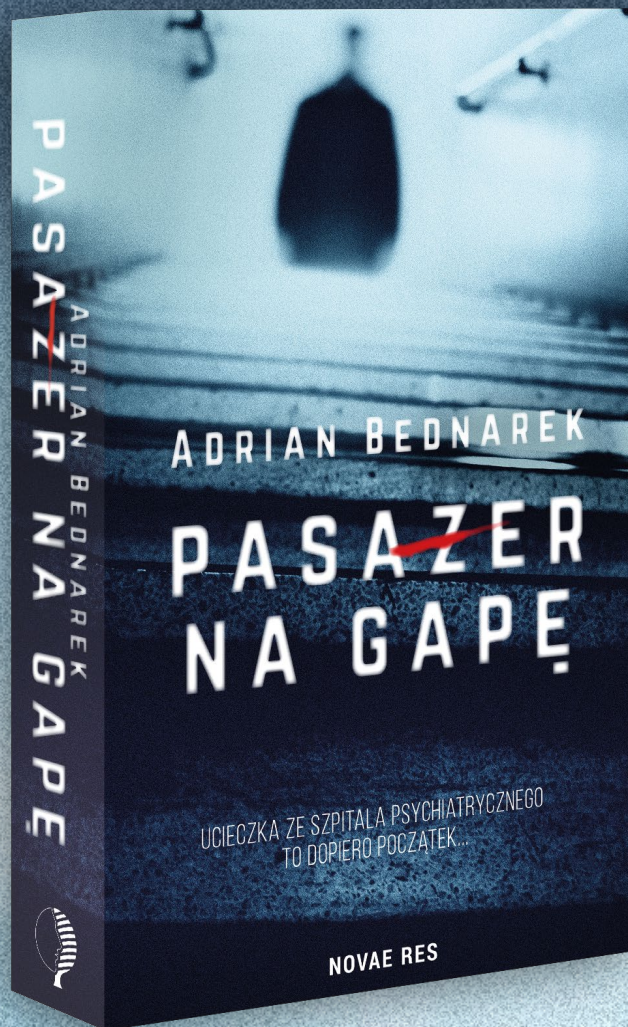


NOVAE RES

## UCIECZKA ZE SZPITALA PSYCHIATRYCZNEGO TO DOPIERO POCZĄTEK...

*To więcej niż wciągający thriller i więcej niż wyprawa w najmroczniejsze zakamarki ludzkiej duszy. To gra, która okazała się prawdziwą jazdą bez trzymanki z pasażerem na gapę. Jak ja lubię takie książki!*

WIOLETA SADOWSKA  
[subiektywnieoksiązkach.pl](http://subiektywnieoksiązkach.pl)



### CO ZROBISZ, GDY WPADNIESZ W SIDŁA PRAWDZIWEGO ZŁA?

Magda pomaga ukochanemu Maćkowi w ucieczce ze szpitala psychiatrycznego. Misternie przygotowany plan psuje niespodziewanie pojawienie się nowego pacjenta w sali Maćka. Nie mając innego wyjścia, para zakochanych złodziei postanawia zabrać ze sobą „pasażera na gapę”. Rozpoczyna się sadystyczna gra, w której dwoje młodych ludzi staje się jedynie bezwonnymi pionkami. Czy uda im się uciec przed zastawioną na nich pułapką, która może kosztować ich życie?





# **T**YLKO MNIE MOCNO TRZYMAJ

Barbara Kijowska

Zimno. Mokra. Ciemno. Wiem, że muszę iść przed siebie, tylko nie wiem po co. Niewiele widzę. Jakieś kontury. Zarys drzew. Jestem na ścieżce. Jest miękka. Przynajmniej to jest dobre. Ścieżka dokądś mnie zawiedzie. Po bokach chłodne, chropowate pnie dużych drzew. Czasami, by nie stracić równowagi, opieram na nich dłoń. Coraz zimniej. Uświadamiam sobie ze zdziwieniem, że mam bose stopy. Dlaczego? Nie mogę sobie przypomnieć. Jak to się stało? Dlaczego tu się znalazłam? Nic nie pamiętam oprócz tego, że idę. Teraz dopiero wyczuwam chłód i nierówności ścieżki. Czasem bardzo boleśnie.



Im dłużej się zastanawiam nad tym, co się dzieje, tym bardziej się boję. Nie jestem pewna czego, ale chyba najbardziej tej niepewności właśnie. Czy coś mi się stało? Czy jestem ranna?

Czy skądś uciekłam? Czy zrobiłam coś złego? Nagle dostrzegam między drzewami światło. Zabawnie migocze, przesłaniane raz po raz liśćmi poruszonymi na wietrze. Przyspieszam kroku. Teraz, kiedy pojawia się delikatna nić nadziei, nie mogę się opanować i zaczynam prawie biec. Jest to trudne w ciemności i bez butów. Raz po raz potykam się boleśnie o wystające korzenie. Zwalniam. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszam się, by znowu zacząć iść. Zaczynam widzieć coraz więcej świateł. Rozpoznaję w nich uliczne latarnie. Wieje coraz bardziej. Jest mi ciężko i zimno.

Boję się. Nie chcę tu być! Chcę być w domu! W ciepłym łóżku. Bezpieczna. Czuję, jak po policzkach spływają mi ciężkie łzy. Wreszcie czuję pod stopami zimny asfalt. Na drodze jest zupełnie pusto. Ani jednego samochodu. Ani jednego przechodnia na chodniku. Musi być bardzo późno lub bardzo wcześnie. Mimo to sam widok ulicy i elektrycznych latarni dodaje mi otuchy. Chyba nawet rozpoznaję okolicę. Mam nadzieję, że się nie mylę. Nie, na pewno się nie mylę. Jeśli pójdę dalej, po prawej stronie powinien znajdować się miejski szpital. Potem jeszcze kilkaset metrów i znajdę się na drodze prowadzącej prosto do mojego domu. Już nawet nie jest mi tak zimno. Krew zaczyna pulsować mi w skroniach. Przyspieszam jeszcze bardziej. Mokry asfalt ulicy pozwala mi biec coraz szybciej. Nie zastanawiam się więcej, dlaczego jest tak pusto. Nie obchodzi mnie teraz, co się stało. Chcę tylko jak najszybciej zobaczyć dom. Ulica umyka szybko pod stopami. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i dobiegnę do zakrętu. Potem już tylko chwila i będę w domu. Słyszę własny świszczący oddech i mlaskanie bosych stóp o asfalt. Jestem śmiertelnie zmęczona. Nie dam rady już dłużej biec. Mam wrażenie, że moje nogi są z ołowiu. Zwalniam coraz bardziej, mimo iż w głowie wciąż powtarzam sobie słowa otuchy. Jednak ciało nie chce słuchać nakazów umysłu. Poddaje się. Z biegu powoli przechodzę w kulejący trucht. Dobiegam do zakrętu. Nagle zmęczone do granic nogi płaczą się i potykają jedna o drugą. Przewracam się, jakby w zwolnionym tempie uderzając o asfalt wyprostowanymi ramionami. Dłonie i kolana hamują, szurając parę metrów z rozpędu. Ostatnie, co czuję, to piekący ból na obdartym naskórku. Uderzam głową o jezdnię i słysząc przenikliwe dzwonięcie w uszach, tracę świadomość... Otwieram oczy. Wokół panuje ciemność. Jest ciepło. Czuję, jak leżę, ale nie jest to twardy mokry asfalt. Poznaję po dotyku i zapachu. Jestem we własnym łóżku. Sięgam w bok i moja dłoń trafia na mały nocny stolik obok łóżka. Znajduję przełącznik i po chwili ciepłe światło nocnej lampki rozprasza mrok. Uczucie niewymownej ulgi ogarnia mnie ciepłą

falą. Sen. To był tylko sen. Odwracam głowę. Mąż śpi obok, oddychając miarowo. Nachodzi mnie nieodparta potrzeba wtulenia się w jego plecy. Poruszam się powoli, by go nie obudzić, i syczę z bólu. Odslaniam kołdrę. Przez chwilę patrzę i nie mogę pojąć tego, co widzę. Prześcieradło w nogach łóżka jest mokre i ubłocone. Piekący ból rozlewa się wzdłuż łydek w dół do samych stóp. Skóra na kolanach jest zdarta do krwi. Patrzę w osłupieniu na dwie rozlane plamy, które w nikłym świetle nocnej lampki wydają się zupełnie czarne.

\*\*\*

I tak już nie zasnę. Siadam na brzegu łóżka. Mąż posapuje lekko przez sen. Zazdroszczę mu tego. Może spać w każdych warunkach. Nic go nie obudzi. Idę do łazienki i odkręcam wodę. Łazienka wypełnia się parą. Wchodzę do wody, nie czekając, aż wanna się napelni. Pewnie będzie bolało. Kolana są mocno otarte. Zaciskam zęby, kiedy zanurzam je powoli. Nawet nie jest aż tak źle. Da się wytrzymać. Osuwam się i czuję, jak ciepło rozlewa się po krwioobiegu. Kolana już prawie nie bolą. Zaczynam rozluźniać się zupełnie. Zamykam oczy. Głowa opada na bok. Jeszcze nie śpię, ale wiem, że jeśli nie zmienię zaraz pozycji, zasnę. Jest mi jednak zbyt wygodnie. Nie ruszam się póki co, obiecując sobie, że to tylko tak na chwilę. Woda szumi kojąco. Od czasu do czasu spada mi na twarz zimna kropla z prysznicza nad głową. Nie jest to zbyt miłe. Nie ruszam się jednak. Kap–kap. Kolejna zimna kulka spada mi na czoło. I jeszcze jedna. Następna. Robi się jakoś nieprzyjemnie zimno. Słyszę szum wody, ale jakoś inaczej. Jakby szumiało wokół. Intensywnie. I te zimne krople z prysznicza. Chyba jednak zmienię pozycję. Jest mi strasznie niewygodnie i coraz zimniej. Otwieram oczy. I zaraz muszę je zamknąć. Krople wody spadają mi prosto na twarz. Patrzę w bok, osłaniając ją ręką. Jest zupełnie ciemno. Nie ma wanny. Nie ma łazienki. Leżę w zupełnych ciemnościach, na czymś mokrym i nieprzyjemnie zimnym. Dopiero teraz dociera do mnie, co się dzieje. Zrywam się i patrzę wokół, starając się przynajmniej rozróżnić jakieś kształty. Tak, to drzewa. Ogromne, stare, ze śliskimi, mokrymi pniami. Wstaję niepewnie, opierając się o jedno z nich. Jest zimne. Chropowate. Pod stopami wyczuwam miękkość ścieżki. Powoli, prawie po omacku ruszam przed siebie. Nie wiem, czy to właściwy kierunek, ale coś mi mówi, że tak. Staram się przyspieszyć, ale szybko rezygnuję. Ścieżka jest nierówna. Pełna wystających korzeni i ostrych kamyków. Nawet nie zastanawiam się nad stanem mojego ducha. Nie chce mi się płakać. Nawet nie boję się tak bardzo. Nie wiem, skąd się tu wzięłam i dlaczego. Potem o tym pomyślę. Teraz muszę się stąd wydostać. Nagle doznaję uczucia, że to wszystko już się kiedyś działo. Nie mogę jednak sobie niczego

przypomnieć. Czy stało mi się coś złego? Czy może ja coś złego zrobiłam? Nic nie przychodzi mi do głowy. Ścieżka zamienia się w asfaltową alejkę, a pomiędzy drzewami widzę światła latarni ulicznych. Przyspieszam kroku. Nie mogę jeszcze biec. To zbyt ryzykowne, ale poruszam się już znacznie szybciej. Ulica lśni wilgocią. Nie zauważyłam nawet, kiedy przestało padać. Wiem już, gdzie jestem. Rozpoznaję okolicę. Biegnę teraz szybko. Jak tylko mogę. W uszach słyszę bicie swego serca, a oddech sprawia mi ból. Wreszcie staję przed domem. Wszystkie okna są ciemne, poza jednym małym okienkiem w łazience. Czyżby nie spał? Może zauważył moją nieobecność i teraz się martwi. Szuka. Zastanawia się. Może nawet gdzieś dzwoni. Otwieram drzwi. Nie stawiają oporu. Dziwne. Przecież zawsze je zamykamy na noc. Jest cicho. Z piętra dochodzi delikatny szum. To woda leje się do wanny. O tak. To jest to, czego mi teraz trzeba. Nagle uświadamiam sobie, że jest mi bardzo zimno. Potem będę myśleć nad tym, co się dzieje. Muszę się rozgrzać. Wchodzę energicznie na piętro. W łazience wszystko zaparowane. Panuje przyjemne ciepło. Zaglądam do sypialni. Rozróżniam znajomy kontur w ciemności. On śpi jakby nigdy nic. Nawet nie zauważył, że mnie nie ma. Nieważne. Potem o tym pomyślę. Teraz idę do wanny. Zakręcam wodę i osuwam się w ciepłą ciecz. Jest mi tak dobrze. Bezpiecznie i błogo. Zamykam oczy. Czuję, że powoli opadam w niebyt.

\*\*\*

Otwieram oczy i robi mi się niedobrze.

Znowu budzę się w mrocznej i wilgotnej rzeczywistości. Zaczynam wpadać w panikę. Pytania kłębią się w mojej głowie. Leżałam w wannie. Wiem to na pewno. Jak to się stało, że znowu tu jestem? Zaczynam szybko oddychać i już po chwili czuję, że za chwilę stracę świadomość.

– Musisz się uspokoić – powtarzam sobie półgłosem. – Przestań tak szybko oddychać.

Postanawiam po chwili spróbować zrozumieć, co się dzieje. Gdzie jestem?

Wsluchuję się w odgłosy. Jest zupełnie ciemno. Nie mogę dostrzec własnej dłoni. Słyszę jednak dokładnie dźwięk, jakby krople wody uderzały miarowo i monotonicznie o dach. Jestem więc pod dachem. W jakimś pomieszczeniu. Jest wilgotno i czuć starym, zmurszałym drewnem. Wstaję powoli i bardzo ostrożnie. Nie mam pojęcia, czy nie uderzę w coś głową. Wytrzeszczam oczy, ale ciemność jest nieprzenikniona. Wyciągam przed siebie dłonie jak ślepiec i wolno, noga za nogą, posuwam się do przodu. Byle dotrzeć do ściany. Mając jakieś oparcie, powinno być łatwiej. Poza tym, skoro znajdę ścianę, powinnam też znaleźć drzwi.

Przecież jakoś tu się dostałam. Przesuwam bose stopy, prawie nie odrywając ich od podłogi. Staram się nie zwracać uwagi na jej wilgotną, mazistą powierzchnię. Wreszcie po całych wiekach docieram do jakiejś przeszkody. Przesuwam dłońmi we wszystkich kierunkach, aby ocenić, czy to ściana. Powierzchnia jest chropowata i prawie tak nieprzyjemna w dotyku jak podłoga. Nie poddaję się jednak ogarniającemu mnie coraz silniej uczuciu obrzydzenia. Po paru chwilach oceniam, że faktycznie to ściana. Bardzo dobrze. Jeśli będę się posuwać w jednym kierunku, wreszcie natrafię na drzwi. Zaczynam liczyć kroki, by odwrócić uwagę od ohydneho uczucia pod stopami. Raz, dwa, trzy...

Mija już jakiś czas, a ja wciąż nie mogę natrafić na wyjście. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa... Chce mi się płakać. Oczy mam jednak suche. Nie płynie z mich żadna łza. Boję się coraz bardziej, ale idę dalej. W pewnym momencie zdaję sobie sprawę, że krążę w kółko. Zatrzymuję się i nie zważając już na chropowatość ściany, osuwam się powoli na podłogę. Oddycham ciężko.

– Pomóż mi, proszę – słyszę swój szept. Zamykam oczy. Znowu ogarnia mnie ciemność jeszcze bardziej czarna niż ta, która mnie otacza. Zapadam w sen. Po chwili otwieram oczy. Nie mogę zasnąć. Jeśli teraz zasnę, już się nie obudzę. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem na pewno. Podnoszę się do pozycji stojącej i postanawiam za wszelką cenę odnaleźć wyjście. Nagle odkrywam, że wcale nie jest już tak ciemno, jak było do tej pory. Patrzę w górę. Coś jakby zaledwie zarys konturu. Widzę to na pewno. Wyteżam wzrok i staram się za wszelką cenę nie stracić tego z oczu. W tym momencie dociera do mnie straszna świadomość. Nie jestem w pomieszczeniu. Na pewno nie na powierzchni ziemi. Jestem w jakimś okropnym, drewnianym pudle, przykrytym od góry. Na moje szczęście pokrywa nie jest szczelna i w mojej głowie zaczyna powoli kiełkować nadzieja. Muszę tylko wspiąć się jakoś do góry i wydostać stąd jak najszybciej. Łatwo powiedzieć. Jak mam to zrobić? Odwracam się do chropowatej ściany i ku mojemu ogromnemu szczęściu odkrywam, że są tam niewielkie wgłębienia między deskami. Niezbyt duże, jednak pozwalające wesprzeć o nie stopę. Nie jest to łatwe, jednak po paru próbach udaje mi się odnaleźć równowagę. Boleśnie łamię po drodze dwa paznokcie. Nie zwracam na to uwagi. Potem się tym będę martwić. Już jestem u samej góry. Opieram się barkiem o pokrywę i z całej siły pcham, uważając, by nie stracić oparcia stóp. Udaje mi się odsunąć ją na taką szerokość, że jestem w stanie oprzeć się dłońmi o krawędź i podciągnąć do góry. Nareszcie siadam na brzegu i odpoczywam przez chwilę. Ogromną pociechę daje to, że nie ogarnia mnie już tak bezgraniczna ciemność. Co jakiś czas zza chmur wylania się księżyc, oblekając wszystko bladym światłem. Przyglądam się najpierw swoim dłoniom. Nie czuję bólu, chociaż

paznokcie złamały się bardzo głęboko. Zostawiam to teraz. Wstaję wreszcie i ruszam przed siebie. Teraz widzę, że jestem w lesie. Grube konary drzew i wilgotna ścieżka pod stopami wydają się dziwnie znajome. Nie chcę teraz o tym myśleć. Chętnie zaczęłabym biec, jednak nie chcę ryzykować upadku. Po niekończącym się marszu docieram wreszcie do miejsca, z którego widzę w oddali uliczne latarnie. Jestem tak szczęśliwa, jednak niepokój wzrasta z każdą chwilą. To też już gdzieś widziałam. Wychodzę z lasu na asfaltową ścieżkę. Po chwili jestem przed domem. Wchodzę do środka przez niezamknięte drzwi. Wszędzie jest ciemno. Idę na górę bardzo powoli. Nagle ogarnia mnie ogromne znużenie. Marzę tylko o tym, by zasnąć u boku męża. Staję w drzwiach sypialni i widzę go śpiącego. Dlaczego on się o mnie nie martwi? Nie widzi, że nie ma mnie obok? Jak to jest możliwe? Stoję tak i patrzę na jego równy oddech. Chcę, aby się obudził. Nic się nie dzieje. Oddycha równo, jednak jakby nieco mniej spokojnie. Nie tak równo i nie tak głęboko. Może mu się coś śni. Nie obchodzi mnie to! Chcę, aby się obudził!

– Kochanie – słyszę swój własny szept. – Kochanie, obudź się – powtarzam, wciąż szepcząc.

Poruszył się niespokojnie.

– Obudź się wreszcie! – Tym razem mój głos jest bardziej donośny. Chcę tylko, by się obudził i mnie przytulił. Nie mogę znieść, że sobie tak spokojnie śpi i tak spokojnie oddycha, gdy ja przeżywam ten niekończący się koszmar.

Nagle czuję, że wzbiera we mnie gniew tak ogromny, że muszę dać mu jakieś ujście. Inaczej oszaleję. Otwieram usta na całą ich szerokość i z całych sił krzyczę:

– OBUDŹ SIĘ WRESZCIE!

Chociaż jestem pewna, że to właśnie krzyczę, z moich rozwartych ust wydobywa się jakiś ohydny charkot. Ogarnia mnie taka słabość, że nogi uginają się pode mną. Zanim upadam na podłogę, widzę go, jak zrywa się z pościeli przerażony. Potem znowu następuje ciemność.

\*\*\*

Nieogolony i mocno rozczochrany mężczyzna w pomiętym dresie wysiadł powoli ze źle zaparkowanego, starego audi. W kąciку ust tlił się mu do połowy spalony papieros. Zatrzasnął głośno drzwi, ale nie zamknął samochodu. Stał, przez chwilę rozglądając się niepewnie i przeczesując dłonią włosy. Wreszcie wyrzucił papierosa na chodnik i rozgniatając go obcasem, ruszył w stronę dużych szklanych drzwi komisariatu. Zimny podmuch wiatru

delikatnie poruszył papiery leżące w nieładzie na biurku oficera dyżurnego. Ten ostatni zajęty był pisaniem czegoś w drobnych rubrykach jakiegoś formularza. Podniósł wzrok, niechętnie przerywając zajęcie i spojrzał w twarz nowo przybyłego.

– Słucham. W czym mogę pomóc? – Powoli odłożył długopis i zaczął przyglądać się nieogolonej twarzy z coraz większym zainteresowaniem. Miał wrażenie, że już ją gdzieś widział. Nic nie przychodziło mu jednak do głowy.

– Chciałem złożyć zeznanie – mężczyzna mówił tak cicho, że policjant musiał z całej siły wytyżać słuch. Spojrzał na niego ciekawie, sięgając po formularz.

– Proszę usiąść i poczekać. Zaraz do pana wrócę. – Policjant wstał i wyszedł do drugiego pomieszczenia. Po chwili stanął w drzwiach i gestem zaprosił go do środka. W pokoju był stół i dwa krzesła. Nie było na ścianie lustro, tylko w rogu pod sufitem wisiała mała kamera z mrugającym miarowo czerwonym światełkiem. Usiedli po przeciwnych stronach stołu. Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w kamerkę w milczeniu. Policjant nie poganiał go. Po chwili mężczyzna zaczął mówić. W miarę jak policjant notował zgłoszenie, wyraz jego twarzy zmieniał się. Przerwał pisanie i wyszedł do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po chwili powiedział:

– Możesz mi tu przysłać kogoś z wydziału zabójstw? Mam faceta, który właśnie wyznał, że zamordował swoją żonę.

Po paru godzinach ekipa złożona z policjantów w mundurach, detektywów po cywilu, lekarza i kilku ekspertów od zabezpieczania śladów skupiała się wokół miejsca szczelnie zakrytego drewnianą pokrywą.

– To na pewno tu? – zapytał wysoki mężczyzna w cywilu, rozglądając się niepewnie.

– To miejsce wskazał nam podejrzany – odpowiedział młody policjant, zaglądając w swoje notatki.

– Okej. Zobaczmy, co tam mamy. – W tej samej chwili trzech policjantów zaczęło powoli odkładać śliskie deski na bok, odsłaniając głęboki na dwa metry dół. Jego brzegi wyłożone były próchniejącym drewnem. Wokół nie było nic oprócz starych drzew i krzewów.

Było już dobrze po południu i nikłe światło zachodzącego słońca z trudem przebijało się przez gęste drzewa. Nie można było dostrzec, co skrywa czarna dziura w ziemi.

– Dajcie tu trochę więcej światła! – zawołał mężczyzna w cywilu. Po chwili postawiono przy nim mocną lampę na żółtym stojaku i snop białego światła skierowano wprost do odkrytego dołu. Wszyscy stanęli w bezruchu, wpatrzeni w to, co ukazało się w białym blasku reflektora. Na dnie, wśród zeschniętych liści i błota, leżało ciało kobiety. Była w białej koszuli nocnej, a jej nagie kolana pokryte były plamami zaschniętej, brunatnej krwi.

- Przyznał się? – zapytał swojego kolegę detektyw, gdy siedzieli już w samochodzie.
  - Tak – odrzekł tamten. – Powiedział, że już dłużej nie wytrzyma.
  - Wyrzuty sumienia?
  - Coś w tym stylu. Powiedział, że od tamtej nocy jego żona nie dawała mu spokoju i odwiedzała go każdej nocy, prosząc o pomoc.
  - Czyli chory facet. – Detektyw westchnął zrezygnowany. – Pewnie uznają jego niepoczytalność i uniknie odpowiedzialności.
- Samochód ruszył powoli, zostawiając w tyle krzątającą się ekipę policyjnych techników.



# **W** BLASKU KSIĘŻYCA

Łukasz Marek Fiema

Zaczynało zmierzchać, kiedy we mgle, pomiędzy ociekającymi deszczem drzewami, dostrzegli majaczące światła. Karczma była już blisko. Wędrowcy coraz wyraźniej widzieli ciepły, żółty blask bijący z okien. Rozmokły leśny trakt wiódł głębokim wąwozem wprost ku przyjaznej oazie ciepła, przywodzącej na myśl rozgrzany kominek, pachnącą pieczeń i wygodne łóżko. Przyspieszyli kroku.

– Marzy mi się dzban grzanego wina z korzennymi przyprawami – powiedział z rozrzewnieniem Albrecht, przerywając tym samym trwającą od dłuższego czasu ciszę. – Zapewne jednak nie dostaniemy tu nic prócz podłego piwa, niewiele tylko lepszego od sików.

Drugi z wędrowców w odpowiedzi mruknął coś niewyraźnie, drapiąc kilkudniowy zarost.

– Wybacz mi, przyjacielu – Albrecht kontynuował swoje rozważania – zapomniałem, że ostatnio postanowiłeś przepłukiwać swe gardło jedynie wodą. Przyznam, iż wielkie to poświęcenie z twojej strony.

Jassar zwrócił swą śniadą twarz ku pochmurnemu niebu, jak gdyby nadaremnie próbując odszukać słoneczną tarczę skrytą gdzieś za skłębioną, moką zasłoną.



– Allah zabrania – rzucił krótko.

– Gorliwie przestrzegasz postów – zauważył Albrecht.

Jassar skinął głową.

– Korzyść, jaką w tym dostrzegam, to jedynie zaoszczędzenie kilku talarów, które przeznaczyć mógłbyś na jakąś zacniejszą wieczerzę.

Jassar spojrział na niego i skrzywił się, ukazując na moment białe zęby.

– Posty i umartwienia owszem, ale chętną dziewczką niezgorszej urody byś chyba nie wzgardził? – dociekał Albrecht, któremu dopiero po chwili przyszło do głowy, że swym pytaniem może rozeźlić towarzysza. Wiedział, że był on z natury spokojny, lecz wyprowadzony z równowagi mógł zrobić coś, czego by później szczerze żałował.

– Nigdy w życiu.

Tak sobie właśnie gawędząc, przeszli jeszcze kilkaset kroków, aż dotarli do karczmy. Stary, kryty strzechą budynek wyłonił się zza zakrętu akurat wtedy, gdy krople deszczu zaczęły gęsto uderzać w liście drzew. Stał na niewielkiej polanie, wciśnięty pomiędzy dwa potężne dęby. W zapadającym mroku las, który gęstniał wokół niego, wyglądał jak ściana szarości, pełna niewyraźnych kształtów.

Albrecht pchnął masywne drzwi i przestąpił próg. Uderzyło ich ciepłe powietrze przesiąknięte wonią palonego jałowca oraz pieczonego mięsiwa. Wnętrze przestronnej izby rozjaśniał blask grubych, woskowych świec ustawionych na szerokich ławach z nieheblowanego drewna. W dużym kominku trzaskały płonące drwa. Rozejrzawszy się, dostrzegli w kącie izby trzech ludzi grających w kości i popijających z glinianych kufli. Rzut okiem na ich ubiór i rynsztunek pozwalał stwierdzić, iż byli to najpewniej najemni knechci. Ci spojrzeli na przybyłych z zainteresowaniem, po czym wrócili do swej rozrywki. Oprócz knechtów schronienie w karczmie znaleźli też dwaj bogato odziani ludzie wyglądający na kupców lub poborców podatkowych. Siedzieli naprzeciwko siebie, rozprawiając o czymś gorączkowo. Pomiędzy nimi leżał gruby plik papierów oraz kilka sakiewek. Pochłonięci rozmową nawet nie zwrócili uwagi na wchodzących.

Nie było tu nikogo więcej... jeśli nie liczyć chudego jegomościa w kiepskim, połatanym kubraku i zabłoconych płóciennych spodniach. Siedział tam, gdzie rozlewał się półmrok, pomiędzy stertą beczek a ścianą z dębowych bali. Dłoń trzymał kurczowo zaciśniętą na trzymanym kuflu, wzrok zaś miał wbity w stojącą przed nim miskę. Gdy podniósł głowę, spoczęło na nich trwożliwe spojrzenie pustych, wodnistych oczu. Po chwili ponownie znieruchomiał nad resztkami posiłku.

Rozwiesiwszy mokre płaszcze na ławach w pobliżu kominka, ruszyli ku szynkwasowi zastawionemu mnóstwem dzbanów, kufli i pustych cynowych talerzy. Pęki suszonych ziół, zwisające nad tym malowniczym rozgardiaszem, wzbogacały pomieszczenie o dodatkowe, miłe dla nozdrzy zapachy. Właściciela tutaj nie było, ale z przyległego pomieszczenia, do którego drzwi były nieco uchylone, dobiegało pobrzękiwanie garnków i odgłosy krzątaniny.

– Karczmarzu! – krzyknął Albrecht. – Strudzeni podróżni proszą o strawę! Dajcie no tutaj dzban piwa i dwie miski kaszy, a nie żałujcie skwarków!

Nie musieli długo czekać. Krzątanina ustała i za chwilę pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna z rudą brodą, gęstą czupryną tej samej barwy oraz krzaczastymi brwiami. Obrzucił przybyszy chłodnym spojrzeniem, wycierając ręce w lniany fartuch, który miał na sobie.

– Nocleg pewnie też chcecie? – zapytał szorstko, patrząc na nich podejrzliwie. Wydawał się być w kiepskim nastroju i z pewnością wołałby, aby czym prędzej sobie stąd poszli.

– A owszem, nie inaczej, dobry człowieku – potwierdził Albrecht, szczerząc zęby w uśmiechu, niezrażony nieprzyjazną postawą właściciela przybytku.

– Pieniądze macie?

Jassar, stojący nieco z tyłu i przysłuchujący się rozmowie, sięgnął do sakiewki. Chwilę pogrzebał w niej, po czym rzucił na szynkwas dużą, srebrną monetę. Karczmarz sięgnął po nią z błyskiem w oku.

– Gości dziś wielu, ale mam jeszcze na poddaszu wolną izbę – powiedział. – Każę córce przygotować posłania, a tymczasem spocznijcie, bo pewnie jesteście strudzeni podróżą. Zaraz będzie kasza, a i mięsiwo jakieś się znajdzie. Gdybyście zaś potrzebowali suchych ubrań, wyszukam coś dla was.

Śniadoskóry towarzysz Albrechta wyciągnął kolejną monetę, obrócił ją z wylewnym uśmiechem w palcach i rzucił karczmarzowi. Ten zręcznie chwycił zapłatę i schował do kieszeni, po czym pośpiesznie wyszedł.

Usiedli. Deszcz zawzięcie smagał grube okienne szyby, w których spokojnie odbijały się płomienie świec. Chwilami zrywał się wiatr, wściekle świszczący wokół karczmy, od kominka było jednak przyjemne, usypiające ciepło. Czekając, wymienili kilka nieistotnych uwag na temat parszywej pogody, ale żadnemu z nich nie chciało się rozmawiać. Po całodziennej podróży myśleli tylko o jedzeniu i spaniu. Gospodarz niebawem zjawił się ponownie. Postawił przed nimi pękaty dzban oraz dwa kufle. Za chwilę przyniósł jeszcze

dwie misy wypełnione kaszą oraz tacę, na której spoczywał solidny, apetycznie pachnący kawał pieczonego mięsa.

– Dla mnie wody przynieście studziennej – poprosił Jassar

Karczmarz skrzywił się. Po jego minie nie dało się stwierdzić, czy miał być to uśmiech pobłażania, czy też raczej grymas niesmaku, wywołany tą niecodzienną jak widać prośbą. Nic jednak nie odpowiedział, tylko czym prędzej przyniósł im jeszcze jeden, nieco mniejszy dzban.

– Kiedy będziecie chcieli już iść spać, zawołajcie mnie – powiedział, ocierając czoło.  
– Zaprowadzę was na górę i pokażę izbę. Wygód tu wielkich nie mam, ale zaręczam, że po trudach podróży dobrze się wyśpicie.

Albrecht skinął głową, popatrzył za odchodzącym i zabrał się do jedzenia. Jassar, nie namyślając się wiele, również sięgnął po swoją miskę. Wkrótce zgodnie stwierdzili, że kasza jest nieco przypalona, ale mimo wszystko posiłek był znacznie lepszy, niż mogli się tego spodziewać po przypadkowej, przydrożnej karczmie. Jedli w milczeniu, od czasu do czasu wymieniając krótkie uwagi na temat innych gości. Potem zaczęli przysłuchiwać się rozmowom.

Owi poważni, dobrze odziani mężczyźni istotnie okazali się kupcami. Ich zajęciem był handel jedwabiem i przyprawami korzennymi, a zmierzali właśnie ku południowym granicom księstwa, gdzie oczekiwać na nich miała karawana wioząca towary z Arabii. Narzekali na wysokie opłaty celne, pogodę i niewygody podróży. Szczególne obawy zaś żywili co do bezpieczeństwa szlaków, wymieniając pogłoski o grasujących w okolicy bandach rabusiów. Zastanawiali się, czy nie trzeba będzie zatrudnić dodatkowych ludzi do ochrony transportu, a jeden z nich zaczął przy tym zatroskanym głosem wymieniać sumy, jakie należy na ten cel wyłożyć.

O zbójcach rozprawiali również trzej knechci, jednak ich nastawienie do całej tej sprawy było zgoła odmienne. Zaśmiewali się, popijając z kufli i tocząc kości po stole. Jak się bowiem okazało, za ich sprawą kilku bandytów od rana wisiało już na gałęzi przydrożnego drzewa, a wśród nich również herszt miejscowych zbójców, niejaki Herman zwany Okrutnikiem. Nagroda zaś, jaką książę elektor wyznaczył za tegoż opryszka, była na tyle wysoka, że radowali się oni korzyścią odniesioną z dobrze spełnionego obowiązku. Humor najwyraźniej im dopisywał, bo opróżniwszy trzeci dzban piwa, ochryplymi głosami śpiewać zaczęli sprośne żołnierskie piosenki. Jassar nastawił ucha, ale połowy słów nie zrozumiał. Poprosił więc, by przyjaciel wyjaśnił to i owo, co Albrecht uczynił z ochotą.

Chwilami z kuchni dobiegały siarczyste przekleństwa karczmarza wytykającego córce, że jest bezwstydną ladacnicą, jednak nie sposób było usłyszeć, o co dokładnie chodziło. Gniew gospodarza najwyraźniej nie ominął również i parobka, którego dla odmiany określił on mianem darmozjada, wieprza i psiego syna. Krótka szamotanina oraz miarowy łomot pozwalały przypuszczać, że chłopak za swe przewinienia otrzymywał właśnie zapłatę kilku kijów. Długo to nie trwało, gdyż zataczając się, czmychnął do izby, przemknął przez nią i wybiegł na zewnątrz, prosto w zacinający deszcz. Albrecht zarechotał, porozumiewawczo spoglądając na Jassara, któremu zebrało się właśnie na ziewanie. Wymieniając spostrzeżenia, wspólnie spróbowali odgadnąć, jaka była przyczyna całego tego zamieszania, a do głowy przychodziły im najprzeróżniejsze pomysły.

Jedynie o chudym, niechlujnie ubranym człowieku nie można było wiele powiedzieć. Nie zwracał na nic uwagi, zapatrzony w brudny stół. Tylko kiedy w pobliżu huknął grzmot, a później w kuchni z łoskotem runęła sterta naczyń, podniósł pośpiesznie głowę i rozejrzał się. Jego strwożone spojrzenie wzbudzało współczucie. Zachowywał się tak, jak gdyby przez długi czas żył w ciągłym strachu. Trudno jednak było określić, czego się bał i jakież to wydarzenia odcisnęły w nim tak bolesne piętno, że w tym bezpiecznym, wręcz przytulnym miejscu, wśród ludzi niezwracających na niego uwagi, mimowolnie szukał zagrożenia.

Gdy zjedli, Albrecht krzyknął na karczmarza, aby ten przyniósł jeszcze dzban piwa, zaś Jassar wydobyl ze swojej sakwy dużą zdobioną fajkę sprośnego kształtu oraz woreczek tytoniu. Nabił ją, skrzesał ogień i oparł się wygodnie o ścianę, wypuszczając kłęby aromatycznego dymu, którego zapach przywodził na myśl jakieś południowe kadzidło. Siedzieli jeszcze przez jakiś czas w milczeniu, słuchając szmeru spływających strumieni wody. Nawałnica zelżała, burza odeszła gdzieś na wschód, ale deszcz nieustannie padał. Trudy całodziennego podróży dały o sobie w końcu znać, a ciepło bijące od kominka i monotonne szum deszczu wzmagały senność. Ziewając, udali się więc po skrzypiących drewnianych schodach na górę, do izby, którą wskazał im gospodarz.

\*\*\*

Musiała być głęboka noc, bo zachmurzonego nieba nie rozjaśnił jeszcze słaby blask przedświt, gdy Albrecht został wyrwany z niespokojnego snu. Mógłby przysiąc, że obudził go jakiś hałas rozlegający się tuż obok. Leżąc przez chwilę w bezruchu, stwierdził jednak, że w karczmie panuje spokój, którego nie przerywał żaden podejrzany odgłos. Dla pewności zaczął jednak nasłuchiwać. Słabnący deszcz wciąż uderzał w okna, Jassar mamrotał coś cicho

przez sen, a spod podłogi wydobywało się chrapanie śpiących niżej ludzi. Musiało mu się więc wydawać. Obrócił się na drugi bok, zamierzając spać dalej, ale wtedy ponownie coś usłyszał. Zza ściany dobiegł go niezrozumiały bełkot i histeryczny szloch.

Na poddaszu znajdowała się jeszcze jedna niewielka izba przylegająca do tej, w której spali. Zapewne spędzał w niej noc inny podróżny, dla którego także nie starczyło już miejsca gdzie indziej. Właśnie stamtąd wydobywały się owe niezbyt głośne, ale uporczywe odgłosy.

Czekał jeszcze przez chwilę, nasłuchując, później zaś sięgnął pod łóżko. Chwycił po omacku masywny, żołnierski but i rzucił nim w stronę, z której dobiegało mamrotanie przyjaciela. Musiał celnie trafić, bo Jassar natychmiast zerwał się z siennika, a towarzyszący temu łomot i lawina przekleństw sugerowały, że uderzył głową w niski, pochyły sufit.

– Czemuś to uczynił? – jęknął.

– Uspokój się i posłuchaj! – wyszeptał Albrecht.

Obydwaj zaczęli wsłuchiwać się w odgłosy dochodzące z izby obok. Ktoś bezustannie zawodził, na przemian to szlochając, to zanosząc się śmiechem. Wkrótce dobiegł ich też dźwięk szurania, jak gdyby ciągnięto tam coś ciężkiego po podłodze. Próbowali cokolwiek zrozumieć z tego, co słyszeli, ale pomimo usilnego wyężania słuchu docierały do nich jedynie pojedyncze, urwane słowa, których sensu nie mogli się żadną miarą doszukać.

– Jakiś nieszczęśnik nie daje nam spać – stwierdził w końcu Jassar. – Pójdźmy do niego i poprośmy, aby się ulitował nad zmęczonymi podróżnymi i był nieco ciszej. Przynajmniej do piania kogutów.

– Ten biedak jest najwyraźniej mocno pijany – odmruknął Albrecht.

– A może komu dzieje się tam jaka krzywda?

– Niech no tylko dorwę tego nieszczęśnika! Porachuję mu wszystkie kości!

Ostrożnie, aby nie spowodować hałasu, wstali ze skrzypiących łóżek. Albrecht na palcach podszedł do drzwi i przekręciwszy powoli klucz, uchylił je nieco. Z korytarzyka padło drżące światło świecy zatkniętej w wysokim, ozdobnym świeczniku stojącym tuż przy kręconych schodach wiodących w dół. Wystawił głowę, rozglądając się. W tym samym czasie Jassar założył pantofle z miękkiej skóry, a następnie sięgnął pod swą haftowaną poduszkę z pomponami i wyciągnął zakrzywiony sztylet z rękojeścią z kości słoniowej wysadzanej turkusami, który swego czasu otrzymał w podarunku od tureckiego sułtana.

Wyszli na zatopiony w półcieniu korytarzyk. Albrecht ukradkiem zbliżył się do sąsiednich drzwi, a ponieważ nie dostrzegł w nich zamka, powoli nacisnął mosiężną klamkę, przekonany, że bez trudu je otworzy. Drzwi wprawdzie ustąpiły, ale zaledwie na cal. Naparł na nie lekko, jednak nic to nie dało.

– Zabarykadował się – szepnął do Jassara, który stał tuż za nim ze sztyletem w dłoni.  
– Spróbujmy razem.

Wspólnie pchnęli drzwi, które trzeszcząc i skrzypiąc, otwarły się na tyle, by mogli wejść do środka. Wewnątrz było ciemno. Wszelkie odgłosy ucichły, zaś panująca cisza wzbudziła w nich niepokój. Jassar precyzyjnie się pierwszy, trzymając w prawej ręce sztylet, a w lewej świecznik zabrany z korytarzyka. Albrecht, nie czekając, ruszył za towarzyszem.

Jak się okazało, drzwi zastawione były ciężką, dębową komodą, którą ktoś z wielkim mozołem odsunął od ściany. Jassar podniósł wyżej świecznik. Blask wątego płomienia wydobył z półmroku wnętrze izby, któremu mogli teraz dokładniej się przyjrzeć. Zobaczyli, że całą podłogę pokrywają dziwne znaki oraz przecinające się linie wyrysowane białą kredą. Te najbliższe zdążyli już rozmazać swymi stopami. Starannie nakreślone wzory, których znaczenia nie byli w stanie pojąć, biegły od progu aż do prostego łóżka stojącego po przeciwnej stronie. Siedzącego na nim w człowieka, skurczonego, trwającego w bezruchu z głową opartą o ścianę, dostrzegli dopiero po chwili. Był to ów milczący podróżny, którego wieczorem widzieli siedzącego samotnie przy jednej z ław. Siedział półnagi, w pocerowanych, znoszonych spodniach, i patrzył na nich tępym wzrokiem, poruszając ustami, jakby próbował coś powiedzieć, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

Spojrzeni po sobie, nie bardzo wiedząc, jak dalej postąpić.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytał w końcu Jassar, odstawiając świecznik.

Ponieważ zapanowała cisza, zrobił krok w kierunku nieznanego. Ten wówczas wykrztusił z siebie kilka niewyraźnych słów, potrząsnął głową, a potem znów zamilkł, chowając twarz w dłoniach.

– To na nic – westchnął Albrecht. – Całkiem zwariował, bo nic do niego nie dociera. Bogowie odebrali mu rozum. Zastanawia mnie, jak tutaj w ogóle trafił. Myślisz, że ktoś go zostawił?

Jassar jednak nie słuchał. Przyklęknął i z zainteresowaniem zaczął oglądać symbole narysowane na brudnych deskach. W skupieniu wodził palcem po białych liniach, mrucząc coś do siebie.

Albrecht wzruszył ramionami. Ziewnął.

– Rozumiesz te znaki? – zapytał w końcu, widząc przyjaciela całkowicie pochłoniętego badaniem podłogi. Był zły, że wyrwano go ze snu i w tej chwili pragnął już tylko wrócić do łóżka, by w spokoju zasnąć, a zanosilo się na to, że tej nocy oka już nie zmruży.

– Widziałem kiedyś podobne w ruinach, które odsłonił pustynny wiatr – szepnął Jassar. – Na południu od Aleksandrii, tam, gdzie pod piaskiem leżą zapomniane miasta. Bardzo stare miasta. Lepiej ich nie oglądać.

– Dlaczego?

– Są przeklęte.

Albrecht nic nie odpowiedział, tylko westchnął zrezygowany. Podczas gdy Jassar wciąż badał symbole, sam rozejrzał się po izbie. Prócz komody oraz łóżka nie było tu nic więcej. Pod małym oknem umieszczonym w pochyłym suficie dostrzegł niedbale rzuconą sakwę, zaś na wbitym obok haku wisiał zabłocony płaszcz. Usprawiedliwiając się w myślach tym, że przetrząśnięcie bagażu nieznanego pozwoli dowiedzieć się o nim czegoś więcej, bezceremonialnie wysypał zawartość sakwy. Było tam tylko nieco brudnych ubrań, kawałek chleba owinięty w białe płótno, nadgryziona cebula, hubka z krzesiwem oraz cynowa miska. Rychło uznał, iż podróżny nie miał przy sobie nic godnego uwagi. Przeszukując płaszcz, znalazł również skórzaną sakiewkę zawierającą kilka złotych florenów. Starając się oddalić narastające wyrzuty sumienia, ukradkiem schował ją do kieszeni, upewniając się wcześniej, że towarzysz nie patrzy.

– Chodźmy stąd – powiedział nagle Jassar, wstając z podłogi. – Mam złe przeczucia.

Albrecht prychnął i zmarszczył brwi.

– Jakieś malunki na podłodze wystarczyły, byś zrobił się strachliwy jak zając – rzucił drwiąco.

– W rzeczy samej, trochę się lękam.

– Gusła i czary – mruknął pod nosem Albrecht, spluwając pod nogi. – Nie wierzę w te bzdury.

Odemknięte drzwi skrzypnęły cicho, a płomień świecy zadrżał niespokojnie, muśnięty powiewem zimnego powietrza. Lodowaty podmuch, który przemknął przez izbę, był ledwo wyczuwalny, sprawił jednak, że ciarki przebiegły im po plecach. Obydwaj doświadczyli osobliwego uczucia czyjejś obecności, lecz żaden nie wypowiedział ani słowa. Spojrzeli na siebie. Przez krótką chwilę każdy z nich próbował wyczytać z oczu towarzysza, czy on również odniósł to samo dziwne wrażenie, że przebywa tutaj ktoś jeszcze.

– Ogłuszmy go albo zakneblujmy i wracajmy do łóżek – zaproponował w końcu Albrecht, przerywając kłopotliwą ciszę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przyjaciel może wziąć to na poważnie. Mrugnął więc do niego porozumiewawczo, chociaż nie był w nastroju do żartów.

Nieznajomy, przez cały czas siedzący w bezruchu, z twarzą przyciśniętą do podciągniętych kolan, wrzasnął nagle piskliwym głosem, machając przy tym gwałtownie rękami, jak gdyby chciał coś od siebie odepchnąć. Śmiertelnie przerażonym wzrokiem spoglądał przed siebie, w ciemność skrywającą przeciwległą ścianę.

– Zabierzcie ich... – zaskrzeczał ochryple. – Na rany Chrystusa! Zabierzcie ich ode mnie!

– Bądź spokojny, dobry człowieku – odpowiedział Albrecht, starając się, aby jego słowa zabrzmiały łagodnie i przekonująco. – Nie zrobimy ci krzywdy.

Wychudły podróżny jednak ani myślał się uspokoić. Było to zresztą zrozumiałe, gdyż dwóch zarośniętych drabów, którzy naszli go w nocy, z całą pewnością nie wzbudzało zaufania. Tym bardziej, że jeden z nich demonstracyjnie ścisnął szyję.

Dopiero po chwili mogli stwierdzić, że nieznajomy nie zwraca na nich większej uwagi, ciągle drąc się w niebogłosy. Za chwilę wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze. Zaczął rzucać się na wszystkie strony, waląc głową w ścianę. Obserwowali ze zdumieniem i przerażeniem, jak rozpaczliwie wygina swe ciało, niczym uwięziony w jakimś niewidzialnym uścisku, z którego daremnie próbuje się wyzwolić.

Albrecht pierwszy pokonał odrętwienie. Przyskoczył do chudzielca i mocno złapał go za nadgarstki, nie chcąc, by ten w napadzie szału zrobił sobie krzywdę. Był zaskoczony desperacją oraz siłą, z jaką ów niepozorny człowiek próbuje się wyrwać. Jassar natomiast z szeroko otwartymi ustami patrzył na to, co się dzieje. Dopiero po chwili ruszył się, aby pomóc przyjacielowi. Przytrzymał głowę nieznajomego i podsunął pod nią poduszkę, zaś między zęby wcisnął mu rękojeść swego sztyletu, aby ten nie odgryzł sobie języka.

Na karku unieruchomionego, lecz wciąż szarpiącego się człowieka wytrysła czerwona nitka krwi, leniwie spływającej po szyi. Krew sączyła się kropla po kropli, wsiąkając w lniane prześcieradło, lecz żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. Nie dostrzegli również szkarłatnej plamy, która rozlała się pod jego łopatką, szybko rosnąc. Dopiero kiedy z ramienia nieznajomego obficie popłynęła krew, tryskająca z dwóch wyszarpanych ran, obydwaj to dostrzegli. Okaleczenia pojawiły się nagle. Otworzyły się na gładkiej skórze i przypominały ślady ostrych zębów. W ciągu jednej strasznej chwili zrozumieli, dlaczego ów człowiek krzyczał głosem pełnym bólu, rzucając się jak zwierzę złapane w potrzask. Coś, czego nie byli w stanie ujrzeć, wściekle kąsało nieszczęśnika, który brocząc krwią, wył nieludzko, oszalały z przerażenia.

Widok ten sprawił, że obydwaj równocześnie odskoczyli od łóżka. Żaden z nich nie był przygotowany na to, co właśnie ujrzeli. Albrecht, blady jak ściana, wytrzeszczając oczy,



obserwował rozgrywającą się przed nim scenę, zaś Jassar, zasłaniając twarz rękami, począł wycofywać się w stronę uchylonych drzwi. Robiąc kolejny chwiejny krok, potrącił stojący za nim świecznik, który z głuchym łoskotem uderzył w drewnianą podłogę.

Płomień świecy liznął brudne deski, zadrżał i zgasł. Izbę zalał półmrok, w którym przez chwilę nic nie mogli dostrzec. W nocnej ciemności widzieli jedynie zarys człowieka na łóżku, który podrygiwał jak kukła, rżąc i krztusząc się własną śliną. Równocześnie z dołu dobiegł ich rumor oraz niewyraźne okrzyki. Hałas widać zbudził innych podróżnych, którzy zaniepokojeni pragnęli sprawdzić, co się dzieje.

Rzucili się po omacku w stronę drzwi, wpadając przy tym na siebie. Chwilę trwała szamotanina, bo każdy z nich chciał jak najszybciej znaleźć się na korytarzu. Pierwszy zdołał to zrobić Jassar. Albrecht, zanim uczynił to samo, zerknął jeszcze za plecy. Spomiędzy chmur wypłynął właśnie księżyc. Jego blada poświata rozjaśniła izbę, wydobywając z ciemności obraz żywcem wyjęty z sennego koszmaru.

W srebrzystych smugach światła kłębiła się mgła, delikatna jak muślinowe zasłony. Jej pasma gęstniały wokół łóżka, otaczając leżącą na nim postać. Wytężył wzrok, gdyż nie był pewien, co widzi. We mgle dostrzegł bowiem niewyraźne kształty, pochylające się nad znieruchomiałym ciałem. Wyglądały jak cienie chudych, pokracznych karłów. Trzęsąc się, wypadł na korytarzyk, zatraskując drzwi.

Kiedy oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że z dołu dochodzi odgłos ostrożnych kroków, któremu towarzyszyły szepty, skrzypienie schodów i coraz mocniejsze światło latarni. Otarł pot z czoła. W głowie krążyły mu ponure myśli. W izbie obok najpewniej leżały zakrwawione zwłoki, a ci, którzy je znajdują, nie będą czekać na wyjaśnienia. O ile karczmarz oraz kupcy raczej umkną, niż spróbują ich zatrzymać, to trzej knechci zapewne zechcą schwytać i powiesić domniemanych morderców. Przy próbie ucieczki zaś bez wahania podziurawią im plecy strzałem z rusznicy albo garłacza. Nie można więc było tracić czasu, tylko należało niezwłocznie opuścić karczmę i znaleźć się jak najdalej stąd.

Jassar chyba wpadł na ten sam pomysł, bo miał już przypasany miecz i kończył właśnie zakładać buty. Gdy tylko Albrecht do niego dołączył, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Nie odzywając się, wspólnym wysiłkiem podsunęli pod nie komodę. Kroki nadchodzących ludzi były coraz głośniejsze. Niebawem trzy lub cztery osoby zaczęły chodzić po poddaszu, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Zebrali już bagaże i byli gotowi do drogi, gdy drzwiami wstrząsnęły natarczywe uderzenia. Ktoś walił w nie pięścią, nie szczędząc sił.

– Otwierać! – rozległ się ochryply głos.

Stali już wtedy przy oknie, a chłodne, pachnące lasem powietrze owiewało ich twarze. Księżyc na powrót zniknął za chmurami, lecz było dość jasno, bo nocne ciemności powoli ustępowały. Zaczynało świtać.

Zeskoczyli, spadając w gęstwinę wysokiej trawy. Po przebiegnięciu kilkunastu kroków, kiedy dotarli między pierwsze drzewa, przystanęli i spojrzeli za siebie. Od strony karczmy niósł się łoskot miarowych uderzeń oraz wściekle okrzyki. Nikt ich jeszcze nie ścigał, a knechci wciąż próbowali sforsować drzwi. Uciekinierzy najwyraźniej mieli jeszcze trochę czasu, aby bez pośpiechu się oddalić.

Jassar zaklął po swojemu, a potem westchnął ciężko.

– O co chodzi? – zapytał Albrecht z wyrzutem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wydobyl z sakwy bukłak mocnej, gdańskiej gorzałki. Następnie podał go towarzyszowi. Ten zaś przyjął go bez słowa, lecz z widoczną wdzięcznością i pociągnął solidny łyk.

– Zostawiłem moją poduszkę – odezwał się w końcu.

Byli dobre ćwierć mili od tego miejsca, kiedy grupa uzbrojonych ludzi wpadła w końcu do izby, stwierdzając ze złością, że wewnątrz nie ma żywego ducha. W tym samym czasie Jassar i Albrecht, brodząc po kolana w paprociach, zagłębiali się już w mokry od deszczu las, starając się zapomnieć o tym, co tej nocy ujrzeli.

rys. Roman Panasiuk



# WSZYSTKO WEDŁUG PLANU

Bogumił Van den Broeck

Wrócił do domu przed północą.

Zamknął za sobą drzwi, odłożył klucze na szafkę z butami najciszej, jak umiał, i na palcach ruszył do kuchni. Było kompletnie ciemno. Przykucnął przy lodówce i ostrożnie ją otworzył. Nie chciał nikogo obudzić. Zaleciało słodkim odorem zepsutego mięsa. Na środkowej półce leżał żółty, ociekający kawał wołowiny. Przesunął go dłonią i sięgnął głębiej, aż jego palce natrafiły na zimny metal. Podniósł się z kłęczek i przez chwilę stał bez

ruchu w ciemności. Zza uchylonego okna dobiegały do niego odgłosy miasta, szum przejeżdżających samochodów, szczekanie wyjątkowo zajadłego psa z bloku z naprzeciwka. Zamknął oczy, odetchnął głęboko, relaksując się. Zacisnął palce na drewnie. Było zimne. Nie tak zimne jak stal, oczywiście, ale zdecydowanie chłodne.

Decyzję podjął już jakiś czas temu, jednak przez ostatnie tygodnie nie potrafił wprowadzić swojego planu w życie. Biorąc pod uwagę, co zamierzał zrobić, trudno byłoby komukolwiek mu się dziwić. Musiał wielokrotnie odegrać w głowie wszelkie prawdopodobne scenariusze, szukając w nich dziur, potencjalnych problemów. W pracy, od momentu, w którym w końcu postanowił, co zrobi, szefostwo często zwracało mu uwagę, że wydaje się nieobecny, zatopiony w myślach, jakby mentalnie przebywał w zupełnie innym miejscu. Kwitował uwagi niemrawymi skinieniami głowy. Nie bał się o stratę pracy.

W końcu finanse nie miały już dla niego żadnego znaczenia.

Usłyszał delikatny odgłos szurania dobiegający z sypialni. Skryty w mroku, nie poruszył się. Pokój z łóżkiem oddzielała od kuchni ściana, więc o ile Laura nie zamierzała na przykład iść do łazienki, był bezpieczny.

Pstryknęło światło, zobaczył jego lunę na korytarzu, ale żaden odgłos nie wskazywał na to, by dziewczyna wstała z łóżka. Usłyszał dźwięk lekko zgniatanego plastiku, potem ssania. Następnie cichutki stukot odstawianej na podłogę butelki, najprawdopodobniej z wodą. Światło zgasło.

Odczekał kilka minut, a potem, najciszej jak umiał, zaczął skradać się w stronę sypialni. Wyrzwał zza rogu.

Oczy przyzwyczyły mu się już do ciemności. Widział ją, obłą, spokojnie i lekko unoszący się kształt pod cienką kołdrą. W pokoju pachniało jej perfumami, na oparciu krzesła wisiały niedbale rzucone stanik i majtki, na szafce stał talerz z niedojedzonymi truskawkami w śmietanie i kubek po herbacie, z przewieszonym przez krawędź listkiem od brzoskwiniowego liptona. Czekał. Oddychała równo, miarowo. Spała. Ale i tak czekał. Musiał być ostrożny. Nie chciał jej obudzić. Nie mógł pozwolić na to, by doszło do jakiegokolwiek konfrontacji. Chyba nie dałby wtedy rady. Nie zniósłby jej spojrzenia. Wykrzywionej w grymasie strachu twarzy. Wyrazu niedowierzania w oczach.

To musiało spaść na nią znienacka, jak sen, taki, w który zapadasz, będąc skrajnie wyczerpanym. Taki, który uderza cię jak grom, powala w ułamku sekundy i leżysz bez świadomości, aż budzą cię poranne promienie słońca i odgłos gotującej się wody na kawę.

Wizualizował sobie ten moment setki razy. Zrobi to szybko i zdecydowanie. Nie zawaha się, użyje nawet więcej siły, niż sądzi, że trzeba, po prostu by być pewnym, że nie będzie musiał niczego poprawiać.

Przejdzie kilka kroków cicho, a kiedy będzie już wystarczająco blisko, doskoczy do niej w jednym susie.

Leży na brzuchu, na boku czy na plecach? Obserwował zakryty kształt, szukając wskazówek. Dostrzegł dwie lekko zarysowane pod kołdrą kopuły piersi, widział, jak unoszą się w sennych oddechach. Miał szczęście.

Teraz albo nigdy.

Zrobił pierwszy krok. Ocenił odległość. Za daleko. Kolejny krok. Jeszcze trochę. Teraz jest idealnie. Na czole perlił mu się pot. Zacisnął dłoń na drewnianej ręczce wyostrzonego noża do mięsa i zawarł szczęki. Zgarbił się, przygotowując się do skoku, który miał odmienić jego życie raz na zawsze, i wtedy Laura poruszyła się, wydając z siebie cichy jęk.

Zamarł, sparaliżowany.

Dziewczyna wyciągnęła rękę spod kołdry i po omacku sięgnęła nią na szafkę, trącając lekko miskę z truskawkami. Z przerażeniem zobaczył, że podnosi schowany za kubkiem zegarek na rękę.

Chce sprawdzić godzinę, a więc za chwilę wyjmie głowę spod kołdry i go zobaczy.

Nie mógł się poruszyć ani podjąć jakiegokolwiek decyzji. Przerobił w głowie setki, jeśli nie tysiące scenariuszy, ale żaden z nich nie zakładał tego rodzaju wpadki i to w absolutnie ostatnim momencie.

Wolną ręką ściągnęła z twarzy kołdrę. Miała zmierzwiłone, puszyste loki, była oczywiście bez makijażu i prześmiesznie wykrzywiła twarz, mrużąc oczy, by dostrzec wskazówki świecącego zegarka.

Nie widzi go.

Ale teraz tego nie robi. Jak mógłby? Teraz to oddychająca, świadoma osoba, jego narzeczona, która wygląda wyjątkowo zabawnie i słodko, marszcząc czoło, usiłując pokonać sennie mroczki zaćmiewające jej oczy. I do tego pachnie zmytymi, choć nie do końca, pod wieczornym prysznicem perfumami, słodkim olejkiem do ciała i szamponem mango.

Laura odrzuciła zegarek na szafkę i podniosła się na łokciu, na szczęście w przeciwną stronę łóżka, odwracając się do niego plecami. Sięgnęła po coś, nie widział po co. Zamarła na

chwilę w tej pozie, jakby skupiając się na jakiejś czynności wykonywanej ręką, którą się nie podpierała.

I nagle jego kieszeń w spodniach zawibrowała.

Laura, zdziwiona, odwróciła się w jego stronę, a on pojął, że teraz nie ma już wyjścia. Zobaczył białka jej nagle wytrzeszczonych oczu.

Otworzyła usta do wrzasku, a na to nie mógł pozwolić. Ale przecież w tym skoku, w tym susie nie da rady trafić, nie ma szans. Musi zrobić coś innego, coś gorszego, coś bluźnierczego, ale nie chce, to jakiś sen, co on wyprawia, błagam, niech to będzie tylko koszmar...

Doskoczył do łóżka i zwałił się na jej drobne ciało, przygniatając ją swoim ciężarem. Dłonie zacisnął na chudej szyi, dławiąc krzyk dziewczyny w gardle. Nóż wpadł w pościel, zniknął pod poduszkami. Szarpnęła się konwulsyjnie, charknęła, wierzgnęła biodrami. Ale on ważył z dobre pięćdziesiąt kilo więcej od niej. Łkał w kołdrę, zaciskając dłonie z całych sił. Mięśnie drżały mu z wysiłku, pot spływał po plecach, ale ona wciąż wierzgała, wiła się pod nim jak zapaśnik podczas walki w parterze, który wie, że jeśli zaraz nie wymknie się spod przeciwnika, ten za moment założy mu śmiertelny chwyt. Co gorsza z jej ust zaczynało dochodzić makabrycznie brzmiące rżenie, charkot.

Nie wiedział, czy była to ciekawość, rozpacz, czy palec boży, ale podniósł głowę, odlepiając twarz od mokrej kołdry i spojrzał na nią.

Była prawie fioletowa, oczy miała wytrzeszczone i zasnute krwawym dymem pajęczyn. I wpatrzona w niego. Na skroni pulsowała gruba, nabrzmiała żyła, z kącika ust ciekła ślina. Okładała go zaciśniętymi w pięści dłońmi i nadal wierzgała biodrami.

Patrzył na nią, a ona na niego.

Trwało to około dwóch sekund.

A potem ją puścił.

Laura wciągnęła powietrze do płuc z taką siłą, że aż wygięła się w łuk, podnosząc go biodrami, pokonując jego ciężar. Chwyciła się za szyję. Przeraził się, że zmiażdżył jej tchawicę, ale ona tylko wzięła kolejny potężny oddech i zanosła się gwałtownym kaszlem. Uniósł się lekko, gdy poczuł, że dziewczyna zamierza przewrócić się na bok. Laura zrobiła to, ściskając się za szyję i drgając konwulsyjnie.

Odsunął się na drugi kraniec łóżka, spuścił stopy na podłogę i skrył twarz w dłoniach. Za sobą słyszał kaszel, głośne, świszczące oddechy, szloch. Za chwilę spróbuje uciec, pomyślał. Jak tylko minie szok, zerwie się i nie zwracając na nic uwagi, rzuci się do drzwi.

Albo do okna. Ich mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Może wykalkuluje sobie, że ma szansę przeżyć upadek z takiej wysokości. Ale wątpił w to. Jeśli zdecyduje się skoczyć, to tylko w akcie desperacji. Kalkulacje? Jakie, kurwa, kalkulacje? Tylko ty jesteś zdolny do kalkulacji w takim momencie. Ciekawe, co to o tobie świadczy.

Ale Laura nie zerwała się z łóżka, nawet gdy przestała kaszleć i szlochać. Po prostu nagle umilkła. Nie poczuł najmniejszego ruchu materaca, leżała nieruchomo i w ciszy.

Trwali tak przez dobrą minutę, on siedząc na skraju łóżka, ona zwinięta w kłębek, oddychająca szybko, spazmatycznie, nierówno.

– Dlaczego? – zapytała w końcu. Poczł wyrzuty sumienia, gdy usłyszał, jak chrapliwie i słabo brzmi jej głos, jak słyszalnie z bólem przetyka ślinę.

– To już nie ma znaczenia – odpowiedział. Jego głos brzmiał nosowo, ale nienaturalnie wysoko. – Dzwon na policję. Wyjdę z mieszkania, poczekam na nich przed blokiem. Zamkniesz za mną drzwi, więc już nie będziesz musiała się bać.

Milczała.

– Przepraszam. – Podniósł się z łóżka i nagle poczuł, jak Laura chwyta go za przegub ręki. Nie potrafił zmusić się, by na nią spojrzeć, ale oczyma wyobraźni widział, jak dziewczyna intensywnie wpatruje się w tył jego głowy.

– Dlaczego? – powtórzyła, nieco silniej i bardziej zdecydowanie. Lecz nagle w jej głosie zabrzmiało przerażenie. – Chcę wiedzieć. Czy... czy ty...

– Chryste, Laura, to nie ma już żadnego znaczenia. Puść mnie i dzwoni po nich.

– Dlaczego? – Wyczuł w jej głosie rozpaczliwą nutę. Skręciło go w środku, poczuł do siebie obrzydzenie i wstręt, odnosił wrażenie, że zawałił się na niego wieżowiec wyrzutów sumienia. Albo, pomyślał, dobijając się metaforycznie, jakby poczucie winy ścisnęło mnie z całych sił za gardło.

– Wiem o tobie i o Buckym – powiedział bardzo cicho. Dłoń, którą ścisnęła mu rękę, cofnęła się gwałtownie.

Wciąż nie miał odwagi się odwrócić.

Usłyszał i poczuł po ruchu materaca, że Laura cofa się na drugi skraj łóżka. Milczeli. W sąsiednim bloku nadal ujadał pies. Po torach wciąż sunęły nocne tramwaje, emitując ten charakterystyczny szum i odgłos tarcia stali o stal, gdy maszyny zwalniały przed pętlą. Podobnie zwolnił czas w sypialni, odmierzany pustką i milczeniem, niewypowiedzianym żalem i strachem.

– Jak mogłaś – stwierdził, nie zapytał.

– Jak mogłeś – stwierdziła, nie zapytała. – Kocham cię.

Zaśmiał się cicho.

– Jakby to miało znaczenie. Poza tym, kiedy dowiedziałem się... dowiedziałem... – w jego głosie nagle pojawił się gniew – Od tamtej chwili... czułem do ciebie już tylko nienawiść. Chociaż na początku nie wierzyłem. Ale wiedziałem. Nie wiem, kurwa, jak, ale wiedziałem.

– Musiałam to zrobić. Musiałam to zrobić dla nas. Dla mnie i dla ciebie.

– To sobie powtarzasz? Tak to, kurwa, tłumaczysz? – Gniew zmieniał się powoli w rozpacz. – To myślałaś, kiedy waliłaś... waliłaś jego małą główką w...

– Nie... waż... się... o... tym... mówić! Nie masz, kurwa, pojęcia, co się stało! – wycedziła, a on odwrócił się w jej stronę tak gwałtownie, że aż strzyknęło mu w szyi. Siedziała na skraju łóżka, obejmując kolana ramionami, wyglądając znad nich parą świecących w półmroku oczu. Nie było w nich smutku, strachu. Była rezygnacja. Była złość. Na zmianę, jak w zepsutym mechanizmie.

– To nie było to, Laura. To był on. To był Bucky – powiedział. Oczy zaszyły mu łzami. Schował twarz w dłoniach i zgarbił się, odwracając się od niej, pochylając się, wdychając zapach perfum i potu, łykając słono-gorzkie łzy.

Odsłaniając kark.

Nie usłyszał cichego świstu. Poczul nagły, ostry ból i zimno metalu, który przez kilka godzin leżał w lodówce za kawałkiem zepsutego mięsa. Jęknęły sprężyny materaca. Zerwał się z łóżka i zatoczył, wpadł na szafkę nocną, niedojedzone truskawki ze śmietaną karminowo rozbryznięły się na ścianie. Kubek z brzoskwiniowym liptonem spadł na podłogę, resztki brązowego płynu natychmiast wsiąknęły w dywan. Odepchnął się gwałtownie od szafki. Zatańczył w piruecie, nieudolnie usiłując sięgnąć rękoma za plecy, szukając rękojeści noża, rozpaczliwie chcąc wyciągnąć z siebie te dziesięć cholernych centymetrów nierdzewnej stali. Zrobił kolejny piruet, próbując ustać na nogach, ale nie utrzymał równowagi, świat wirował. Zwalił się, kolejno, na: jedno kolano, na drugie, i w końcu na bok, dysząc ciężko, krwawiąc z ust i wybałuszając oczy. Drżał. Ból rozchodził się od karku na całe ciało ostrymi, regularnymi falami, jakby ostrze noża raziło go raz za razem potężnymi wiązkami prądu.

Nagle zobaczył przed sobą nagie stopy. Paznokcie miała pomalowane na czerwono.

Pochyliła się nad nim, jej loki musnęły jego twarz. Opadały mu już powieki, chociaż z całych sił walczył, by utrzymać otwarte oczy. Spojrzał na nią. Płakała. Bezgłośnie i bezłzawo.



Tracił siły. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w tym samym momencie poczuł kolejną falę bólu i z wymiotował krwią. Zacharczał, zaciskając mięśnie przepony, wziął trzy szybkie, płytkie oddechy i nagle zmarł, z półotwartymi ustami, z których zwisała cienka strużka krwawej śliny. Oczy zaszyły mu mgłą, a powieki opadły.

I umarł.

Laura popłakała jeszcze jakiś czas. Potem podniosła się, wydmuchała nos w prześcieradło i wyszła z sypialni.

Wylał jej herbatę. Musi zaparzyć sobie nową.

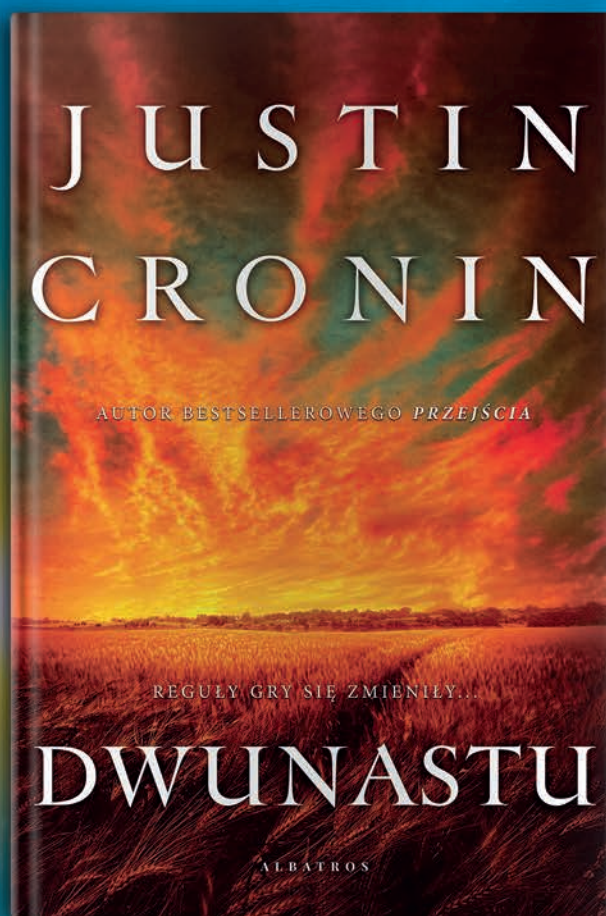
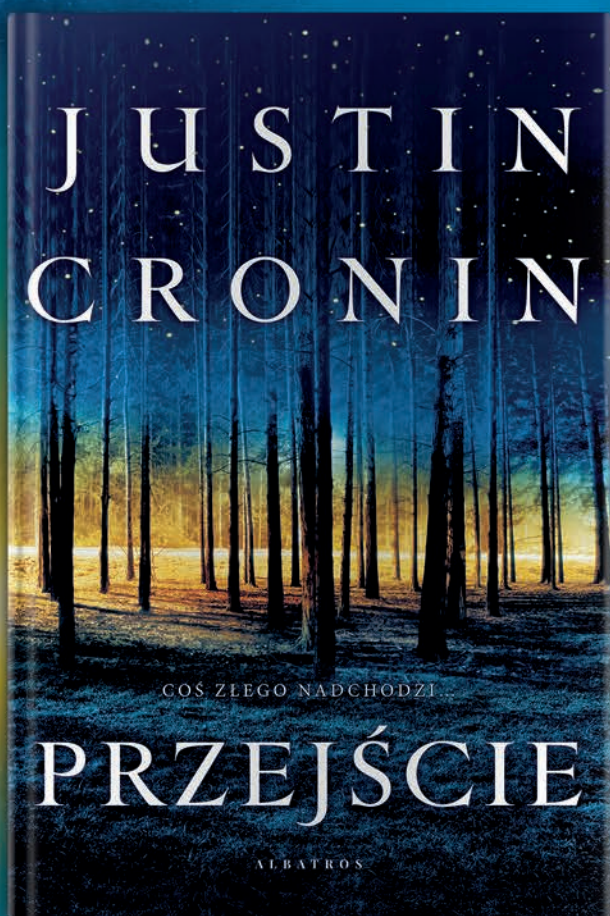
32 MINUTY WYSTARCZYŁY,  
BY JEDEN ŚWIAT ULEGŁ ZAGŁADZIE,  
A DRUGI SIĘ NARODZIŁ.

”

*Uwielbiam twoją książkę.  
Jest fantastyczna,  
mam nadzieję,  
że sprzedasz miliony  
egzemplarzy.*  
Stephen King

”

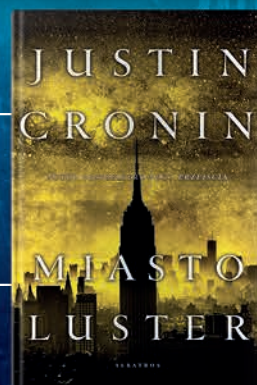
*Pod względem literackim nie  
ustępuje Bastionowi  
Stephena Kinga.*  
„Time Magazine”



”

*Opowieść o ludzkości,  
która próbuje znaleźć nową  
nadzieję w świecie,  
gdzie wszystkie światła na końcu  
tunelu dawno zgasły.*  
„Time”

Ostatni tom  
TRYLOGII  
PRZEJŚCIE  
już jesienią!





# PARTNERZY





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

